WZAJEMNE GWARANCJE PARYŻA I WARSZAWY

Czy Polska jest bezpieczniejsza? – Warzecha o traktacie z Francją

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 21/630 19–25 MAJA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kim jest Gizela Jagielska – lekarka z Oleśnicy

NIEPOTRZEBNA PANI DOMU, CZYLI MEGHAN MARKLE W KUCHNI

Kulisy wyboru papieża Leona XIV

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 43 500 egzemplarzy

Ołeksij Arestowycz, były współpracownik prezydenta Ukrainy, w ostrej rozmowie z „Do Rzeczy”:

ZEŁENSKI TO DYKTATOR

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zostań współwłaścicielem Do Rzeczy S.A. Kup akcje już teraz!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Podatki, inflacja, drożyzna– czas odkryć, kto na tym korzysta."

Piotr Gabryel
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
TYGODNIKA „DO RZECZY"

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 2c9e32c730

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Negocjacje w cieniu frontu

Nieraz pisałem o tym, jak trudno zdobyć się na trzeźwy osąd, gdy idzie o przebieg rozmów w trójkącie USA – Ukraina – Rosja. Nie inaczej jest i teraz. Poza tym, że wiadomo, iż negocjacje odbywają się w Stambule, nie jest łatwo zrozumieć, na czym one polegają i jak miałoby wyglądać porozumienie. Powód jest prosty: nic nie wskazuje na to, żeby dało się uzgodnić sprzeczne roszczenia stron. Można mieć zresztą wrażenie – ja przynajmniej takie wrażenie mam – że jedynym podmiotem, któremu naprawdę zależy na pokoju, są obecnie Stany Zjednoczone. Z różnych przyczyn nie chcą go, przynajmniej na razie, pozostali uczestnicy spotkań. Żeby udało się osiągnąć prawdziwe porozumienie, musiałby zostać spełniony jeden z dwóch warunków. Albo jedna z walczących stron akceptuje swoją porażkę i dlatego gotowa jest pójść na ustępstwa, albo obie walczące strony dochodzą do wniosku, że dalsze przelewanie krwi nie ma sensu. Otóż łatwo zauważyć, że mimo trzech lat zmagań żaden z nich nie jest spełniony.

Wspomniałem o trójkącie, ale faktycznie mamy do czynienia z czworokątem, bo ważnym uczestnikiem negocjacji są przedstawiciele państw europejskich. To oni przecież – cztery państwa występujące w ramach koalicji chętnych, a więc Francja, Niemcy, Wielka Brytania i Polska – zadeklarowały, że warunkiem sine qua non rozmów musi być bezwzględny, 30-dniowy rozejm między Rosją i Ukrainą. W związku z tym, że Moskwa ten warunek odrzuciła, Unia Europejska nakłada na Rosję kolejny pakiet sankcji. Trudno przyjąć, że Europie zależy na pokoju, bo raczej dolewa oliwy do ognia. Liderzy państw europejskich uważają siebie za zwycięzców i chcą występować z pozycji siły – tak tylko można rozumieć słowa przewodniczącej Komisji Europejskiej, Ursuli von der Leyen, która kilka dni temu mówiła o tym, że porozumienie musi zakładać… zachowanie terytorialnej integralności Ukrainy. Dlatego politycy europejscy dodają, że Rosja nie może zostać uznana za zwycięzcę.

Nie tłumaczą jednak, jak chcą te swoje postulaty zrealizować. Sądzę zatem, że państwa europejskie o realnym porozumieniu z Rosją nie myślą. Uważają, że prędzej czy później uda się im narzucić Moskwie swoją wolę. Politycy europejscy wiedzą wprawdzie, że sami bez wsparcia USA nie dadzą rady osiągnąć tego celu, wierzą wszakże w to, że prędzej czy później zmuszą Donalda Trumpa do zmiany stanowiska. Być może na tym w ogóle polega idea „koalicji chętnych" – na wysłaniu na Ukrainę ograniczonych liczbowo oddziałów wojska, które siłą rzeczy sprowokują ataki Rosjan, co – jak wierzą „chętni" – nie pozostawi wyboru Waszyngtonowi. Mając na karku wielką kampanię propagandową, okaże się, że na Ukrainie za wartości zachodnie giną bohaterowie z Europy Zachodniej – Trump ulegnie i wyśle w końcu do boju amerykańskich żołnierzy. Wtedy, wierzą „chętni", losy wojny się odwrócą. Czy nie obawiają się ryzyka trzeciej wojny światowej? Są zadufani w sobie i aroganccy. Na Rosję patrzą z pogardą i są pewni swego.

Podobnie prowojenne stanowisko zdają się zajmować tak sam prezydent Wołodymyr Zełenski, jak jego otoczenie. Doradcy prezydenta Zełenskiego powtarzają, że Ukraina jest gotowa dalej walczyć, że potrzebuje większego wsparcia militarnego. Więcej dronów, rakiet, czołgów, a także żołnierzy. Sam prezydent Zełenski przed rozmowami w Stambule podkreślał, że nie wierzy w ani jedno słowo prezydenta Rosji, że jest on kłamcą i przeszkodą w osiągnięciu porozumienia. Dziwne, bo jednocześnie Zełenski publicznie deklaruje, że chce się spotkać z Putinem. Wniosek jest prosty: gdyby nie presja Amerykanów, Zełenski o żadnych negocjacjach nie chciałby słyszeć. Chce dalej walczyć, bo – brutalnie rzecz ujmując – tylko przedłużanie wojny pozwala mu zachować władzę. Jest przekonany, że zachodnia broń, wsparcie i sankcje w końcu złamią Rosję.

Entuzjazmu do rozmów pokojowych nie dostrzegam również obecnie w Moskwie. Rosjanie zdają sobie przecież sprawę z nastrojów wśród władz ukraińskich i wiedzą, że Kijów nie uznaje swojej porażki. Dlatego też Moskwa nie chciała zgodzić się na bezwarunkowy, 30-dniowy rozejm. Z jej punktu widzenia dałby on drugiej stronie szansę na przegrupowanie i dozbrojenie dzięki dostawom z Zachodu. Moskwa sądzi, odwrotnie niż Kijów i jego sprzymierzeńcy, że to ona dysponuje przewagą militarną i że to po jej stronie leży inicjatywa strategiczna. Nie boi się też kolejnych sankcji. Wierzy, że czas gra na jej korzyść i prędzej czy później osiągnie swoje cele – zachowa lub nawet powiększy zdobycze terytorialne i uzyska gwarancje neutralności Kijowa. Teraz siada do stołu, bo zachowuje pozory i nie chce bezpośrednio zetrzeć się z Waszyngtonem.

Trudno w takiej sytuacji wierzyć w powodzenie spotkania. Wygląda na to, że o ewentualnym porozumieniu zadecyduje to, co wydarzy się na polu bitwy. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z OŁEKSIJEM ARESTOWYCZEM
ZEŁENSKI TO „CHUTOROWY DYKTATOR"
Co dziś różni Ukrainę od Rosji?

18 MACIEJ PIECZYŃSKI
HEGEMONIA „SŁUGI NARODU"

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BRUDY KAMPANII
Jak Polacy reagują na grę „hakami"

24 ROZMOWA Z GRZEGORZEM PŁACZKIEM
KARUZELA COVID-19

26 PIOTR SEMKA
SPORU O WILIMOWSKIEGO CIĄG DALSZY

28 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
ZNÓW NIEMCÓW ZASTĘPUJĄ „NAZIŚCI"

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
DOKTOR ABORCJA

32 ROZMOWA Z DR. JERZYM POBOCHĄ
MORDERCA Z UW TRAFI DO SZPITALA, NIE DO WIĘZIENIA?

KULTURA

34 ŁUKASZ CZARNECKI
MALARZ ZIELONYCH DOMÓW
Wystawa dzieł japońskiego artysty

37 GRZEGORZ KONDRASIUK
JAWNA NICOŚĆ

38 PIOTR GOCIEK
OSTATNIA MODLITWA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, WYSTAWA, GRA

OPINIE

44 ŁUKASZ WARZECHA
TRAKTAT, KTÓRY NIEPOKOI
Wątpliwości wokół nowej umowy polsko-francuskiej

48 KRZYSZTOF KAWĘCKI
CZEGO NAPRAWDĘ CHCIELI CHADECY

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JAK ROBERT PREVOST ZOSTAŁ PAPIEŻEM

HISTORIA

54 RAFAŁ ŁATKA
ABORCJA I KOMUNIZM
Wojna kulturowa w PRL

56 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
DOKTOR JOSEF MENGELE POZDRAWIA UŚMIECHNIĘTĄ POLSKĘ

ŚWIAT

58 TERESA STYLIŃSKA
REFORM UK W DRODZE DO WŁADZY
Rośnie poparcie dla partii Nigela Farage'a

60 ROZMOWA Z WOJCIECHEM ROGALĄ
KRZYŻ BIAŁEGO FARMERA

EKONOMIA

64 JACEK PRZYBYLSKI
ZARABIAĆ JAK „WYROCZNIA"
Złote myśli „Mędrca z Omaha"

67 ROZMOWA Z DR. HAB. INŻ. ZIEMOWITEM MIŁOSZEM MALECHĄ
NIEBOTYCZNIE DROGIE MORSKIE FARMY WIATROWE

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
NIEPOTRZEBNA PANI DOMU
KSIĘŻNA OD KUCHNI

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 2c9e32c730

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Genya Savilov/AFP/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Ku islamizacji Polski?", Kacper Kita, „DRz" nr 19/2025

Temat przewodni „Do Rzeczy" nr 19/2025 „Polska katolicka, czy muzułmańska", rozwinięty w artykule „Ku islamizacji Polski?" Kacpra Kity, jest niezwykle istotny w kontekście obecnej sytuacji światowej. Na naszych oczach następuje podbój Starego Kontynentu nowoczesnymi metodami. [...] bez jednego wystrzału uczniowie tzw. proroka Mahometa zagarniają kolejne tereny. Wszak gdzie stoi meczet, ziemia już na stałe, do końca świata, pozostaje według ich religii muzułmańska. Wyznawcy islamu mają zdecydowanie wyższy wskaźnik urodzeń niż rodowici Europejczycy, a zatem w demokratycznym porządku za kilkadziesiąt lat obejmą władzę i zaprowadzą swoje porządki. Ciekawe, jak zareagują na to oczadziałe lewactwem obecne unijne elity? To one jako pierwsze, bo ateistyczne, będą chyba najbardziej zagrożone w fizycznym bycie, bo chrześcijanie (ilu ich pozostanie wobec obecnej laicyzacji?), jako obywatele drugiej kategorii, ale jednak ludzie Księgi, mają szansę przeżyć.

W całej dyskusji o zagrożeniu islamizacją Europy i Polski nie porusza się, moim zdaniem, jeszcze jednej kwestii. Toczy się obecnie wojna. Jak twierdzi wielu, jest to już trzecia wojna światowa, tyle że w wersji konfliktu zimnego (poza Ukrainą), który jednak może przerodzić się w wersję zbrojną. Tyle mocarstw pragnie w nowej rzeczywistości zmienić układ sił – Rosja, Chiny, Pakistan, Indie, Korea Północna. Te kraje na ogół nie mają nic do stracenia, a wiele mogą zyskać. Nas oczywiście interesuje najbardziej putinowska Rosja, nasz odwieczny wróg, który nigdy nie pogodzi się z tym, że nie rządzi w Warszawie. Gdyby więc Rosja zaatakowała nas, a w konsekwencji w zasadzie całą Europę, to pytanie brzmi: Jak zachowają się muzułmańscy nachodźcy w krajach europejskich? Moim zdaniem to byłaby tzw. piąta kolumna Putina. Po pierwsze, chaos wojenny zostałby wykorzystany do zwiększenia tego wszystkiego, co już obserwujemy w czasie pokoju. Na zapleczu frontu mielibyśmy zatem więcej rabunków, gwałtów, morderstw i wszelkich zbrodni. Przecież ci ludzie na pewno nie pójdą walczyć z Putinem za Francję, Niemcy czy Polskę. A po drugie, Rosja z kraju prawosławnego zamienia się w kraj muzułmański, co niewątpliwie wykorzystałby Putin poprzez swoich agentów do ogłoszenia świętej wojny z niewiernymi. Można się więc spodziewać świadomych aktów sabotażu i wszelkich działań o charakterze dywersyjnym na zapleczu frontu wykonywanych przez przeszkolonych w Moskwie agentów muzułmańskich. Niestety, nikt nie bierze tego pod uwagę [...].

Wojciech Zajączkowski, Łódź

Przypudrowana koalicja

Szanowni Państwo,
dopiero co pan Zełenski oznajmił, że jedynym warunkiem zawarcia sensownego pokoju niezbędna jest rozmowa twarzą w twarz z prezydentem Putinem w obecności prezydenta Trumpa. Powstaje zatem pytanie, co znaczą wyprawy przywódców kilku państw europejskich to do Londynu, to do Warszawy, to znów do Kijowa, czy też dokądkolwiek, skąd wracają tak zakatarzeni, że muszą „przypudrować" noski.

Pytanie to wzbudza niepokój, tym bardziej że za każdym razem bierze w nich udział polski premier, i to tuż przed wyborami prezydenckimi, które podobno mają „domknąć system". Ostatnia debata pokazała, że – poza kilkoma wyjątkami – dla Polski nie ma ratunku przed szaleńczą polityką „koalicji przypudrowanych".

W tej sytuacji można się tylko śmiać przez łzy wraz z antykandydatem na prezydenta, redaktorem Stanowskim, który bohatersko wziął udział w tej czterogodzinnej hucpie pt. „Kawalerka Nawrockiego". On jeden przynajmniej „załatwił" coś konkretnego.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl 2c9e32c730

NA PIERWSZY OGIEŃ

Jak zwykle za dużo swobody

PIOTR SEMKA

Ta zniewaga krwi wymagała! Krzysztof Stanowski w debacie w TVP szczerze powiedział, co sądzi o pani Dorocie Wysockiej-Schnepf jako „kapłance propagandy" w „świątyni propagandy". To, że Stanowski może mieć taki pogląd, nikomu z dyżurnych wojowników portali Onet czy naTemat nie mieściło się w głowie. Na pewno musi stać za tym jakiś podły i merkantylny powód.

Zachetę do demaskacji rzuciła sama Wysocka-Schnepf. Wypomniała, że Stanowski prowadził kiedyś w telewizji publicznej, za czasów rządów Jacka Kurskiego, program. Researcherzy natychmiast zagłębili się w dokumenty księgowości TVP. I oto właśnie Onet, płonąc z oburzenia, „ujawnił", jak to Stanowski zarobił u wstrętnego Kurskiego milion złotych. Jak zwykle zastosowano wredną technikę podliczania wszystkich zarobków brutto z paru lat, tak aby suma jawiła się jako bogactwo niedosięgłe dla nikogo innego.

Ale to nie wyczerpało żądzy zemsty. Swój pogląd na temat niegodziwej roli Stanowskiego w obecnej kampanii prezydenckiej wyraził na portalu X Przemysław Gołębski – doradca do spraw wizerunku i politolog. Przemysław Gołębski głosi: „Kampania prezydencka Krzysztofa Stanowskiego w 2025 r. nie jest zjawiskiem marginalnym ani medialną ciekawostką. To precyzyjnie skonstruowany mechanizm dekonstrukcji demokratycznej wyobraźni zbiorowej, oparty na narzędziach nowoczesnego marketingu emocji, który pod przykrywką ironii realizuje cele o charakterze dezintegracyjnym. Nie mamy do czynienia z eksperymentem ani żartem. Mamy do czynienia z formą sabotażu politycznego, który działa nie frontalnie, lecz podprogowo: rozbraja sens, ośmiesza procedury, dewaluuje uczestnictwo. Stanowski nie proponuje alternatywy. On ją unieważnia".

No cóż, widać, że czas na strzelanie z najcięższych dział. Takie określenia jak „precyzyjnie skonstruowany mechanizm dekonstrukcji demokratycznej wyobraźni zbiorowej" czy „cele o charakterze dezintegracyjnym" brzmią jak zdemaskowanie groźnego spisku. A już określenie „sabotaż polityczny" brzmi jak żywcem wyjęte z epoki Bolesława Bieruta. Teraz tylko czekać, aż ktoś wezwie ministra Adama Bodnara, by poszukał paragrafów na tę niecną działalność.

Cała ta histeria przypomniała mi jeszcze jedną reakcję na nieszczęsną debatę TVP z 12 maja. Hannę Gronkiewicz-Waltz ten show skłonił do wezwania, by zrezygnować z wyborów powszechnych. Pani prezydent proponuje, by zamiast społeczeństwa prezydenta wybierał, tak jak w wielu innych krajach, parlament.

No cóż. Trudno wymagać, by HGW mogła być zachwycona wyborami, w których nie wiadomo do końca, kto wygra. Co innego stateczna elekcja w parlamencie, gdzie – jak podejrzewam – pani Hanna wierzy, że przewaga Platformy trwać będzie do końca świata i jeden dzień dłużej.

Takie to rozterki wokół niewdzięcznej demokracji trawią najświatlejsze polskie umysły w burzliwą wiosnę 2025 r. ©℗

FOT. SUNDAY

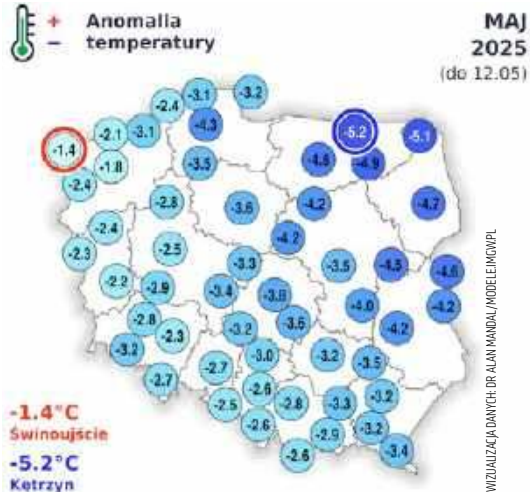

WIZUALIZACJA DANYCH: DR ALAN MANDAL/MODELE IMGW.PL

REKORDOWO ZIMNY MAJ

Zmartwieni ociepleniem klimatu aktywiści Ostatniego Pokolenia, którzy akurat w maju zdecydowali się przyklejać do jezdni, mogli zmarznąć nie na żarty. Tegoroczny maj jest bowiem rekordowo zimny. W ubiegłym tygodniu IMGW informował, że średnie temperatury w całej Polsce są poniżej normy z lat 1991–2020. Najmniejszą anomalię (1,4 st. C poniżej normy) stwierdzono w Świnoujściu, największą (5,2 st. C poniżej normy) w Kętrzynie. Prognozy na resztę miesiąca też nie napawają optymizmem. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

REKLAMA

Polska odegra wyjątkową rolę na świecie?
Poznaj przepowiednie o naszej przyszłości!

Wśród przepowiedni na temat przyszłych losów Polski znalazły się dziesiątki proroctw, które nie tylko **się sprawdziły**, ale przede wszystkim niosły ze sobą ważne **upomnienia ze strony Nieba**.

Największe z dotyczących Polaków proroctw wciąż czekają na wypełnienie!

Poznanie ich i nasza pozytywna odpowiedź na wezwania zawarte w proroctwach jest szansą na pomyślność narodu, ale także na uzyskanie indywidualnych łask dla nas i naszych bliskich poprzez właściwe wypełnianie Bożej woli.

Książka ***Proroctwa nie lekceważcie! Przepowiednie dla Polski*** prezentuje fascynujące przekazy od takich mistyków jak **św. Stanisław Papczyński, bł. Bronisław Markiewicz, Wanda Malczewska, o. Czesław Klimuszko, Rozalia Celakówna, Teresa Neumann, siostra Łucja dos Santos** i wielu innych! Według słów przekazanych przez nich **Polska ma odegrać wyjątkową rolę dla przyszłości Europy i świata**. Jeśli więc Polacy zrobią, czego oczekuje od nich Najwyższy:

- Nasz kraj poprowadzi Europę do duchowego odrodzenia!
- W Polsce będą stanowione prawa dla całej Europy!
- Bóg wzbudzi w naszej Ojczyźnie ludzi świętych i mądrych, którzy zajmą zaszczytne stanowiska w świecie!
- Polska odegra kluczową rolę w nawróceniu się Rosji i innych krajów na katolicyzm!

Polskę szczególnie umiłowałem, a jeśli posłuszna będzie woli Mojej, wywyższę ją w potędze i świętości – **słowa Pana Jezusa do św. Siostry Faustyny Kowalskiej**.

Polska cała musi się stać wzorem chrześcijaństwa katolickiego, wszystkich narodów na całym świecie – **słowa Pana Jezusa do siostry Heleny Majewskiej**.

Od Polski zależeć będzie przyszłość Europy. W niej rozpocznie się odrodzenie świata przez ustrój, który stworzy, przez nowe prawa, zgodne z prawem Bożym – **Siostra Łucja dos Santos.**

Przepowiednie dla Polski
Nie można ich zlekceważyć!

Czy wiesz, że:

- Jan III Sobieski otrzymał od Maryi zapewnienie o zwycięstwie pod Wiedniem?
- zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej Matka Boża przepowiedziała 47 lat wcześniej?
- setki lat przed rozbiorami Polski mistycy mówili o odzyskaniu przez nią niepodległości w XX wieku?

Odbierz książkę i poznaj wiele więcej proroctw, które już się spełniły i tych, które na wypełnienie jeszcze czekają. Dowiedz się, jak odpowiedzieć na Boże wezwanie!

Jan III Sobieski pod Wiedniem

Ta publikacja pomaga odpowiedzieć na kluczowe pytania:

- Jaka jest prawdziwa misja Polski – czego oczekuje od nas Pan Bóg?
- Co w naszej historii robiliśmy wbrew Jego woli?
- Co możemy osiągnąć, wypełniając warunki zawarte w proroctwach?

Piechota polska w marszu na front przed Bitwą Warszawską

Odbierz już teraz książkę *Proroctwa nie lekceważcie! Przepowiednie dla Polski*. Wartość książki – 12 zł. Nie znajdziesz jej w księgarniach – możesz ją otrzymać tylko teraz, w sposób opisany poniżej. **W prezencie dostaniesz** piękny poświęcony **obrazek Matki Bożej Gietrzwałdzkiej** oraz poświęcony **różaniec w barwach narodowych**.

Odbierz książkę już teraz!

zadzwoń:
12 423 44 23
i podaj swoje dane kontaktowe oraz kod: **03 80 12**

lub

wyślij SMS
o treści **38012** pod nr:
721 232 423
(koszt zwykłego SMS-a)

lub

zeskanuj kod QR
lub odbierz książkę na
PrzepowiednieDlaPolski.pl

eprasa.pl 2c9e32c730

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Popularka

Dlaczego prawica „umie w Internet" dużo lepiej od lewicy? – zadumał się w przedwyborczym tygodniu branżowy portal wirtualnemedia.pl. W istocie: zasięgi internetowych kanałów, liczba obserwujących profile w mediach społecznościowych, odtworzenia, „lajki", subskrypcje itd. w wypadku przedsięwzięć związanych z szeroko rozumianą prawicą – czy to politycznych, czy publicystycznych – biją konkurencję na głowę. Dysproporcja między kanałami YouTube Adriana Zandberga i Sławomira Mentzena, z których drugi ma 26 razy więcej obserwujących od pierwszego, jest wyrazistym tego przykładem, ale tylko jednym z bardzo wielu. W dodatku „prawicowych" profili i kanałów jest mnóstwo i wciąż powstają nowe, a „lewicowych" – jak na lekarstwo.

Prawidłowość oczywiście została już zauważona i była wielokrotnie „analizowana" w tradycyjnych mediach, tych lewicowo-liberalnych. Biorę to słowo w cudzysłów, bo owe analizy prawie zawsze realizowały schemat typowy dla porażonych swymi wyższościowymi urojeniami salonów: skoro coś jest popularne, to znaczy, że kiepskie, bo tłuszcza nie ma gustu, odi profanum vulgus itd. (Chyba że to my jesteśmy popularni: wtedy, zgodnie z zasadami lewoliberalnego dwójmyślenia, popularność jest dowodem, że jesteśmy najlepsi, podziwiani i naśladowani). W Internecie – powiadają zagadnięci o jego prawicowość „eksperci" – dochodzą do głosu najniższe instynkty, dominują tam głupole szukający taniej rozrywy, a wiadomo, że głupolom podoba się prawica, a nie politycy i publicyści „na pewnym poziomie".

Oddajmy autorowi Wirtualnych Mediów, że nie idzie tą drogą i szuka wyjaśnień gdzie indziej, ale nie zauważa tego, co najprostsze. Szeroko rozumiana prawica ma coś do zaproponowania. Trafnego czy nie, mądrego czy głupiego – oceniajcie, jak kto chce – ale coś. A lewicowo-liberalny establishment? Że prawica to populiści, Putin i zło. Ale poza tym, jak to pisał Marian Hemar: „Wszyscy razem wzięci, choć palec wysysać, nie macie o czym gadać ani o czym pisać". Ot, co. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Pamięć zakneblowana

Adolf Bocheński i Robert Brasillach byli rówieśnikami, obaj urodzili się w 1909 r. W tym samym czasie studiowali w Paryżu i obaj byli zwolennikami antysowieckiego sojuszu z Niemcami, z którymi walczyli w 1940 r. Potem poszli w przeciwnych kierunkach, ale ich śmierć znowu dzieli niespełna rok. Bocheński, walcząc przez całą wojnę, poległ pod Ankoną. Brasillach został skazany przez francuski sąd i rozstrzelany po wyzwoleniu Paryża.

Wojciech Wasiutyński opowiadał, że Bocheński wyznał mu, iż nie chce przeżyć wojny, po której nie będzie już Polski (Bo jakaż Polska mogłaby, zduszona przez Sowiety, przetrwać między Poznaniem a Lublinem?). Wasiutyński tłumaczył, że można przecież wysiedlić Niemców, na co Bocheński odpowiedział, że „nie chce żyć w świecie, w którym ludzi wypędza się z domów".

Brasillach przeciwnie; chciał powojenny świat budować wspólnie z Niemcami. Jego okupacyjna publicystyka – nie w swych antykomunistycznych rozważaniach o Nowej Europie, ale w wątkach antysemickich – bywała odrażająca. Ale nie za to dał głowę. W jego obronie, przez szacunek dla jego pozycji w kulturze francuskiej, interweniowali najznakomitsi pisarze (Mauriac, Camus i inni). De Gaulle zatwierdził egzekucję, bo „racja stanu" dyktowała mu współrządy z komunistami. A Sowieci, których narzędziem byli komuniści, chcieli śmierci Brasillacha, który pojechał do Katynia i opisał doły katyńskie.

Jan Maciejewski w swej książce „Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać" pisze, że „porozumienie w kwestii milczenia o Katyniu można uznać za zbrodnię założycielską »wolnego świata«". Istotnie, milczenie o Katyniu nie tylko było najsolidniejszym zwornikiem „koalicji antytyfaszystowskiej", lecz także, gdy już przestała być potrzebna, znakomicie pomogło w wykreowaniu antykomunistycznego wizerunku liberalizmu. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O szaleńcach z Princeton

Włoski dziennik „Il Giornale" opublikował wywiad z głęboko zakonspirowanym naukowcem tej słynnej uczelni, który z obawy, że go wyleją, anonimowo opowiada, jak realizują tam ortodoksję DE&I. To skrót od angielskich słów: różnorodność, równe szanse i włączenie oraz owoc ideologicznego obłędu kultury „przebudzenia" (woke) i poprawności politycznej.

Można nabrać podejrzeń, że wywiad to wyimek z jakiejś szczególnie ponurej dystopii. Naukowiec powiada, że zaczęło się od wprowadzenia kategorii demograficzno-etnicznych przy naborze studentów. Potem poddano selekcji naukowców, bo byli to w 70 proc. biali, w tym wielu żydowskiego pochodzenia, co w związku z tragedią w Strefie Gazy w Princeton i na wielu innych amerykańskich uczelniach dodatkowo stygmatyzuje. Kłaniają się w pas numerus clausus i getto ławkowe w przedwojennej Polsce. A paradoks chce, że amerykańskie żydowskie elity są bardzo wrogo nastawione do rządu Netanjahu i poczynań izraelskiej armii, które nazywają ludobójstwem.

Tak czy inaczej, doszło do tego, że w wielu przypadkach jedyną przeszkodą w zatrudnieniu naukowca jest biały kolor skóry. Tym wszystkim idiotyzmom patronuje rektor Christopher Eisgruber. Prowadzący wywiad wtrącił nieśmiało: „No ale przecież to jest żydowskie nazwisko...". Ale okazuje się, że dla rektora żandarmi woke zrobili wyjątek, bo o tym, że jest Żydem, dowiedział się dopiero w wieku dorosłym i nie został wychowany „po żydowsku". Wynika z tego pośrednio, że dla „wychowanych po żydowsku" miejsca w Princeton nie ma – czyli antysemityzm pełną gębą.

Na wydziale naukowym urządzono wystawę zdjęć wszystkich szefów wydziału w ostatnich 70 latach. Fotografie za sprawą żandarmerii ideologicznej natychmiast zdjęto. Dlaczego? Sami biali, a w dodatku dużo Żydów. Kolejny paradoks chce, że dzięki walce i poświęceniu wielu z tych ludzi na Princeton zaczęto przyjmować czarnych Amerykanów.

Pozostaje z nostalgią i nadzieją zanucić pieśń „God Bless America". Napisał ją żydowski emigrant z Rosji. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 2c9e32c730

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

EUROTRAUMA

Przewagą czytelników tej rubryki nad jej autorką jest to, że wiedzą już, jak zakończyła się tegoroczna Eurowizja. Stawiam, że reprezentantka Polski nie wygrała (niemożliwe!), więc nie ma się czym nadmiernie ekscytować. Można więc wrócić do Eurowizji z roku ubiegłego. Swoje traumy leczy wciąż pani Luna Wielgomas, która odpadła z konkursu już na etapie półfinału. Córka właścicieli firmy Dawtona nie podbiła Malmö utworem „The Tower", co ewidentnie mocno przeżywa aż do dziś. „»Wow, świetnie sobie poradziłaś w tej sytuacji«. Tak, może i sobie poradziłam, ale płakałam każdego dnia. Zagubiłam się i nie mogłam się odnaleźć przez całe miesiące. Straciłam swój głos... i udawałam, że go odzyskałam. Nie spałam. Nie pozwalałam swojemu ciału, by odpoczęło" – wspomina wokalistka w mediach społecznościowych. „Czułam wszystko naraz, a zarazem – niczego nie czułam. Byłam sama, przytłoczona. Tonęłam w ciszy i w hałasie. Zamknęłam się w swoim własnym umyśle. Zamknęłam też swoje serce. I rozpadłam się na kawałki. Ale wciąż tu jestem. Wciąż śpiewam, wciąż czuję, wciąż marzę. Dziękuję wszystkim, którzy ze mną zostali, którzy wierzyli, którzy słuchali. Pomogliście mi odbudować się na nowo. A teraz jestem gotowa na więcej" – podsumowała Luna. Dobrze, że pani Luna czuje się już lepiej, tylko pytanie, czy słuchacze są gotowi „na więcej".

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

GOŚKA NA PREZYDENTA!

Podobnie jak szanowni czytelnicy znają wyniki Eurowizji, tak samo wiedzą, jak zakończyła się pierwsza tura wyborów prezydenckich. Na opis reakcji celebrytów zapraszam za tydzień, a dziś jeszcze wspomnień czar. Swojego poparcia kandydatowi KO udzieliła przed 18 maja aktorka Katarzyna Warnke. „Już czas! Na obywatelską wypowiedź :). Do której mam prawo, jak każdy, prawda?" – napisała zaczepnie gwiazda na Instagramie. Dalej Warnke wymieniła powody, dla których nie chce, aby ktoś inny niż wiceszef PO został prezydentem RP. „Bo nie chcę kandydata/kandydatki, który/która nie ma szans na wygraną; bo nie chcę kandydata o kibolskich manierach i relacjach z półświatkiem, gangsterami – nie imponuje mi to; nie chcę też takiego, który nie może się zdecydować, czy jest kandydatem obywatelskim czy partyjnym, choć wszyscy wiemy, że z tym obywatelskim to ściema. Ściemy nie toleruję u kandydata; nie chcę kandydata kościółkowego, bo wiem, że polityka nowoczesnego państwa nie może służyć instytucji Kościoła, że Kościół gnije od polityki; nie chcę nieudacznika, który nie wie, jak sobie zrobić jajecznicę, i jeszcze się tym chwali; [...] nie chcę takiego, który nie widzi siły Polski w Europie" – podkreślała. Co Warnke ceni w Trzaskowskim? Zaskoczenia brak, bo dostajemy zestaw zgranych argumentów podnoszonych przez przedstawicieli Polski uśmiechniętej. „Podoba mi się kandydat Rafał Trzaskowski: ze swoją otwartością, komunikatywnością, brakiem afer na koncie; biegłą znajomością języków obcych; ogromnym, bo wieloletnim doświadczeniem w zarządzaniu Stolicą, jako jej Prezydent (mieszkam w Warszawie, wiem, co mówię); podoba mi się to, co mówi i jak mówi... i podoba mi się Pani Małgorzata Trzaskowska. Bardzo. Bo jej zaangażowanie jest po prostu wspaniałe, pełne treści, dobrej energii – relacja tych Państwa naprawdę dobrze wróży :). Może już dość milczenia, słabych uśmiechów i braku zaangażowania, które prezentuje obecna Pierwsza Dama??? Reszty pań, żon innych kandydatów, po prostu nie widać, co zwiastuje ten sam brak stylu, co u obecnej Damy" – podsumowała złośliwie pani Kasia. Trzaskowski Trzaskowskim, ale ta kobieca złośliwość...

ŁOBUZ KOCHA NAJBARDZIEJ

Wokalistka Patrycja Markowska udzieliła „Żurnaliście" szczerego wywiadu. W rozmowie opowiedziała o swoich romansach z przeszłości i przyznajmy – jest ciekawie. Wyznała bowiem, że w wieku 15 lat zakochała się w tzw. niegrzecznym chłopcu. Chociaż określenie „chłopiec" nie bardzo oddaje rzeczywistość, ponieważ chodziło o 25-letniego mężczyznę. Mężczyzna ów przebywał w więzieniu, a zakochana nastolatka słała do niego listy miłosne.

– To było platoniczne. Ja wtedy bardzo się zakochałam w takim łobuziaku, no i on był piękny i po prostu też wydawał mi się taki wrażliwy i ekstra, i miał ciężkie dzieciństwo, więc mnie to bardzo wzruszało [...]. Ja byłam gówniarą i widział, że za nim latam, ale nigdy nie przekraczał granic, więc był takim romantycznym łobuziakiem – wyznała Markowska. „Romans" zakończył się w chwili, gdy ojciec Patrycji odkrył listy. – W końcu tata się dowiedział i miałam straszny dym. Ja mu dałam list, żeby go wysłał. Nie wpadłam na to, że przeczyta, gdzie. I wpadł w nocy do mnie do pokoju, wydarł się, że chyba oszalałam, że piszę do aresztu śledczego – opowiada Markowska. – W łobuzach zawsze była jakaś taka prawda, kręciło mnie, jak chłopak, nie wiem, brał gitarę albo nawet jak komuś przywalił, ale jakieś emocje mi się z tym wiązały – dodała piosenkarka. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Och, kochani, jaka to była piękna kampania wyborcza! Chyba jedna z lepszych, jakie pamiętamy. Będzie nam brakowało tych wieczorów z debatami, spotów wyborczych, sondażowych gorączek, pogoni Hołowni za Mentzenem.

Jednego będzie nam żal, a więc Rafała Trzaskowskiego zmęczonego tym, w czym musi brać udział – zupełnie bez sensu, bo przecież wygraną ma w kieszeni. Pisząc te słowa, of kors nie wiemy na pewno, jakim wynikiem zakończyła się pierwsza tura, ale mamy 99,99 proc. pewności, iż w drugiej turze znalazł się właśnie Rafał.

A z kim? Wszystko jedno, iż wygraną ma i tak w kieszeni. Będą pewnie kolejne debaty, takie jeden na jednego, ale w zasadzie ich zwycięzcę możemy ogłosić już teraz. A wy bardzo dobrze wiecie, kto nim będzie, prawda xD?

W cieniu kampanii wyborczej i wyborów prezydenckich toczy się normalne życie, w którym Polacy marnują czas na nieefektywną pracę w przestarzałych zawodach. Jak bowiem wynika z danych Eurostatu, Polacy – a także Grecy i Bułgarzy – poświęcają w tygodniu najwięcej godzin na pracę.

No ale co z tego, skoro w Polsce niestety nie zajmujemy się żadnymi nowoczesnymi obszarami, a raczej dostarczamy rynkowi albo kuców z polibudy klepiących kody dla zachodnich korporacji (bo polskie nie istnieją – no ciekawe dlaczego?), albo wąsatych januszów, którzy siedzą w tych wszystkich sprawach mechanicznych – śrubkach, przewodach, suwmiarkach; albo wreszcie księgowe, które później ich wszystkich muszą rozliczyć i nie oszaleć od polskich przepisów podatkowych.

Wydawać by się mogło, że skoro tyle się w tym kraju pracuje, to powinniśmy być krajem dostatnim, nowoczesnym i zaawansowanym nie tylko technologicznie, lecz także społecznie. A tymczasem sami wiecie, jak jest. Zasłona ciemności rozpięta nad tym krajem była tak gęsta i szczelna, iż rządowi do tej pory nie udało się jej do końca zdjąć pomimo wytężonych starań.

Do tego teraz pojawiają się plany, iżby tydzień pracy skrócić, abyśmy w tym kraju mogli pracować krócej, za to samo wynagrodzenie. Naszym zdaniem jest to świetna i odważna propozycja, iż skoro pracujemy dużo, ale nic nie wypracowujemy, to gdy będziemy pracować krócej, przecież nie wypracujemy większego nic, a więc będzie bez zmian xD.

Tak patrzymy za okno i wiecie co? My oczywiście doskonalne rozumiemy, iż planeta płonie, mamy zmiany klimatyczne, występują anomalia, ale jednak ten maj to jest przesada.

W efekcie niskich temperatur widzimy na ulicy zdezorientowane jesieniary owinięte szalikami, próbujące zrozumieć, czemu nie mogą kupić dyniowego latte, skoro jest 10 stopni i pada.

Powiemy szczerze: chcielibyśmy, iżby w końcu było ciepło, i jest nam z tego powodu wstyd, bo to tak samo, jakbyśmy chcieli, iżby lodowce stopniały, wyginęły pandy, a aktywiszcza ostatniego pokolenia były stawiane przed sądami.

Obiecujemy więc, iż jeśli wreszcie zrobi się ciepło, to w ramach zadośćuczynienia nałożymy sami na siebie lockdown klimatyczny (iż w korpo mamy klimatyzację, łazienkę i możemy wstawić do open space'a rozkładane łóżko polowe). ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Niedługo rotacja

Szymek, czego się mażesz?
Ja... ja... się wcale nie mażę, Włodek. Alergię mam.

Ta, jasne. Chyba na wyniki wyborów. No, ale sam chciałeś.
Ty za to nawet procenta głosów nie dostałeś, bo się bałeś startować.

Nie bałem się, tylko mądrzejszy trochę jestem. Madzia z siebie durnia zrobiła, nie ja. Aha, i zacznij się pakować z gabinetu.
Ale że niby jak?

Normalnie, do kartonów jakichś. Rotacja będzie niedługo.
To jeszcze się zobaczy!

Ja ci mogę parę kartonów przynieść. Ty weź sprawdź, czy w „Mam talent" cię znowu wezmą. Bo jakby tytuł potraktować poważnie, to nie powinni. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kaczyński wybrał Nawrockiego, bo Rosjanie chcą mieć w Polsce posłusznego prezydenta, prowadzonego na hakach".

TOMASZ PIĄTEK, publicysta, na platformie X

eprasa.pl 2c9e32c730

dwaj panowie g

Kampania kampanią, ale na świecie dzieją się rzeczy naprawdę ważne, więc witamy nowego Ojca Świętego Leona XIV. Pozdrawiamy też przy okazji przedstawicieli mediów tzw. głównego nurtu w kraju i za granicą, którzy są zaszokowani faktem, że papieżem został katolik. Nie chwaląc się, spodziewaliśmy się takiego rozwiązania.

W dniu wyboru Leona XIV zmarnowaliśmy maleńki kawałek swojego życia, oglądając neo-TVP. Ale nie żałujemy, gdyż dzięki temu mogliśmy obejrzeć występ szeroko uśmiechniętego o. Michała Legana. My też się szeroko uśmiechaliśmy i już tłumaczymy dlaczego: otóż o. Legan to szef redakcji audycji katolickich TVP, którą zamachowcy z neozarządu zamierzają zlikwidować, bo tak tylko rozumieć można wezwania do podpisania nowej umowy z episkopatem opartej „na realnych założeniach i możliwościach finansowych".

Na początek spraw politycznych coś z życia resortu. Niedawno jeden z porządnych prokuratorów był przesłuchiwany na polecenie siepaczy Bodnara i Korneluka na okoliczność zbrodni PiS. Ku swojemu zdumieniu usłyszał od przesłuchującego go prokuratora, że on tu żadnego przestępstwa nie widzi i gdyby nie polecenie służbowe, to odmówiłby wszczęcia postępowania albo je umorzył. Na koniec dodał jeszcze: „Firma czeka, aż panowie wrócą, bo w tym syfie, który jest teraz, pracować się nie da".

Powyższą przypowieść prosimy potraktować jako motto dzisiejszej rubryki. Po jej zamieszczeniu możemy już przejść do kampanii, której najfajniejsza, bo wieloosobowa część już się zakończyła. Dla wszystkich, którzy odpadli w pierwszej turze, mamy ważną wiadomość: nie martwcie się, wszyscy wygraliście! Sam fakt, że mogliście towarzyszyć w wyborczych zmaganiach tak wybitnej osobowości i niezwykłej jednostce jak kandydat Rafał Kazimierz, to przygoda życia. Medal cenniejszy niż złoto. Mamy nadzieję, że na pożegnanie Rafał rozda pokonanym książki Edgara Morina i Bronisława Geremka. Swojej nie musi, wszyscy już mają. I to jest najgorsza wiadomość dla jego sztabowców.

Z okazji pożegnań w wielkiej turze chcieliśmy wszystkim kandydatom podziękować za ubogacenie naszego życia. Szczególne podziękowania składamy na ręce Krzysztofa Stanowskiego, który postanowił odwalić całą robotę, którą normalnie musiałby się zająć sztab PiS.

Apropos sztabu PiS – ucięliśmy sobie ostatnio pogawędkę z doświadczonymi przedstawicielami twardego jądra partii. Rozmowa ta wprawiła nas w bardzo dobry nastrój przed drugą turą. Otóż starzy PiS-owcy strasznie jęczeli i narzekali na sztab: że tam wszyscy tacy młodzi, a średnia wieku delegacji chodzących raportować z Szefernakerem do naczelnika to jakieś 30 lat. Przyznamy szczerze: to chyba pierwszy moment, w którym pomyśleliśmy, że Karol Tadeusz może wygrać.

Jeszcze zabawny szczególik zza kulis. Kiedy tylko wybuchła tzw. afera kawalerkowa, rozdzwoniły się nasze telefony i inne łatsappy. Dzwonili do nas różni zaniepokojeni ludzie, by wyrazić współczucie dla kandydata Karola oraz głęboką troskę o to, co teraz będzie z jego kampanią. Wszystko to dobrze zapamiętaliśmy, gdyż były to dziwnym trafem osoby zdecydowanie przeciwne, by kandydat Karol był kandydatem PiS. Takiej fali fałszywego współczucia nie widzieliśmy od chwili, jak Jacek Kura-Kurski odwołany został z telewizji.

Tymczasem na lewicy. Na finiszu kampanii przed pierwszą turą transformacja tęczowego Rafała w ponurego prawicowego dziada borowego została uwieńczona niespodziewanym sukcesem. Otóż platformerski prezydent Krakowa nakazał w związku z wiecem platformerskiego Rafała zdjąć z rynku kolorowe flagi LBGT i zastąpić je flagami biało-czerwonymi. Galilejczyku, zwyciężyłeś! To znaczy nie, moment, to trzeba jakoś inaczej… O, mamy: Chrobry, zwyciężyłeś!

Nie bez powodu odwołujemy się do Chrobrego. Ledwie doszliśmy do siebie po tym, jak Zły Donald z Sopotu wyjechał z „narodową doktrynę piastowską", a tu już premier znowu

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 2c9e32c730

dołożył do pieca i ogłosił w Szczecinie program „Polskie morze" i powołał „Bałtycką Wartę", dzięki której „wszystko, co jest nad morzem i na morzu", ma być bezpieczne. Niecierpliwie czekamy na zaślubiny Tuska z morzem dokonane na bogato, z rzucaniem pierścieni w odmęty. W razie braku pierścienia zawsze rzucić można egzemplarz konstytucji. Przecież i tak już nie jest Donaldowi do niczego potrzebna.

Żeby było śmieszniej, wszystko, o czym piszemy wyżej, nazwał Tusk „myśleniem po piastowsku". Trochę się boimy efektów tego myślenia. Bo może Zły Donald będzie teraz, jak Bolesław Chrobry, wybijał zęby ludziom, którzy nie przestrzegają postu? Nie boimy się o siebie, bo my przestrzegamy, ale mamy w Platformie wielu znajomych. No i nie chcielibyśmy też, żeby do neo-TVP przychodzili tylko ludzie, którzy seplenią.

Z tej okazji krótki żarcik. Czym różni się Bolesław Chrobry od Donalda Tuska? Ten pierwszy wybijał zęby polskim grzesznikom, ten drugi – polskiej demokracji.

À propos neo-TVP. Jak pamiętacie, pisaliśmy tydzień temu o zaawansowanych planach wymiany neo-Syguta i neo-Sajóra na neo-Zająca. Obecne neowładze nie pozostają bezczynne. Otóż usiłują wychodzić sobie jeszcze lepsze umowy, choć i tak zarabiają w cholerę kasy. Ale wiedzą, co robią – każdy tysiączek się liczy przy

Krótki żarcik. Czym różni się Bolesław Chrobry od Donalda Tuska? Ten pierwszy wybijał zęby polskim grzesznikom, drugi – polskiej demokracji

odprawie. Zwłaszcza że wiedzą, że TVN czy Polsat ich nie weźmie.

Skoro padło już hasło „TVN", to musimy znaleźć miejsce na dawną gwiazdkę tej stacji, czyli Szymona Franciszka, do niedawna kandydata, obecnie już tylko marszałka Sejmu. Otóż zwróciło naszą uwagę, że Szymon wreszcie wskazał, co rząd zrobił źle. W wywiadzie dla Interii ogłosił, że największy błąd całej kadencji to brak rzecznika rządu. Niestety, nie możemy się z Szymonem zgodzić. Rząd nie potrzebuje rzecznika, gdyż jego czyny mówią same za siebie.

W ostatnich dniach kampanii przyleciał do Polski były amerykański prezydent Barack Hussein Obama. Odwiedził on polskie Los Angeles, czyli Poznań. Skąd to porównanie? – zapytacie. Przecież w Poznaniu nie produkuje się filmów. No tak – odpowiadamy – ale liberałów się tam produkuje równie licznie jak w Kalifornii, czego dowodem wyniki wszystkich kolejnych wyborów na cokolwiek i kogokolwiek.

Wizyta prezydenta Baracka Husseina mogła być ważnym punktem kampanii kandydata Rafała, ale do spotkania nie doszło. I my to rozumiemy. Bo niby o czym miałby hardcore'owy prawak Rafał rozmawiać z Obamą? Powiedzieć: „Ej, słuchaj, stary, zdjęliśmy właśnie w Krakowie flagi LGBT, żeby powiesić narodowe"? Barack może i wygląda dobrodusznie, ale jego spokój też ma swoje granice.

Tymczasem w Rumunii. Przed drugą i decydującą turą wyborów antysystemowiec George Simion podjął decyzję, by bywać w ojczyźnie jak najmniej. Ta nietypowa decyzja wywołana była niechęcią do rumuńskich mediów, które są równie obiektywne jak polskie, znaczy te głównego ścieku.

Jak wiecie, Simion aktywnie wspierał kandydata Karola Tadeusza na finiszu kampanii przed pierwszą turą, niespodziewanie pojawiając się u jego boku w Zabrzu. Rumuńskie media relacjonowały to nagłówkami: „Simion wspiera prorosyjskiego kandydata w Polsce". Polskie zaś nagłówkami: „Prorosyjski kandydat wspiera Nawrockiego". Jak widać, równowaga w obiektywizmie zachowana została idealnie.

À propos wyborów prezydenckich w Rumunii, jeden z Panów G. wybrał się tam z wizytą roboczą. Pierwsze, co usłyszał z okolic sztabu Simiona, to tezę, że w niedzielę wieczorem ogłoszony zostanie remis w drugiej turze, a potem źli ludzie spróbują ukraść wybory. Gdy czytacie te słowa w poniedziałek, wiecie już zapewne, kto miał rację.

Przy okazji: mało kto wie, że rumuńskie sondaże i exit poll są mniej więcej tak wiarygodne jak obietnice Putina i polskie sondażownie wypadają na ich tle wyjątkowo profesjonalnie i wiarygodnie. Zapytaliśmy więc rumuńskich przyjaciół, po co publikuje się różne sondaże z czapy, skoro i tak wszyscy wiedzą, że są nieprawdziwe. Otóż publikuje się je po to – poinformowali nas rumuńscy przyjaciele – żeby potem źli ludzie kradnący wybory mogli dopasować rzekomo prawidłowy wynik do rzekomo prawdziwych sondaży. Jak widać, polska demokracja musi się jeszcze wiele nauczyć.

Na koniec wieści ze służb, gdzie panuje atmosfera niecierpliwego wyczekiwania. Zaprzyjaźniony człowiek z jednej instytucji mającej trzyliterowy skrót stwierdził: „U nas normalnie włoski strajk. Wszyscy czekają na wynik wyborów prezydenckich". Jak nas poinformował, z wyjątkiem dzieci esbeckich służby będą głosowały za Nawrockim, a co radykalniejsi – za Braunem. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

Z Ołeksijem Arestowyczem, blogerem, byłym doradcą Biura Prezydenta Ukrainy
rozmawia Maciej Pieczyński

Zełenski to „chutorowy dyktator”

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Związali swój los z propagandą w interesie państwa rosyjskiego i usprawiedliwiają wojnę. Realizują aktywne operacje informacyjne przeciwko Ukrainie” – tak Wołodymyr Zełenski uzasadniał swoją decyzję o objęciu sankcjami pana i kilkudziesięciu innych osób. Jak pan skomentuje te zarzuty?

OŁEKSIJ ARESTOWYCZ: Odpowiem liczbami. Z własnej kieszeni wpłaciłem na konto Sił Zbrojnych Ukrainy łącznie prawie 28 mln hrywien (ok. 2,5 mln zł). Zamiast wydać te pieniądze na przyszłość trojga swoich dzieci, wsparłem armię swojego kraju. Mniej więcej drugie tyle zebrałem dla SZU poprzez publiczne zbiórki. Proszę powiedzieć, czy tak zachowują się rosyjscy szpiedzy.

Zdaniem Zełenskiego pańskie wypowiedzi bardziej szkodzą Ukrainie, niż pańskie pieniądze pomagają.

A czy Petro Poroszenko, który wcześniej został objęty sankcjami, też szerzy propagandę rosyjską i „usprawiedliwia wojnę”?

Akurat Poroszenko znany jest z patriotycznej retoryki.

Sankcjami objęci mają zostać również mer Kijowa Witalij Kliczko oraz były szef Biura Prezydenta Andrij Bohdan, który wyniósł Zełenskiego do władzy. Czyżby któryś z nich był rosyjskim szpiegiem?!

Żaden z nich nie ma na koncie tak kontrowersyjnych wypowiedzi na temat wojny jak pan.

Mnie, Poroszenkę, Kliczkę czy Bohdana dzieli wiele, ale łączy jedno – stanowimy dla Zełenskiego potencjalną polityczną konkurencję – czy to w parlamentarnych, czy to w prezydenckich wyborach, które w końcu się odbędą. Sankcje nie są więc wymierzone we wrogów Ukrainy, tylko w opozycję. Rządy Zełenskiego można już nazwać jednoosobową dyktaturą.

Zgadza się pan ze słynnymi słowami Donalda Trumpa, który ukraińskiego prezydenta nazwał „dyktatorem bez wyborów”?

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Zełenski to klasyczny „dyktator bez wyborów”.

Czy uważa pan, że 20 maja 2024 r., wraz z upływem kadencji, Zełenski przestał być legalnym prezydentem?

To powinien wyjaśnić Sąd Konstytucyjny. Niestety, ten organ został de facto przez Zełenskiego spacyfikowany. A i tak prezydent nie zwrócił się do SK z prośbą o potwierdzenie własnej legitymacji.

Tak czy inaczej, ukraińskie prawo nie pozwala na przeprowadzenie wyborów podczas obowiązy-

eprasa.pl 2c9e32c730

FOT. MARKO LUKUNIĆ/PIXSELL/FORUM

wania stanu wojennego. Oczywiście prawo można albo zmienić, albo odpowiednio zinterpretować, tyle że nie widać ku temu woli politycznej. Nawet najważniejsze siły opozycji nie chcą wyborów w warunkach wojny na pełną skalę.

Możliwe są różne podejścia. W Wielkiej Brytanii podczas drugiej wojny światowej nie przeprowadzono wyborów. Ale już w Izraelu stan wojenny nie był i nie jest wystarczającym powodem, aby zrezygnować z głosowania…

Czy wykorzystywanie narzędzi prawnych takich jak sankcje wobec przeciwników politycznych to wystarczający powód, aby nazywać Zełenskiego „dyktatorem"?

Nie tylko ja zostałem nimi objęty, lecz także łącznie ok. 8,3 tys. osób. Zostaliśmy de facto pozbawieni obywatelstwa. Straciłem odznaczenia państwowe, które otrzymałem za walkę na froncie. Mam zablokowane rachunki bankowe. Czterech ukraińskich żołnierzy walczących na froncie w geście solidarności ze mną zwróciło swoje ordery Zełenskiemu. Zełenski łamie konstytucję, która zabrania nakładania sankcji przeciwko własnym obywatelom…

Ale nie zabija przeciwników politycznych, nie zamyka ich w obozach koncentracyjnych…

Represjonuje opozycjonistów. Wielu deputowanych do Rady Najwyższej musiało uciec z kraju. W więzieniu siedzi Ihor Kołomojski – dawny sponsor Zełenskiego i patron jego kariery politycznej.

Gdy Zełenski wszedł do polityki, był nazywany marionetką Kołomojskiego. Może użycie kroków prawnych było jedyną drogą wyzwolenia się spod wpływu oligarchy? Kołomojski nie jest postacią krystaliczną, więc nie było trudno znaleźć na niego haka. Za oligarchą nikt płakać nie będzie.

Nie chodzi o to, żeby współczuć oligarsze. Jednak ten konkretny przypadek pozwala zrozumieć logikę działań Zełenskiego. Rozprawia się on z tymi, którzy wynieśli go do władzy. I to rozprawia się brutalnie. Stan zdrowia Kołomojskiego za kratami znacząco się pogorszył, ponieważ nie udzielano mu na czas pomocy lekarskiej. Nieomal stracił wzrok. To raczej represje niż sprawiedliwość. Prześladowani są deputowani do Rady Najwyższej. Artem Dmytruk był z powodu swoich poglądów torturowany przez SBU i musiał wyjechać z Ukrainy. Ołeksandr Dubinski siedzi w areszcie, był bity podczas śledztwa. Ukraińskie władze sięgają też po inne metody walki z opozycją. 8 maja Rada Najwyższa zatwierdzała umowę z USA w sprawie metali ziem rzadkich. Zełenski zaapelował do Waszyngtonu o odebranie amerykańskich wiz ukraińskim parlamentarzystom, którzy zagłosowali przeciwko ratyfikacji. Czyli prezydent niepodległego państwa wzywał obce mocarstwo do represji przeciwko swoim rodakom z powodu ich działalności, która mu się osobiście nie spodobała.

A może w warunkach wojny dyktator jest potrzebny?

Może i tak, ale potrzebny dyktator to dalej dyktator. Poza tym, skoro tak, to powinniśmy nazwać rzeczy po imieniu. Zamiast udawać, że Ukraina jest państwem demokratycznym, należałoby oficjalnie zalegalizować dyktaturę. Nawiasem mówiąc, system władzy Zełenskiego nazwałbym „chutorowym putinizmem". Czyli ukraińskim, bardzo prymitywnym wariantem putinowskiej dyktatury. Jest to system rządów skrajnie etatystycznych, opartych na dużej roli służb specjalnych, przesiąknięty szowinizmem, dyktatura łamiąca prawo i konstytucję, prześladująca przeciwników politycznych i całe grupy ludności.

Czym ten „chutorowy putinizm" różni się od putinizmu?

Może nam się polityka Kremla nie podobać, ale jest ona propaństwowa. Putin działa w interesie Rosji tak, jak sam ten interes rozumie. Możemy się spierać, czy rozumie dobrze czy źle. Niemniej w Rosji panuje kult państwa. Zełenski natomiast nie tylko nie myśli w kategoriach propaństwowych. On nawet nie ma pojęcia, czym właściwie jest państwo. Proszę mi wierzyć, jako człowiekowi, który przez dwa i pół roku obserwował Zełenskiego z bliska, w chwilach podejmowania najważniejszych dla Ukrainy decyzji. „Chutorowy dyktator" Zełenski swojej siły używa po to, aby niszczyć wolności obywatelskie, a nie w służbie państwa. Systematycznie prześladuje Ukraińską Cerkiew Prawosławną, a to od 3 do 6 mln wiernych...

… którzy mogą przejść do Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, niezależnej od patriarchatu moskiewskiego.

Ale to byłaby przymusowa zmiana tożsamości. Jeśliby jednej trzeciej Polaków katolików kazano przejść na protestantyzm, to raczej nie byliby zachwyceni. Ponadto Zełenski prześladuje rosyjskojęzycznych Ukraińców. Patronuje fali nacjonalizmu. Państwo wbrew prawu i konstytucji represjonuje własnych obywateli tylko dlatego, że posługują się rosyjskim. Pojawił się nawet pomysł, by karać grzywną za używanie tego języka w mediach społecznościowych.

Z jednej strony, rosyjski to język agresora. Z drugiej strony, doszukiwanie się propagandy kremlowskiej nawet w apolitycznej rosyjskiej muzyce czy serialach nieporuszających tematu wojny rzeczywiście tylko ośmiesza ideę walki z wrogiem…

Dowodem zaufania między Ukraińcami jest dziś przejście w prywatnej

eprasa.pl 2c9e32c730

rozmowie na język rosyjski, który staje się na Ukrainie językiem wolności.

Brzmi absurdalnie. Przecież to język wroga.

Oficjalnie wszyscy starają się mówić po ukraińsku. Ale coraz częściej nawet patriotycznie nastawiona młodzież, w geście buntu, posługuje się rosyjskim. Efekt cenzorskich zapędów jest więc odwrotny do zamierzonego. Ale kwestia językowa to tylko jeden z wielu przykładów antypaństwowej polityki prezydenta Ukrainy. Jednym z poważniejszych jest busyfikacja [przymusowa mobilizacja – przyp. red.].

Ktoś przecież musi walczyć z agresorem. Mobilizacja była i jest Ukrainie potrzebna.

Jeszcze w marcu 2022 r. uprzedzałem obóz władzy, że błędem jest mobilizacja nie tylko przymusowa, lecz także prowadzona przez samą armię. W oczach narodu żołnierz w mundurze powinien być symbolem obrony przed zagrożeniem. Niestety, udział armii w busyfikacji sprawił, że Ukraińcy swoich obrońców zaczęli się bać tak samo jak wojsk agresora. Mobilizacją powinna się zajmować policja. Ludzie nie tylko nienawidzą własnych żołnierzy, lecz także płacą łapówki lekarzom i urzędnikom, żeby tylko nie trafić na front. Niechęć do służby w wojsku rodzi plagę korupcji, na której zarabiają rządzący na różnych szczeblach władzy.

Wróćmy do istoty tego, co nazywa pan „dyktaturą". Skoro Zełenski rządzi nazbyt twardą ręką, to czy Ukraińcy nie wychodzą na Majdan tylko dlatego, że trwa wojna?

Zełenski znajduje się u szczytu politycznej potęgi, w związku z czym każdy, kto wyjdzie przeciwko niemu protestować, może zostać zmobilizowany do armii i wysłany na szczególnie trudny odcinek frontu. Przeciwnikom prezydenta grozi śmierć, i oni to rozumieją.

Zełenski znajduje się u szczytu potęgi. Ale czy u szczytu popularności? Z jednej strony, jego gwiazda powoli gaśnie, z drugiej strony to oczywiste, że Trump mijał się z prawdą, przypisując mu 4 proc. poparcia.

Wtedy mógł mieć 15–16 proc. poparcia, teraz pewnie 24, może 28 proc.

To wciąż wysokie poparcie jak na „dyktatora". Szczególnie że według sondaży lideruje wśród zawodowych polityków, z reguły ustępując jedynie Załużnemu.

Racja, tylko trzeba się zastanowić, czy jest to poparcie dla Zełenskiego czy dla urzędu prezydenta. W warunkach wojny to naturalne, że ludzie skupiają się wokół władzy. Obstawiam, że sam Zełenski ma poparcie ok. 15–16 proc., a prezydent Zełenski – prawie 30.

Można odnieść wrażenie, że wielu krytyków Ukrainy skupia się na Zełenskim, mając nadzieję, że jego odsunięcie od władzy rozwiąże wszystkie problemy. Ale przecież to dość oczywiste, że nie zastąpi go polityk prorosyjski, który nagle będzie godził się na wszelkie ustępstwa wobec Rosji. Skąd ta osobista niechęć Trumpa (nie mówiąc już o Putinie) do Zełenskiego?

Stąd, że Zełenski nie przestrzega umów. Jego modus operandi to porzucać wszystkich sojuszników, partnerów czy patronów politycznych. Jedyny, który jak dotąd ukarał Zełenskiego za niewykonanie zobowiązań, to Putin. Problem w tym, że w zasadzie to ukarał Ukrainę, bo samemu Zełenskiemu włos z głowy nie spadł. Na ulicę Bankową w Kijowie nie spadła żadna rosyjska rakieta. Co do Trumpa, to znalazł się on w bardzo trudnej sytuacji. Obiecał, że błyskawicznie zakończy wojnę, a teraz jest w potrzasku, bo wiadomo już, że słowa nie jest w stanie dotrzymać.

Kto stoi na przeszkodzie: Putin czy Zełenski?

Obaj. Putin stawia żądania, których Amerykanie nie mogą spełnić. Musieliby przecież porzucić Ukrainę w podobnym stylu, w jakim Biden uciekł z Afganistanu. A to jest scenariusz, którego Trump boi się najbardziej. To byłaby jego osobista klęska. Natomiast Zełenski torpeduje plany pokojowe w tym sensie, że nie idzie nawet na ostrożne kompromisy proponowane przez Amerykanów. Putin wyczuł słabość Trumpa i licytuje wysoko. Największy problem w tym, że Trump nie ma żadnych realnych instrumentów wpływu na Putina. Ukraina i Zełenski to dla amerykańskiego prezydenta toksyczne aktywa, położone na drugim końcu świata i nie wiadomo do końca, po co mu potrzebne. Dziś kieruje nim głównie strach przed totalną kompromitacją w stylu afgańskim. Putinowi na Ukrainie zależy o wiele bardziej niż Trumpowi. Żeby zrealizować swoje interesy nad Dnieprem, władca Kremla gotów byłby nawet do użycia broni jądrowej. Trump chciał przeciągnąć Rosję na swoją stronę w konfrontacji z Chinami. Tymczasem 9 maja Xi Jinping oglądał wraz z Putinem defiladę zwycięstwa na placu Czerwonym. Dziś jest absolutnie jasne, że Rosja wybrała Chiny. Trump nie wyśle żołnierzy na Ukrainę. Sankcjami można było straszyć Putina wiosną 2022 r., a nie dziś, kiedy wiadomo, że Moskwa przełamała międzynarodową izolację. Umowa w sprawie metali ziem rzadkich nie jest wystarczającym powodem do konfrontacji USA z Rosją. Tymczasem sami Ukraińcy mają coraz więcej wątpliwości co do sensu dalszej walki. Zaczynają się zastanawiać, w imię czego mają ryzykować swoje życie. W obronie państwa, które coraz bardziej przypomina Rosję?! Los Ukrainy wydaje się przesądzony. Albo stanie się neutralna, albo zostanie podbita przez Rosję, albo będzie areną działań wojennych, tak jak teraz. Moskwa nie będzie tolerować nieprzyjaznej sobie Ukrainy u bram. Dopóki Kijów nie ogłosi neutralności, dopóty każdy rozejm będzie jedynie krótszą lub dłuższą pauzą w działaniach wojennych.

Na antenie jednego z amerykańskich prawicowych podcastów stwierdził pan, że ufa bardziej Putinowi niż Zełenskiemu. Jak można bardziej ufać liderowi państwa agresora, zbrodniarzowi wojennemu, niż przywódcy państwa ofiary agresji?

Nie chodzi o zaufanie pod względem moralnym, tylko pod kątem analitycznym. Putin jest zwyczajnie bardziej przewidywalny niż Zełenski. Jego cele geopolityczne i metody są bardziej zrozumiałe. Łatwiej jest go prognozować. Wiadomo, czego chce. Dotrzymuje podpisywanych umów, inaczej niż Zełenski. To paradoks – lider demokratycznego świata Zełenski jest mniej wiarygodnym partnerem do rozmów niż krwawy dyktator, agresor i zbrodniarz wojenny Putin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ołeksij Arestowycz *– ukraiński analityk polityczny i wojskowy pochodzenia polsko-białorusko-rosyjskiego. W latach 2020–2023 doradca szefa kancelarii prezydenta Ukrainy do spraw komunikacji strategicznej w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego i obrony. Od 2023 r. na emigracji.*

eprasa.pl 2c9e32c730

Rada Polskich Przedsiębiorców Globalnych

I Forum Ekspansji Międzynarodowej

Jak zwiększać eksport
w erze niepewności geopolitycznej?

Poznaj liderów globalnej ekspansji

- Ryszard Florek — FAKRO
- Krzysztof Domarecki — SELENA
- Tadeusz Chmielewski — RÖHLIG SUUS
- Adam Sikorski — UNIMOT
- prof. Małgorzata Podrecka — CANPACK
- Artur Rytel — Green Factory

Sprawdź pełną agendę wydarzenia i poznaj wszystkich ekspertów

ZAREJESTRUJ SIĘ **WWW.EKSPANSJAFORUM.PL**

11 Czerwca 2025

Look Up Skyevents Warszawa

eprasa.pl 2c9e32c730

Odkąd Zełenski doszedł do władzy, przeciwko Petrowi Poroszence (na zdjęciu) toczyło się ok. 20 postępowań karnych, z których żadne nie zakończyło się wyrokiem skazującym

FOT. YEVHEN KOTENKO/UKRINFORM/EAST NEWS

Hegemonia „sługi narodu”

Maciej Pieczyński

W warunkach wojennego zapotrzebowania na silnego lidera Zełenski skupił w swoich rękach niemal nieograniczoną władzę. Wciąż cieszy się sporym poparciem społeczeństwa i lojalnością opozycji, która w odpowiedzi na represje często nadstawia drugi policzek

Czy Donald Trump miał rację, gdy w lutym nazwał Zełenskiego „dyktatorem bez wyborów”, którego popiera ledwie 4 proc. Ukraińców? Bynajmniej, choć są niuanse, które trzeba wyjaśnić. Teoretycznie kadencja prezydenta zakończyła się 20 maja 2024 r. Jednak ukraińskie ustawodawstwo zabrania przeprowadzania wyborów podczas obowiązywania stanu wojennego. Prawo zawsze można zmienić, ale tego nie chce nawet opozycja. Śmiertelny polityczny wróg Zełenskiego, Petro Poroszenko, na spotkaniu z zagranicznymi dyplomatami jakiś czas temu stwierdził, że wybory zabijają jedność narodu, która jest kluczowa podczas wojny. Były prezydent Ukrainy jest w tej sprawie bardzo konsekwentny. W lutym, w wywiadzie dla portalu Cenzor.net, oskarżył nawet władzę o niecne plany przeprowadzenia wyborów w październiku 2025 r. Szef parlamentarnej frakcji Sługi Narodu Dawyd Arachamija stanowczo tym „oszczerstwom” zaprzeczył.

Przeciwko głosowaniu podczas wojny opowiadają się również inni liderzy opozycji, jak choćby Julia Tymoszenko czy Witalij Kłyczko. Wiele wskazuje na to, że nawet Trump nie potrafił zbuntować przeciwko Zełenskiemu jego przeciwników politycznych nad Dnieprem. W pewnym momencie portal Politico donosił, że Waszyngton rozmawia z Tymoszenko i Poroszenką o możliwości przeprowadzenia wyborów jak najszybciej, jeszcze w czasie trwania działań wojennych. Oboje publicznie te rewelacje zdementowali. Nie ma powodu, by w tym konkretnym wypadku im nie wierzyć.

Mamy więc do czynienia z kuriozalną sytuacją, w której ani władza, ani opozycja nie chcą startować w wyścigu po stery państwa. Powodów jest kilka. Po pierwsze, zapewne wiele prawdy jest w patetycznych zapewnieniach, że chodzi o konieczność zachowania jedności w obliczu walki z wrogiem. Po drugie, sondaże pokazują, że Ukraińcy nie chcą wyborów podczas wojny. Po trzecie, naturalne w obecnej sytuacji skupienie wokół flagi dawałoby przewagę Zełenskiemu – opozycja zwyczajnie się boi, że przegra. Natomiast dużo łatwiej będzie prezydenta atakować po zawarciu pokoju, gdy nie trzeba już będzie się przejmować konsekwencjami politycznych awantur, władza nie będzie miała powodu do przykręcania śruby, opozycja

eprasa.pl 2c9e32c730

zaś będzie miała większe moralne prawo do atakowania władzy. Po czwarte wreszcie, z perspektywy opozycji lepiej, żeby to Zełenski wziął na siebie odpowiedzialność za konieczne do zakończenia wojny ustępstwa wobec Rosji.

DOKRĘCANIE ŚRUBY

Wybuch wojny na pełną skalę sprzyjał wyciszeniu sporów politycznych. Z jednej strony Zełenski dość brutalnie spacyfikował opozycję, która, z drugiej strony, świadomie się na to godziła. Dotyczy to zarówno opozycyjnych partii, jak i niechętnych władzy mediów. Żeby ujednolicić państwową propagandę wojenną, utworzono telemaraton „Jedyne Wiadomości", czyli sześciogodzinny codzienny program informacyjny, nadawany przez kilka największych stacji telewizyjnych i prezentujący rządowy punkt widzenia. Wyłączono natomiast trzy kanały powiązane z Poroszenką, które dziś można oglądać jedynie w Internecie. Pytany o tę kontrowersyjną decyzję doradca szefa biura Zełenskiego, Mychajło Podolak, nazwał byłą głowę państwa narcyzem. Wychodzi więc na to, że Poroszenko stracił możliwość nadawania, bo w swojej telewizji promował siebie, zamiast promować prezydenta i państwowy wysiłek wojenny.

Za ograniczenie wolności mediów Kijów był krytykowany zarówno przez Waszyngton, jak i przez Komisję Europejską. Portale Ukraińska Prawda i Dzerkało Tyżnia oraz związana z Poroszenką telewizja 5 Kanał skarżyły się na naciski ze strony Biura Prezydenta, które miało blokować dziennikarzom kontakt z rządzącymi czy wywierać presję na różne firmy, aby zaprzestały współpracy reklamowej z tymi konkretnymi mediami. Dziennikarze portalu śledczego Bihus.info prawdopodobnie byli inwigilowani przez służby specjalne. Szef ukraińskiej agencji informacyjnej Ukrinform miał naciskać na media, tworząc listy niepożądanych tematów i ekspertów. Dziennikarz Jewhen Szulhat otrzymał wezwanie do wojska po tym, jak zaczął węszyć wokół podejrzanych interesów szefa jednego z departamentów w SBU.

Opozycja długo powstrzymywała się przed ostrzejszą krytyką pod adresem prezydenta, skupiając się na punktowaniu jego współpracowników czy apelach o rozprawę z szalejącą korupcją. W końcu jednak zaczęły padać pytania zarówno o niewłaściwe przygotowanie kraju do wojny (nieogłoszenie na czas ewakuacji i mobilizacji, szybkie oddanie obwodu chersońskiego), jak i błędy popełnione podczas wojny (nieskuteczność i buta w relacjach z zachodnimi sojusznikami, nieudolna mobilizacja, zapędy dyktatorskie).

Zełenski wykorzystał wojnę do dokręcania śruby i rozprawy ze swoimi przeciwnikami politycznymi

A sam Zełenski po prostu wykorzystał wojnę do dokręcania śruby i rozprawy ze swoimi przeciwnikami politycznymi. Gdy w maju 2022 r. Poroszenko chciał wyjechać na posiedzenie Zgromadzenia Parlamentarnego NATO, nie został wypuszczony z kraju pod pozorem braku odpowiednich dokumentów, choć jako deputowany do Rady Najwyższej nie był objęty zakazem wyjazdu za granicę. Jeszcze przed wybuchem wojny na pełną skalę ukraińska prokuratura wszczęła śledztwo przeciwko byłemu prezydentowi, który miał podczas swojej kadencji kupować węgiel od separatystów, tym samym ich finansując. Sąd zatrzymał na pewien czas jego paszport i zajął majątek. W pierwszych tygodniach wojny sprawę wyciszono, Poroszenko zaś aktywnie wspierał (również finansowo) wysiłek wojenny kraju, sam też paradował z bronią w ręku w szeregach kijowskiej obrony terytorialnej. Już w maju jednak aresztowany za zdradę prorosyjski polityk Wiktor Medwedczuk zeznał, że pośredniczył w transakcjach między ówczesnym prezydentem a donbaskimi watażkami. Generalnie odkąd Zełenski doszedł do władzy, przeciwko Poroszence toczyło się ok. 20 postępowań karnych, z których żadne nie zakończyło się wyrokiem skazującym.

SANKCJAMI W OPOZYCJĘ

Jednak w warunkach wojny „sługa narodu" sięgnął po pozasądowe narzędzia rozprawy z przeciwnikami politycznymi. Nakłada na nich sankcje. Restrykcje oznaczają wiele ograniczeń, takich

eprasa.pl 2c9e32c730

jak zamrożenie aktywów, zakaz wyprowadzania kapitału za granicę, zakaz nabywania ziemi, udziału w prywatyzacji i dzierżawie mienia państwowego, zakaz korzystania z ukraińskich częstotliwości radiowych i telewizyjnych, a także pozbawienie nagród państwowych.

W maju sankcjami objęty został były doradca Biura Prezydenta, bloger Ołeksij Arestowycz. To nie wzbudziło większych kontrowersji, bo Arestowycz od dawna oskarżany jest o szerzenie prorosyjskiej propagandy, ponieważ ostro krytykuje działania ukraińskich władz i nawołuje do realizmu (w tym do ustępstw) w relacjach z Moskwą. W połowie lutego Zełenski podpisał dekret zatwierdzający decyzję Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony o wprowadzeniu sankcji wobec Poroszenki, a także oligarchów: wspomnianego Medwedczuka, Hennadija Boholubowa, Kostiantyna Żewaho oraz Ihora Kołomojskiego. Trzej pierwsi przebywają za granicą. Medwedczuk, aresztowany przez SBU za handel z separatystami, został uwolniony przez Rosjan w ramach wymiany jeńców.

Kołomojski od prawie dwóch lat przebywa w areszcie. Najpierw został zatrzymany w sprawie wyprowadzania pieniędzy z Prywatbanku, którego był właścicielem. Potem doszedł jeszcze zarzut zlecenia płatnego zabójstwa adwokata Serhija Karpenki. Jak wiadomo, Kołomojski jest ojcem chrzestnym kariery politycznej Zełenskiego. Przyszły prezydent był gwiazdą należącej do oligarchy telewizji 1+1. Tam emitowano zarówno program satyryczny Kwartału 95, jak i serial „Sługa narodu". Zełenski był postrzegany jako marionetka Kołomojskiego, jednak dość szybko i sprawnie wybił się na niepodległość. I zaczął skutecznie ograniczać wpływy oligarchów, szczególnie tych, którzy byli wobec niego opozycyjnie nastawieni. Ułatwiła to wojna, w której warunkach państwo ma naturalną przewagę nad prywatnym biznesem, bo łatwiej jest w takiej sytuacji rządzić, niż zarabiać pieniądze.

Największe kontrowersje budzą, rzecz jasna, sankcje wymierzone w byłego prezydenta, który jest jednocześnie liderem największej partii opozycyjnej. Następny w kolejce ma być mer Kijowa i lider partii UDAR, Witalij Kłyczko. Niezależnie od słuszności stawianych politykom zarzutów widać wyraźnie, że Zełenski postanowił się rozprawić ze swoimi potencjalnymi rywalami – w końcu prędzej czy później działa ucichną i rozpocznie się czy to parlamentarna, czy to prezydencka kampania wyborcza.

RZĄDY SILNEJ RĘKI

Wojna umożliwiła „słudze narodu" skupienie w swoich rękach niemal nieograniczonej władzy. Przy czym jednak w tym kierunku Zełenski szedł praktycznie od początku swoich rządów. Dążył on do marginalizacji roli Rady Najwyższej i rządu. Inwazja Rosji tylko ten proces przyspieszyła. Parlament stał się maszynką do głosowania, a raczej akceptowania pomysłów głowy państwa. Zełenski spacyfikował nawet własne środowisko polityczne. Choć prezydencka partia Sługa Narodu ma większość w Radzie Najwyższej, to jednak od początku była to dość przypadkowa galeria niedoświadczonych, początkujących polityków, łatwa do sterowania przez wodza.

Zełenski nie ma problemu, by czyścić szeregi własnej partii z osób niewygodnych czy skompromitowanych (a takich nie brakuje). Po dojściu do władzy w 2019 r. powołał ekspercki rząd Ołeksija Honczaruka, który jednak okazał się nieudanym eksperymentem, bo fachowcom brakowało politycznych zdolności i poparcia. W końcu więc Zełenski postawił na rządzenie państwem poprzez Biuro Prezydenta, które stało się jedynym naprawdę sprawczym organem władzy. Obecny szef BP, Andrij Jermak, uważany jest nie tyle nawet za szarą eminencję, ile wręcz za nadprezydenta, który jakoby steruje samą głową państwa.

Ukraińcy co do zasady nie tolerują dyktatorskich zapędów swojej władzy. Dowiodły tego dwie rewolucje – pomarańczowa i godności. A wcześniej akcja „Ukraina bez Kuczmy". Niezależnie od „gniewu ludu" na skupienie rządów w jednej, silnej ręce nie mogli sobie pozwolić zawsze potężni oligarchowie, którzy chcieli nie tylko zarabiać, lecz także wpływać na politykę. Wszystko zmieniło się jednak po 24 lutego 2022 r. Pełnoskalowa inwazja Rosji wymusiła zapotrzebowanie na jedynowładztwo. Wołodymyr Zełenski świetnie poczuł się w roli wodza naczelnego. Problem w tym, że nie tylko wykorzystywał pełnię władzy do zarządzania toczącym wojnę państwem, lecz także wykorzystywał wojnę do umacniania pełni władzy. W zarządzaniu państwem okazywał się często mniej skuteczny niż w umacnianiu swoich rządów.

A jednak Ukraińcy nie wyszli na ulicę. Opozycja (medialna i polityczna) protestuje, wciąż jednak zachowuje lojalność wobec prezydenta. I to pomimo że np. Poroszenko otwarcie nazywa Zełenskiego „liderem ekipy, która prowadzi kraj w stronę dyktatury". Nie widać nastrojów rewolucyjnych. Dlaczego? Po pierwsze, dopóki wojna trwa, dopóty wróg zewnętrzny jest ważniejszy niż wewnętrzny. Po drugie, nie ma za bardzo alternatywy. Starzy liderzy opozycji zdążyli się wielokrotnie skompromitować i po 24 lutego 2022 r. nie zrobili niczego, co by zapewniło im poparcie większe niż w przypadku Zełenskiego. Po trzecie, mimo wszystko wciąż działa „efekt flagi" – w warunkach wojny lepszy dyktator niż chaos. Ile by ukraińscy dziennikarze czy politycy narzekali na autokratyczne zapędy prezydenta, z punktu widzenia zwykłych ludzi są sprawy ważniejsze niż wolność słowa. Ale też nie ma spraw ważniejszych niż własne życie, dlatego przymusowa mobilizacja bardziej psuje wizerunek władzy niż wszystkie zbrodnie przeciwko demokracji.

PRAWDZIWA SIŁA ZEŁENSKIEGO

A jaka jest skala poparcia dla Zełenskiego, jeśli wiadomo, że Trump mijał się z prawdą, mówiąc o 4 proc.? W ostatnich tygodniach sondaże różnych ukraińskich pracowni dawały mu od 16 do 22 proc. Wśród profesjonalnych polityków jest hegemonem. Ustępuje miejsca mundurowym. Według badań przegrałby zdecydowanie jedynie z gen. Załużnym, który jednak nie wiadomo nawet, czy w ogóle wejdzie do gry. Badania Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii pokazują, że między lutym a marcem 2025 r. poziom zaufania do prezydenta wzrósł z 57 do 67 proc. Pomógł Trump. Awantura w Gabinecie Owalnym sprawiła, że Ukraińcy znów dostrzegli w Zełenskim swojego obrońcę. Pogłoski o jego politycznej śmierci są wciąż mocno przesadzone. Tym bardziej że rozczarowanie Trumpa Putinem jest coraz bardziej widoczne. Ukraińcy na razie nie chcą obalić Zełenskiego, nawet jeśli uważają go za „dyktatora".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

REPUBLIKA

Żartobliwy komentarz bieżących wydarzeń politycznych.
W programie nie zabraknie ankiet o omawianych tematach,
w których widzowie na bieżąco wyrażają swoje opinie.

PIACHEM W TRYBY

CODZIENNIE
22:15

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA

eprasa.pl 2c9e32c730

Brudy kampanii

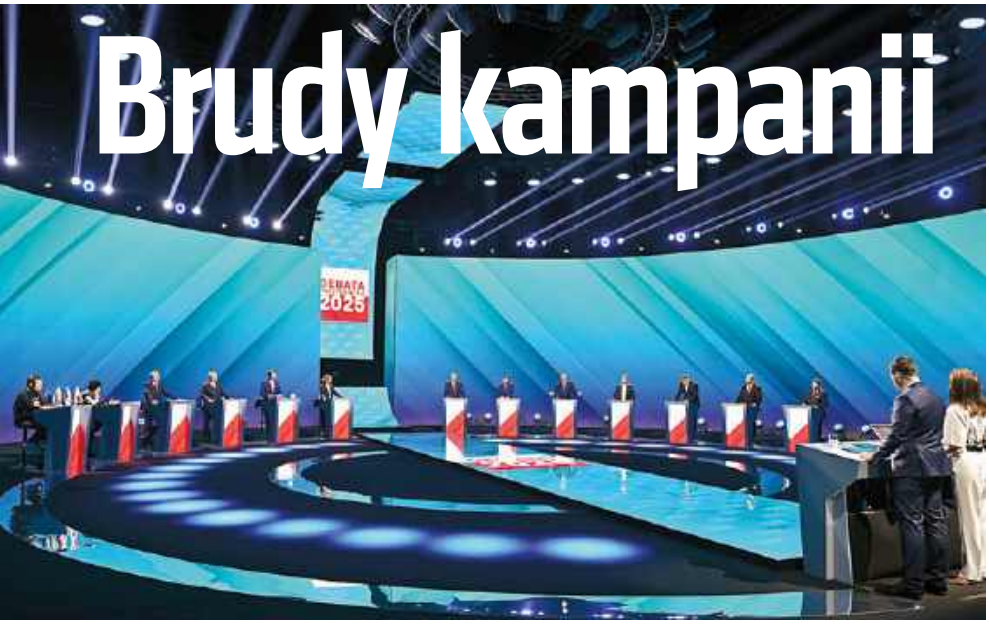

FOT. TVP/FORUM

Rafał A. Ziemkiewicz

Sprawa z kawalerką Karola Nawrockiego odpalona została przedwcześnie. Owszem, sztab tego kandydata na prezydenta się pogubił, w sondażach dało się zauważyć wyraźne, choć mniejsze od oczekiwanego tąpnięcie – ale w końcu zaatakowany się pozbierał. Sprawa się wypaliła, narosły wokół niej niejasności i wątpliwości, jeszcze przed pierwsza turą

W chwili, gdy będą państwo czytać te słowa, będzie już znany wynik sondaży exit poll i będzie można lepiej ocenić, czy skupienie się w ostatnich tygodniach przez media rządowe na oczernianiu Karola Nawrockiego dało oczekiwany przez nie skutek. Ja zdany jestem tylko na pojawiające się w nich, jak również w rozmaitych „przeciekach" ze sztabu kandydata PO, wyrazy ubolewania, że tak się nie stało, że wbrew oczekiwaniom strony lewicowo-liberalnej sondażowe straty kandydata popieranego przez PiS po odpaleniu sprawy jego kawalerki są znikome, a badanie oceny publicznych wizerunków kandydatów nie wykazało, żeby udało się skutecznie wywołać w wyborcach strach przed objęciem przez niego najwyższego urzędu w państwie.

Zakładam, że wyniki pierwszej tury potwierdzą wspomniane głosy. Dotychczasowe doświadczenia z kampanii wyborczych pokazują bowiem, że kampanie negatywne, wyciąganie w ostatnich tygodniach przed głosowaniem jakichś „haków" na kandydata, zwyczajnie się w Polsce nie sprawdzają. Można wiele złego powiedzieć o niewyrobieniu politycznym czy niedojrzałości przeciętnego polskiego wyborcy (choć doprawdy nie wiem, w którym kraju szukać wzorca takiego wyrobienia i dojrzałości), ale z całą pewnością oczekuje on raczej przekazu pozytywnego i taki właśnie nagradza przy wyborczych urnach. Choćby rzucane mu obietnice były tak miało wiarygodne, jak „sto milionów dla każdego" z pierwszej kampanii prezydenckiej Lecha Wałęsy czy o pięć lat późniejsze „mieszkanie dla każdego młodego małżeństwa" Aleksandra Kwaśniewskiego.

WIEDZA WYPIERANA

Sam Donald Tusk zdaje się dziś nie pamiętać, że pierwsze dwie kadencje swych rządów zawdzięczał właśnie temu, że zdołał skojarzyć się Polakom z wizją lepszego życia – kraj przetną nowe autostrady, wyrosną piękne stadiony i aquaparki, Polacy będą mogli wracać z zarobkowej emigracji etc. – podczas gdy PiS obsesyjnie skupił się na straszeniu „układem" i słowami „mordo ty moja". Kiedy role się odwróciły i to PiS, za sprawą obietnicy „500+" stał się partią poprawy życia, a PO ugrzęzła w straszeniu: „Jeśli PiS dojdzie do władzy, to będzie katastrofa", przyszły miażdżące klęski tej drugiej w wyborach prezydenckich i parlamentarnych mimo zaangażowania po jej stronie praktycznie wszystkich mediów, autorytetów, pieniędzy hojnych sponsorów i aparatu państwowego.

Czy sztabowcy PO zapomnieli własnych doświadczeń? Czy wiara polityków w moc „haków", w możliwość skutecznego zohydzenia przeciwnika w ostatnich tygodniach kampanii ma charakter obsesji, a wiedza o nieskuteczności, a czasem wręcz przeciwskuteczności takich działań, wynikająca z doświadczenia (parodiowanie papieża przez Marka Siwca, ministra w Kancelarii Prezydenta Kwaśniewskiego, Beata Sawicka, Hotel Marriott etc.), jest przez nich wypierana? Nie można tego wykluczyć, takie obsesje nie są politykom obce – weźmy choćby magiczną wiarę w sprawczą moc przejęcia i obsadzenia posłusznymi propagandystami państwowej telewizji. Nikt przecież nie zaszkodził Rafałowi Trzaskowskiemu w tej kampanii bardziej niż TVP Info, przejęta z taką determinacją i brakiem skrupułów – i nie byłoby to aż tak śmieszne, gdyby nie fakt, że przecież i PiS stracił władzę w dużym stopniu właśnie wskutek nadgorliwości ludzi, których usadowił w tej samej stacji.

Jest jednak inne wyjaśnienie, dlaczego w ostatnich tygodniach przed pierwszą turą Trzaskowski praktycznie zniknął z medialnej debaty, ograniczając się do powtarzania pustych frazesów: „Nie dzielmy Polaków, stójmy wszyscy pod biało-czerwoną, niech zwycięży cała Polska", natomiast cały jej ciężar przesunięty został przez stronę lewicowo-liberalną na maglowanie „afery" z kawalerką Nawrockiego i rozpaczliwe próby „sklejenia" w świadomości widzów i internautów jego i jego rodziny z przestępczym półświatkiem Trójmiasta. Po prostu kampa-

eprasa.pl 2c9e32c730

nia Trzaskowskiego i jego wizerunek rozsypały się do tego stopnia, że nic innego jak oczernianie jego rywala nie pozostało. Kandydat PO nie ma dla Polaków żadnej pozytywnej opowieści, żadnej narracji, jego popularność spada i może on tylko spowalniać ten trend, licząc, że poparcie nie zdąży spaść do poziomu krytycznego przed dniem głosowania.

„Pływanie rozpaczliwcem”? Tak twierdzę, i to aż na dwa sposoby. Pierwszym jest samo sięgnięcie po „haki”. Z owymi „hakami” jest bowiem podobnie jak w znanym powiedzeniu o używaniu przez władzę bagnetu – dyktator może się nim podeprzeć, ale nie sposób na nim długo siedzieć. Umiejętnie użyty „hak” może posiać zwątpienie wśród zwolenników przeciwnika, zdemobilizować ich, sprawić, że zachwieją się w swoich deklaracjach. Bez wątpienia w sprawie „wyłudzonej kawalerki” o to właśnie chodziło. Stworzono spin, obliczony przede wszystkim na ludzi starszych, stanowiących znaczną część potencjalnego elektoratu Nawrockiego i PiS, mogący ich zniechęcić do pójścia na wybory.

Ale warunkiem, żeby taki spin zadziałał, jest „podparcie się nim” w odpowiedniej chwili. Mamy w ostatnich 20 latach tylko jeden polski przykład skutecznego oczernienia kandydata i zmiany w ten sposób zapowiadającego się wyniku – i przypadkiem jest to sprawa z roku 2006, którą otwarcie chlubił się, jako swym wielkim sukcesem, Sławomir Nitras, dziś, zdaniem wielu dziennikarzy, pełniący rolę „mózgu” kampanii Trzaskowskiego. Chodzi o fałszywe oskarżenie kandydatki na prezydenta Szczecina, byłej minister finansów Teresy Lubińskiej, o nadużycia finansowe, rzucone tuż przed zapadnięciem ciszy wyborczej – tak że nie zdążyła już na nie odpowiedzieć.

Zostawmy na boku możliwość, że ten lokalny, szczeciński przypadek był tzw. wyjątkiem potwierdzającym regułę. Inne oszczerstwa „last minute”, np. użycie w roku 2015 przez Tomasza Lisa tuż przed ciszą wyborczą fejkowego wpisu Kingi Dudy, za co przepraszał już po głosowaniu, nie zadziałały. Polacy są generalnie podejrzliwi co do władzy oraz mediów i zdrowy rozsądek każe im traktować ostrożnie informacje o zdarzeniu sprzed kilku lat, do którego „niezależni dziennikarze” nagle „dotarli” tuż przed wyborczym gwizdkiem. Załóżmy, że swój sukces chciał Nitras powtórzyć na skalę ogólnopolską. W takim razie powinien zadziałać tak samo jak wtedy: w ostatniej chwili.

Nieoczekiwany sukces Nawrockiego w USA wtrącił sztab PO w panikę, która kazała jakoś „przykryć” Biały Dom

Pamiętają państwo tę scenę z „Mistrza i Małgorzaty” Michaiła Bułhakowa, kiedy niejaki Warionucha raczy przyjaciela zmyśloną historią o pijackich awanturach ich wspólnego szefa? Adresat opowieści szczerze szefa niecierpiący i oczekujący jego upadku początkowo słucha tego z zachwytem i wierzy w każde słowo. Ale po pewnym czasie budzą się w nim wątpliwości. „Każdy wiedział, że Stiopa to nie bukiet fiołków, ale tego wszystkiego nawet na Stiopę było za dużo”. Tak to działa: pierwszy, emocjonalny odruch oburzenia dość szybko mija, a wtedy rodzi się zwątpienie – czy aby na pewno? Czy oni aby nie chcą mnie zmanipulować?

Każdy, nawet prawdziwy zarzut (parodiowanie papieża przez prezydenckiego ministra czy wizyta Andrzeja Leppera na 10. piętrze Marriotta nie zostały przecież zmyślone) można „przegrzać”. Raz uruchomioną maszynę medialnego agregowania oskarżeń trudno zatrzymać, przekaz staje się nachalny, przesadny, osaczający, pragnący przysłużyć się sprawie propagandyści „podkręcają go” bez wyczucia, aż w końcu ta namolność przekazu rodzi odruch przekory, odrzucenia go „po całości”. Zaatakowany też w końcu przedstawia swoją wersję, zaczynają się spory, przekaz się rozmywa. To w końcu przejął czy kupił? To chodzi o to, że ten staruszek zniknął czy że jest w DPS? Chodzi o to, że nie powinien tam być czy że powinien, ale to kandydat powinien za niego płacić?

Dlatego zasadniczym warunkiem powodzenia operacji dyfamacyjnej jest „tajming”. Uderzyć w takim momencie, żeby efekt nie wygasł i sprawa nie rozmyła się do momentu głosowania. I tu nie ulega wątpliwości, że sprawa z kawalerką odpalona została przedwcześnie. Owszem, sztab Nawrockiego się pogubił, on sam zaplątał w sprzecznych wyjaśnieniach, w sondażach dało się zauważyć wyraźne, choć mniejsze od oczekiwanego tąpnięcie – ale w końcu zaatakowany się pozbierał, sprawa się wypaliła, narosły wokół niej niejasności i wątpliwości, jeszcze przed pierwszą turą.

Tu pojawia się druga przesłanka, by uznać brudną kampanię za „pływanie rozpaczliwcem”: rzecz przygotowywana była na później, ale nieoczekiwany sukces Nawrockiego w USA wtrącił sztab PO w panikę, która kazała jakoś „przykryć” ten Biały Dom. Częściowo się to udało – rozmowy Nawrockiego z Donaldem Trumpem i prominentnymi członkami jego administracji pożyły w mediach bardzo krótko. Ale ceną za to było spalenie szykowanej – najprawdopodobniej – na drugą turę sensacji i osłabienie jej działania.

SOLIDARNOŚĆ Z OFIARĄ

Problem kampanii Trzaskowskiego w tym, że rozmowy Nawrockiego z Trumpem znalazły wyrazisty „follow up” – wycofanie się przez USA z ograniczeń sprzedaży do Polski nowoczesnych czipów. Natomiast w kampanii przeciwko Nawrockiemu sięgnięto z braku innych po używany już wcześniej bez wielkich efektów spin o „przyjacielu gangsterów” i o „sutenerach z Trójmiasta”. W dodatku atakując jego syna, co jest zawsze bardzo ryzykowne, bo ataków na rodzinę kandydata Polacy raczej nie akceptują. Nie jest więc wykluczone, że ostatecznie obóz władzy nie tylko „przegrzeje” swoją negatywną kampanię, lecz także nadmiar wyciąganych z rękawa oskarżeń sprawi, że Polacy zobaczą w Karolu Nawrockim ofiarę nagonki, człowieka atakowanego w sposób nikczemny oraz nieuczciwy i odruch oburzenia przerodzi się gwałtownie w odruch solidaryzowania się z ofiarą brudnej kampanii.

Jak ostatecznie sprawa się skończy, będziemy mogli przeanalizować dopiero, gdy emocje wyborcze opadną, a wynik będzie już znany. Nie będzie to już miało znaczenia praktycznego, ale pozostanie jak ciekawy „study case” dla specjalistów od „hakowania mózgów” wyborców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

Z Grzegorzem Płaczkiem, posłem i przewodniczącym Klubu Poselskiego Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Karuzela COVID-19

FOT. OLEG MARUSIC/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Wystąpił pan wraz z europosłanką Konfederacji Ewą Zajączkowską-Hernik do Najwyższej Izby Kontroli o skontrolowanie Funduszu Przeciwdziałania COVID-19. Dlaczego?

GRZEGORZ PŁACZEK: Fundusz powstał w połowie 2020 r., na początku pandemii, i od tej pory znajduje się poza jakąkolwiek kontrolą parlamentu. W 2025 r. z budżetu państwa na fundusz zostanie przeznaczonych 54 mld zł. Dobrze pan słyszy – pięć lat po pandemii pieniądze nadal płyną strumieniami. Te pieniądze powinny być pod ścisłą kontrolą Sejmu – a nie są. Całą tą gigantyczną pulą pieniędzy zarządza Kancelaria Prezesa Rady Ministrów wraz z Bankiem Gospodarstwa Krajowego i te dwa podmioty mogą z tymi miliardami złotych robić dosłownie wszystko. Potwierdzają to wyniki kontroli, którą NIK przeprowadził już raz w tym funduszu – kontrola dotyczyła lat 2020–2022. Kontrolerzy ustalili, że pieniądze z funduszu były wydawane na cele w ogóle niezwiązane z opieką zdrowotną, np. drogi czy budynki. Składając obecny wniosek o kontrolę doraźną funduszu, chcielibyśmy dowiedzieć się, czy od lipca 2022 r. do końca 2024 r. Kancelaria Prezesa Rady Ministrów wdrożyła jakiekolwiek wytyczne NIK, który już parę lat temu wskazywał na liczne nieprawidłowości. Izba podała, że co najmniej do lipca 2022 r. pieniądze były wydawane w sposób nieprzejrzysty, a wnioski o dofinansowanie nie spełniały wymogów formalnych lub były składane po terminie – a mimo to otrzymywały dofinansowanie. Chcemy zbadać fundusz pod kątem legalności, gospodarności, celowości i rzetelności. Czas sprawdzić, jak działał Fundusz Przeciwdziałania COVID-19 od lipca 2022 do końca 2024 r. Stąd złożyliśmy wniosek do NIK o wszczęcie kontroli doraźnej w KPRM, BGK, Ministerstwie Finansów oraz Ministerstwie Zdrowia.

Nasuwa się pytanie: Po co nam Fundusz Przeciwdziałania COVID-19, kiedy koniec pandemii ogłoszono już dawno temu? Jak rozumiem, fundusz działa w oparciu o specjalne przepisy prawne, które uchwalono na czas pandemii. Czy nie jest nadużyciem, że dają one wciąż podstawę działania tej instytucji, pomimo że nadzwyczajne okoliczności, z powodu których została on powołana do życia, ustały?

Proszę zwrócić uwagę, że Fundusz Przeciwdziałania COVID-19 nie jest jedynym funduszem, który działa poza kontrolą parlamentu. Takich funduszy mamy bardzo dużo, np. fundusz dotyczący pomocy Ukrainie. Zwracam uwagę, że nadal nie istnieją żadne mierniki realizacji priorytetowych zadań finansowych w ramach Funduszu Przeciwdziałania COVID-19. W efekcie nikt nie jest w stanie skutecznie skontrolować funduszu i tego, na co i przez kogo wydawane są ogromne pieniądze, którymi fundusz dysponuje. Kontrolerzy NIK już trzy lata temu wskazywali, że lista nieprawidłowości jest naprawdę bardzo długa. Pytanie: Czy w ostatnich latach cokolwiek się zmieniło? Wiele wskazuje na to, że nie.

Ustalenia NIK dotyczą okresu, kiedy kontrolę nad tym funduszem miał rząd Prawa i Sprawiedliwości...

Tak. A dziś, kiedy wszyscy już niemal zapomnieli o pandemii, fundusz działa w najlepsze, poza jakąkolwiek kontrolą. To bulwersujące. Już w czerwcu 2020 r. BGK przeprowadził emisję dwóch pierwszych serii obligacji, zadłużając przyszłe

eprasa.pl 2c9e32c730

pokolenia Polaków. Proceder trwa do dziś. Te obligacje przecież trzeba wykupić. Wszystkie te emisje były zabezpieczone gwarancją Skarbu Państwa. To przerażające, jak Polacy są nadal okradani „w białych rękawiczkach".

Czy sprawa nieprawidłowości w Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 nie jest ważnym przyczynkiem do znacznie szerszej kwestii – rozliczeń z działań rządu i parlamentu w czasie pandemii COVID-19? Gołym okiem widać, że nikt poza Konfederacją nie jest takimi rozliczeniami zainteresowany, ponieważ w sprawie COVID-19 rząd PiS działał ręka w rękę z Platformą Obywatelską i Lewicą.

Rzeczywiście, mamy w Polsce bardzo poważny problem z wyegzekwowaniem odpowiedzialności od osób, które mogły przyczynić się do tego, że pieniądze publiczne w czasie pandemii COVID-19 – a także po tym okresie – były wydawane w sposób nierzetelny i nieuczciwy. Od tego, aby to ostatecznie ocenić, są oczywiście sądy i prokuratura, ale dobrze wiemy, jak one obecnie działają. Nikt w Sejmie poza Konfederacją nie chce obecnie rozliczeń. Osobiście składałem na ręce premiera Donalda Tuska wniosek o powołanie przez Sejm komisji śledczej do spraw COVID-19. Rządzący postanowili nie popierać w obecnej kadencji Sejmu tego wniosku, a przypomnę, że kiedy obecny premier i Koalicja Obywatelska szli po władzę, obiecywali rozliczenie winnych za nieprawidłowości także z czasów pandemii. Jak widać, żadnych rozliczeń nie było i obecnie wciąż ich nie ma. Władza nauczyła się skutecznie oszukiwać Polaków – zorientowała się, że skoro społeczeństwo nie było w stanie wywrzeć dostatecznie silnej presji w kwestii rozliczenia polityków za okres pandemii, to obecnie rządzący mogą dalej kraść. Dlatego proceder związany z zamówieniami bez przetargów i dyżurne zasłanianie się bezpieczeństwem zdrowotnym Polaków kwitną w najlepsze. Dobrze pamiętamy czasy, gdy w trakcie pandemii doraźnym źródłem prawa nie były ustawy, ale konferencje prasowe jednego czy drugiego ministra. Przykładem takiej patologicznej sytuacji, która ciągnie się od trzech lat, jest obecnie wciąż trwający konflikt prawny z firmą Pfizer.

Ta sprawa jest jaskrawym przykładem kapitulacji polskiego państwa wobec farmaceutycznego potentata...

Przypomnę, że w kwietniu 2022 r. ówczesny minister zdrowia Adam Niedzielski oświadczył w telewizji, że państwo polskie odmawia przyjęcia zamówionych wcześniej szczepionek od Pfizera i nie zapłaci za nieprzyjęte lub niewykorzystane szczepionki. Mamy obecnie rok 2025 i sprawa między Pfizerem a państwem polskim toczy się właśnie przed sądem w Belgii. Kwota roszczenia koncernu wobec Polski waha się obecnie na poziomie 5,6 mld zł. Od kilku miesięcy jako poseł na Sejm RP próbuję ustalić, na jakim etapie jest spór i jaki jest obecny stan sprawy. W trybie interwencji poselskiej zwróciłem się do Ministerstwa Zdrowia o wgląd do całej korespondencji między stronami w tej sprawie. Ministerstwo odmawia mi wglądu – zasłaniając się tajemnicą prawnie chronioną. Dodam, że w ustawie o wykonywaniu mandatu posła i senatora ustawodawca nie wykazał, żeby były to informacje prawnie chronione również dla posła. Po ostatnim odmownym piśmie ze strony Ministerstwa Zdrowia zdecydowałem się przekazać sprawę do prokuratury, bo uważam, że poseł na Sejm RP nie może być odcięty od informacji w sprawie, która może skutkować tak ogromnymi obciążeniami dla podatników. Rozumiem, że natura sprawy jest delikatna, że być może toczą się jakieś negocjacje, ale niedopuszczalna jest sytuacja, w której jako parlamentarzyści nic na ten temat nie wiemy.

Bardzo duże ilości niewykorzystanych szczepionek przeciw COVID-19 zostały zutylizowane bądź przekazane innym państwom. Czy wiadomo, ile ten proceder kosztował polski budżet?

To były kilkusetmilionowe kwoty. Nie dość, że utylizowaliśmy ogromne ilości szczepionek, to jeszcze rozdawaliśmy je dodatkowo innym krajom. Co bulwersujące, Polska płaciła nawet za transport tych przekazywanych bezpłatnie szczepionek do krajów trzecich. Skupił się pan na marnotrawstwie publicznych pieniędzy w związku z pandemią COVID-19, tymczasem w Polsce lobby farmaceutyczne jest tak silne, że nikt się tym nie przejmuje. I nawet rządzący się z tym nie kryją. Nie neguję samej idei szczepień, choć opowiadam się zdecydowanie za ich dobrowolnością, jednak kiedy przypatrzymy się, jaka ilość szczepionek (także tych podawanych w ramach szczepień obowiązkowych) jest u nas w obiegu, trzeba postawić pytanie: Ile łącznie wszystkich szczepionek zakupiliśmy w naszym kraju w ostatnich latach? Ile z nich zostało zutylizowanych? Ile rozdaliśmy bezpłatnie innym? Przecież za wszystko na końcu płaci zawsze polski podatnik. Kompletuję informacje na ten temat od Ministerstwa Zdrowia i przygotowuję raport dla opinii publicznej. Jestem przekonany, że po jego publikacji wiele osób może z wrażenia nie wstać przez dłuższy czas z fotela.

Czy odbiera pan sygnały o niepożądanych skutkach szczepionek przeciw COVID-19? Jaka jest skala tego zjawiska?

To jest pytanie dotyczące obszaru, którym się w sposób szczególny nie zajmuję. To skomplikowana materia – jeżeli zabiera się w niej głos, od razu jest się na celowniku mediów rządowych. Ktoś, kto zdecyduje się publicznie wyrazić zdanie na temat skuteczności czy zasadności szczepień, bardzo szybko jest deprecjonowany także przez potężne lobby farmaceutyczne i wrzucony do worka antyszczepionkowców. Dlatego z pełnym rozmysłem zajmuję się obszarem związanym z legalnością i celowością wydatkowania pieniędzy publicznych na wielorakie projekty związane z ochroną zdrowia. Nie usłyszy pan ode mnie stwierdzenia, żeby się nie szczepić albo że szczepionki zabijają. Usłyszy pan za to, że lobby farmaceutyczne, interesy i układy polityczno-biznesowe w branży farmaceutycznej są głęboko nieetyczne i pełne nadużyć finansowych. Ten system jest patologiczny.

A więc Polska została skutecznie skolonizowana przez Big Pharmę?

Jesteśmy z pewnością gigantycznym rynkiem zbytu i uczestnikiem międzynarodowego oraz nieprzejrzystego układu, ale ja tego nie akceptuję. Wiele kwestii należy czym prędzej wyjaśnić, a Fundusz Przeciwdziałania COVID-19, o którym wcześniej wspominałem, należy wygasić, co NIK rekomendował już w 2023 r. Należy to jasno powiedzieć – w Polsce na styku ministerstw i Big Pharmy istnieją mechanizmy korupcjogenne. A jest o co walczyć, bo tylko w latach 2020–2022 na jeden fundusz, o którym rozmawiamy, Polska wydała niemal 200 mld zł. To tylko wierzchołek góry lodowej. Czas z tym wszystkim zrobić porządek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

Sporu o Wilimowskiego ciąg dalszy

Piotr Semka

Problem z Ernestem Wilimowskim polega na tym, że aby odsunąć od siebie ten los, który był udziałem setek młodych ludzi z Katowic, Piekar Śląskich, Świętochłowic czy Radzionkowa, sięgnął po uprzywilejowaną karierę, w trakcie której był wykorzystywany przez aparat propagandowy III Rzeszy. Dawidowi Malcherkowi bardzo łatwo przychodzi określanie tego losu jako tragicznego

Prawie miesiąc temu opisywałem dyskusje wokół inicjatywy eurodeputowanego Koalicji Obywatelskiej Łukasza Kohuta, który organizuje akcję na rzecz zachowania grobu Ernesta Wilimowskiego. Kohut wzywa, by dość wysoką sumę – 20 tys. euro – na zabezpieczenie nagrobka w Karlsruhe w RFN wypłaciły wspólnie Polski Związek Piłki Nożnej i niemiecki Deutsche Fussball Bund, oczywiście przy współudziale kibiców Ruchu Chorzów – niegdysiejszego klubu Wilimowskiego. Inicjatywa ta stała się przedmiotem gorącej dyskusji. Owszem, Wilimowski był jednym z najlepszych futbolowych reprezentantów Polski przed 1939 r., ale po pokonaniu Polski przez hitlerowców zgodził się na przejście do reprezentacji piłkarskiej III Rzeszy. Już w trakcie wojny wyjechał do Niemiec, w ich zachodniej części żył po wojnie i w końcu zmarł w 1997 r.

W moim tekście zwróciłem uwagę, że gloryfikatorzy Wilimowskiego z Górnego Śląska z ogromną satysfakcją przyjęli obronę reprezentanta hitlerowskich Niemiec, z którą wystąpił Dawid Malcherek, członek rady politycznej Ruchu Narodowego, który jednocześnie przedstawia się jako jeden z liderów Konfederacji na Śląsku. Wskazałem, że Malcherek przyznał, iż „epizod Wilimowskiego w kadrze III Rzeszy kładzie cień na jego wybitnej karierze piłkarskiej, ale znając realia panujące w tamtym czasie na Górnym Śląsku i z perspektywy dzisiejszego czasu, nie powinno się oceniać tej decyzji". W swoim tekście wyraziłem zdziwienie, że polityk ruchu narodowego uchyla się od oceny wyboru narodowościowego znanego piłkarza, podkreślając jedynie jego sukcesy sportowe i abstrahując od oceny jego odstępstwa. Dodałem, że to dobry przykład tego, jak narracja ślązakowska staje się na Górnym Śląsku na tyle powszechna, że nawet osoby nawiązujące do polskiego ruchu narodowego zaczynają tam przyjmować logikę prezentowaną przez Ruch Autonomii Śląska.

MALCHEREK ODPOWIADA

Dawid Malcherek zareagował na moją krytykę wpisem na platformie X. Oto jej treść:

„W [...] »Do Rzeczy« pojawił się artykuł Piotra Semki poświęcony osobie Ernesta Wilimowskiego, w którym autor przytacza także moją opinię [...] na temat tej postaci. Redaktor Semka pisze o mnie, że uchylam się od oceny lukratywnej kariery w sporcie III Rzeszy oraz przyjmuję narrację środowisk ślązakowskich. Co moim zdaniem mija się z prawdą. W tym kontekście należy przede wszystkim przedstawić realia, które panowały na Górnym Śląsku podczas II wojny światowej. Były one odmienne od tych obowiązujących w Generalnym Gubernatorstwie. Górny Śląsk po kapitulacji dekretem Hitlera został wcielony do III Rzeszy, a jego mieszkańcy w zdecydowanej większości zostali wpisani na volkslistę i zmuszeni do jej podpisania, co skutkowało uznaniem ich za niemieckich obywateli. Co za tym idzie, nakładano na nich przymus wstąpienia do Wehrmachtu. Odmowa podpisania volkslisty groziła konfiskatą mienia i deportacją do obozu koncentracyjnego, zaś rezygnacja ze służby w Wehrmachcie często karana była natychmiastową śmiercią i represjami wobec najbliższej rodziny. Z tej perspektywy sugestie, jakoby Wilimowski przyjął lukratywną ofertę reprezentowania III Rzeszy ze względu na popularność i honoraria z tego płynące, wydają się mało eleganckie. W swoim wcześniejszym komentarzu wskazałem, że jest to postać tragiczna. Określenie to charakteryzuje osobę, której każda decyzja będzie niosła negatywne konsekwencje. W tym momencie warto przyjrzeć się, jakie Wilimowski miał możliwości wyboru:

1) skorzystanie z oferty zmiany reprezentacji, z jednej strony reprezentując zbrodniczy reżim i uzyskując miano zdrajcy, a z drugiej uchylając się od przymusowej służby w Wehrmachcie,

2) podjęcie decyzji o odrzuceniu zmiany reprezentacji, w której konsekwencji również reprezentowałby zbrodniczy reżim, z tą różnicą, że zamiast piłki byłby karabin, a swastyka zamiast na koszulce znajdowałaby się na mundurze oraz dodatkowo ryzykowałby własnym życiem [pisownia oryginalna – przyp. red.],

3) podjęcie decyzji o odrzuceniu gry w kadrze III Rzeszy i służby w Wehrmachcie, która kosztowałaby go zakończeniem życia nie tylko swojego, ale i najbliższej rodziny życiem [pisownia oryginalna – przyp. red.]. To nie prestiż i pieniądze były motywatorem jego działania, a chęć ocalenia siebie i własnej rodziny. Nie podzielam stanowiska, które przedstawił redaktor we wspomnianym artykule, że lepiej było zostać wcielonym do Wehrmachtu. Co to bowiem za alternatywa, kiedy zamiast reprezentując okupanta w stroju sportowym na boisku, reprezentujesz go w mundurze na froncie?

eprasa.pl 2c9e32c730

Kolejną kwestią, którą chciałbym poruszyć, jest to, że nikt nie uważa Wilimowskiego za bohatera na podstawie dokonanego przez niego wyboru.

Dla sporej liczby Ślązaków, w tym przede wszystkim kibiców Ruchu Chorzów, do których również się zaliczam, jest to osoba ważna wyłącznie ze względów piłkarskich. I z tej perspektywy nie ma co się dziwić, że to głównie wśród tego środowiska pojawiła się inicjatywa współfinansowania jego ekshumacji. Chociaż ja akurat stoję na stanowisku, że koszty ponownego pochówku piłkarza powinny przede wszystkim zostać poniesione przez miasto Karlsruhe, którego włodarze zdecydowali o przeznaczeniu tej części cmentarza, na której jest pochowany Wilimowski, na inne cele, a wpłaty kibiców Ruchu powinny być jedynie dodatkiem.

Kończąc swój wywód, muszę odnieść się także do argumentu o przyjmowaniu narracji ślązakowskiej. Zwracam uwagę, że to nie jest stanowisko ślązakowskie, lecz śląskie, które jest bliskie każdemu Ślązakowi. Także nam, polskim narodowcom ze Śląska, którzy są jednocześnie śląskimi regionalistami. I to, że w większości spraw zdecydowanie nie zgadzamy się ze ślązakowcami, którzy niesłusznie chcieliby mieć monopol na reprezentowanie Ślązaków, nie oznacza, że w pewnych sprawach nie możemy zajmować podobnego stanowiska. A nic bardziej nie denerwuje wszystkich Ślązaków, niezależnie od ich sympatii politycznych, jak osoby spoza Śląska, które próbują nas pouczać i twierdzą, że lepiej rozumieją historię naszego regionu niż my sami".

Podpisano: Dawid Malcherek.

ODPOWIADAM

To bardzo tandetny chwyt polemiczny, gdy ustawia się osobę o innym spojrzeniu na sprawę w roli kogoś, kto próbuje pouczać Ślązaków. Tak samo nie twierdzę – i nie sposób tego znaleźć w moim tekście – że uważam się za kogoś „lepiej rozumiejącego historię" Górnego Śląska niż mieszkańcy tego regionu Polski. Mój tekst był po prostu polemiką z pewnym typem spojrzenia na losy Ernesta Wilimowskiego. Dawid Malcherek znów ułatwia sobie w bardzo nieuczciwy sposób polemikę, twierdząc, że nie ma żadnej różnicy między tym, że Wilimowski włożyłby na siebie mundur Wehrmachtu, i tym, że odroczył sobie ten los na parę lat, idąc do policyjnego klubu piłkarskiego PSV w Chemnitz w Saksonii i równolegle grając w reprezentacji państwowej III Rzeszy.

To nie jest tak, że w reszcie Polski lekceważy się dramat mieszkańców polskiej części Górnego Śląska, którzy obawiali się, że jeżeli nie przyjmą volkslisty, to mogą zostać aresztowani lub wysiedleni. Jest też bardzo dużo dowodów na to, że publicyści i historycy spoza tego regionu rozumieją specyfikę losu, która pchała Ślązaków w mundury Wehrmachtu. Ale na tym właśnie polega problem z Wilimowskim, że aby odsunąć od siebie ten los, który był udziałem setek młodych ludzi z Katowic, Piekar Śląskich, Świętochłowic czy Radzionkowa, sięgnął po uprzywilejowaną karierę, w trakcie

Ernest Wilimowski – fotografia z niemieckiego magazynu „Illustrierter Beobachter" z lat drugiej wojny światowej do tekstu o znanych niemieckich piłkarzach w mundurach sił zbrojnych III Rzeszy

FOT. ARCHIWUM AUTORA

której był wykorzystywany przez aparat propagandowy III Rzeszy. A wszystko to przy otrzymywaniu wysokich piłkarskich uposażeń w niemieckim klubie i równolegle w reprezentacji hitlerowskich Niemiec.

Dawidowi Malcherkowi bardzo łatwo przychodzi określanie tego losu jako tragicznego. Ja wolę to określenie zarezerwować dla śląskich księży, którzy zostali uznani przez gestapo za polskich szowinistów i zamordowani w kacetach. Wolę zachować to określenie dla wyrwanych ze śląskich rodzin młodych górników, którzy w mundurze Wehrmachtu zamarzali w lodowym piekle Stalingradu. Dla tych, którzy ginęli przeszyci serią z brytyjskiego pistoletu maszynowego na pustyniach Libii. Tych, którzy ginąc od strzału swojego polskiego brata z Armii Andersa pod Monte Cassino i krzycząc z bólu „Matulu!", dostrzegali w oczach polskiego żołnierza w brytyjskim battle dressie przerażenie, gdy dochodziło do niego, że właśnie zastrzelił kogoś, kto jest w innym mundurze, ale mówi w tym samym języku, choć w innej gwarze.

Swoją polityczną edukację zaczynałem podobnie jak Pan w formacji nawiązującej do idei ruchu narodowego – w ruchu Młodej Polski. Dlatego nie będę spokojnie przyjmował argumentacji, że Pan jako narodowiec domaga się ode mnie uznania Pana prawa do uznawania Wilimowskiego za „osobę ważną wyłącznie ze względów piłkarskich". Akurat klub Ruch Chorzów zakładali w 1920 r. działacze Polskiego Komitetu Plebiscytowego i byli powstańcy śląscy. Wydaje mi się, że zobowiązuje to do czegoś więcej niż oceniania kandydatów na klubowych bohaterów wyłącznie pod kątem liczby bramek, które strzelali w meczach przedwojennej reprezentacji Polski.

Podzielił się Pan opinią, że według Pana to miasto Karlsruhe powinno ponieść koszty ponownego pochówku piłkarza. I tu dochodzimy do istoty sprawy. Pobocznym efektem decyzji Wilimowskiego o wejściu do niemieckiej kadry jest też to, że zmarł zapomniany także przez niemieckich działaczy piłkarskich. To gorzka zapłata za jego deklarację narodowościową z lat wojny.

Swoją odpowiedź chciałbym wreszcie zakończyć cytatem z portalu Onet Przegląd sportowy. Dziennikarz „Przeglądu Sportowego" Antoni Bugajski 15 kwietnia zabrał głos w sporze o niegdysiejszego piłkarza Ruchu Chorzów, a potem piłkarza policyjnego niemieckiego klubu PSV Chemnitz.

„Cynik i oportunista czy ofiara nieludzkich czasów, których tylko niezłomny heroizm gwarantował brak oskarżeń o zdradę? Ernest Wilimowski strzelał gole dla polskiej kadry narodowej, a po wybuchu II wojny światowej reprezentował III Rzeszę. Brzmi strasznie i wymaga gruntownych wyjaśnień, jeżeli w ogóle jest coś do wyjaśnienia. A jednym z wielu problemów jest to, że […] nigdy o rozgrzeszenie Polaków nie prosił. Ernest Wilimowski już zawsze będzie nas dzielił. Lepiej dajmy mu spokój".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

Makieta obozu Zgoda w Świętochłowicach

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Znów Niemców zastępują „naziści”

Andrzej Krzystyniak

Warto się zastanowić, czy obszar Zgody nie stanie się w świadomości społecznej, za lat powiedzmy 20, miejscem, w którym do 1945 r. „polscy naziści” dokonywali mordów na bezbronnej ludności, by po zakończeniu wojny zostać zastąpionymi przez komunistów, którzy założyli tam już w pełni nieskrępowanie w ramach państwa polskiego „polski obóz koncentracyjny”, gdzie z kolei „eksterminowali” mniejszości narodowe

Dlaczego mniejszości niemieckiej i tzw. środowiskom regionalistów bardzo zależy na tym, by na makiecie postawionej w 2022 r. przy miejscu pamięci po Zgodzie – dawnej filii niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz – zmieniono napis mówiący, iż był to obóz dwóch totalitaryzmów: „niemieckiego” i „komunistycznego”. Czy dlatego, że od lat środowiska związane z Ruchem Autonomii Śląska głoszą tezę o istnieniu tutaj „polskiego obozu koncentracyjnego” i najchętniej, na niewielkiej makiecie, widziałyby właśnie określenie „polski obóz koncentracyjny”?

Przypomnijmy, że w 2022 r. przed pozostałościami po Zgodzie odsłonięto makietę, na której umieszczono napis, iż jest to miejsce dwóch totalitaryzmów: „niemieckiego” i po 1945 r. „komunistycznego”. Dodajmy, że treść napisu, zgodnie z ustawowymi wymogami opiniowania, została zaopiniowana przez Instytut Pamięci Narodowej. Treść wzburzyła „regionalistów” oraz mniejszość niemiecką. Działacze jednych i drugich żądali albo określenia miejsca „niemieckim” i „polskim” obozem koncentracyjnym, albo „nazistowskim” i „komunistycznym”.

BIERNOŚĆ PAŃSTWA POLSKIEGO

Wielokrotnie wspominałem na łamach „Do Rzeczy”, że forsowana przez „regionalistów” teza o „polskich obozach koncentracyjnych” to nic nowego. Dzieje się tak od wielu lat przy biernej postawie państwa polskiego. Polska, ich zdaniem, jest winna wręcz eksterminacji i wypędzeń mniejszości narodowych po 1945 r. Dodajmy, że śląscy „regionaliści” alergicznie i nerwowo reagują na określanie zbrodni niemieckich właśnie niemieckimi, dopuszczając jedynie nazywanie ich „nazistowskimi”. Ich starania o zmianę napisu zdają się być niebawem uwieńczone sukcesem. Oto bowiem gospodarz miejsca, miasto Świętochłowice, otrzymał m.in. na ten cel wsparcie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w wysokości 300 tys. zł oraz 200 tys. z budżetu województwa śląskiego. Pieniądze, które otrzyma miasto Świętochłowice, są przeznaczone na „rewitalizację terenu”, w tym „zmianę napisu” na makiecie albo raczej, jak to określiła senator Koalicji Obywatelskiej Halina Bieda, „korektę napisu”.

Głosowanie nad wspomnianą kwotą 200 tys. zł budżetu województwa śląskiego odbyło się 14 kwietnia 2025 r., kiedy to radni sejmiku śląskiego jednogłośnie poparli wniosek, bez głosu sprzeciwu czy też wstrzymującego się. Warto przy tym wskazać, że radni Prawa i Sprawiedliwości zagłosowali zgodnie z kolegami z Koalicji Obywatelskiej za „rewitalizacją terenu” byłego obozu Zgoda, a jednocześnie – czy może przede wszystkim – za „korektą napisu”. Nie żądali przy tym, co byłoby zrozumiałe, jeśli chodzi o radnych „obozu patriotycznego”, słowa wyjaśnienia, na jaki dokładnie cel przyznane zostaną publiczne pieniądze i jaką to „korektę” napisu sfinansują z pieniędzy podatnika. Zapewne ich głowy zaprzątały inne, dużo ważniejsze sprawy i nie bardzo mieli czas, by wnikać w szczegóły, na co właśnie oddają swój głos. Warto również zastanowić się nad sytuacją, w której to marginalne w sumie środowiska potrafią, nie bacząc na istniejące w Polsce prawo, wymóc zmianę określenia niemieckiego obozu koncentracyjnego. A wspomnijmy, że „re-

eprasa.pl 2c9e32c730

gionaliści" czy też mniejszość niemiecka nie dysponują w województwie śląskim swoją własną reprezentacją polityczną nawet szczebla samorządowego, natomiast w przypadku zmian, o których mowa, konieczna jest zgodnie z ustawowym wymogiem opinia Instytutu Pamięci Narodowej.

Z informacji uzyskanych od dr. Rafała Leśkiewicza, dyrektora biura rzecznika prasowego IPN w Warszawie, wiemy, że warszawska centrala wysłała, reagując tym samym na doniesienia prasowe o planowanych zmianach na makiecie, stosowne pismo, w którym nie zgodziła się na takowe, określając je przeprowadzanymi wbrew prawu oraz prawdzie historycznej. Przy czym można zauważyć, że nie zrobiło to na organizatorach, jak również na radnych wojewódzkich większego, by nie rzec żadnego, wrażenia. A przypomnijmy raz jeszcze dokładnie, że zapowiadane zmiany wymagają opinii IPN zgodnie z art. 1 pkt 6 oraz rozdz. 6b Ustawy z dnia 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (Dz.U. 2023, poz. 102). Można by orzec ironicznie, jak to na nic są przepisy polskiego prawa na Śląsku, któremu wielu „regionalistów" będzie odmawiać miana przynależności kulturowej do państwa polskiego, gdy tylko zaprotestują w sojuszu „regionaliści" wraz z mniejszością niemiecką. Być może jest coś, co stoi wyżej aniżeli polskie prawo na obszarze Śląska. Na nic opinie historyków IPN z roku 2022, które teraz należy poddać „korekcie". Dodajmy, że w całej sprawie oddział IPN Katowice skwapliwie milczy lub też nie zauważa doniesień medialnych zapowiadających „korygowanie" wcześniejszej opinii historyków tejże instytucji, dotyczącej umieszczonego w 2022 r. napisu. IPN w Warszawie w nadesłanej przez dr. Rafała Leśkiewicza informacji niezmiennie uważa, że „obozy koncentracyjne i zagłady, podobnie jak inne obiekty służące represjom i eksterminacji, jak obozy jenieckie, przesiedleńcze, pracy, więzienia karno-śledcze itd., tworzone przez instytucje państwa niemieckiego na terenach Niemiec i okupowanych państw Europy w czasie drugiej wojny światowej – powinny być identyfikowane jako niemieckie".

Dlaczego zatem w tym jednym przypadku, a być może w pierwszej udanej próbie, będziemy mieli do czynienia ze skorygowaniem wspomnianej tezy? Czy raczej należy ulec temu, co opublikowała w 2022 r. mniejszość niemiecka na Śląsku, że mamy do czynienia z „profanacją pamięci ofiar" oraz „antagonizowaniem relacji polsko-niemieckich"? Nie potrzeba zbytniej przenikliwości, by dostrzec w zamianie albo raczej „korekcie" napisu na makiecie Zgody próbę zatarcia niemieckich zbrodni popełnionych w czasie drugiej wojny światowej.

GÓRĄ NIEMIECKA POLITYKA HISTORYCZNA

To zresztą nic nowego, mityczni „naziści" bardzo często zastępują Niemców, jak gdyby zbrodni dokonywało jakieś bliżej niezidentyfikowane mroczne i fanatyczne środowisko, z którym to Niemcy nie chcieli mieć nic wspólnego. Warto również zastanowić się, czy obszar Zgody określany dziś „polskim obozem koncentracyjnym" nie stanie się, za lat powiedzmy 20, w świadomości społecznej obozem, w którym to „polscy naziści" dokonywali mordów na bezbronnej ludności do 1945 r., by po zakończeniu wojny zostać zastąpionymi przez komunistów, którzy założyli tam już w pełni nieskrępowanie w ramach państwa polskiego „polski obóz koncentracyjny", gdzie z kolei „eksterminowali" mniejszości narodowe.

Przemysław Miśkiewicz, działacz opozycji antykomunistycznej, przewodniczący Rady Konsultacyjnej Działaczy Opozycji Antykomunistycznej Województwa Śląskiego, skomentował bardzo trafnie całą sytuację słowami, które opublikował na swoim profilu na Facebooku: „Za aprobatą wszystkich radnych, w tym również PiS w sejmiku śląskim, już nie będzie niemieckiego, nazistowskiego obozu, tylko nazistowski obóz. Ta z pozoru nieistotna zmiana jest dokładnym zmaterializowaniem polityki Niemiec".

Ta z pozoru nieistotna zmiana, dokonana – dodajmy – polskimi rękoma, jest w istocie elementem polityki historycznej Niemiec, zrzucających z siebie winę za ogrom popełnionych zbrodni w czasie drugiej wojny światowej. Ta materializacja polityki historycznej Niemiec na Śląsku to zresztą żadna nowość. Wydarzenia takie, jak powstania śląskie, są przedstawiane coraz skuteczniej jako „wojna domowa" czy też „wojna polsko-niemiecka", „tragedia górnośląska", jako element polskiego terroru na mniejszościach narodowych. Działania te od wielu lat stanowią przejaw układania historycznych puzzli, przy bierności, a bardzo często i wsparciu państwa polskiego. Tylko niepoprawni optymiści mogą liczyć na zmianę kierunku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA MUZYKA

eprasa.pl 2c9e32c730

Doktor Aborcja

Publiczny Różaniec o zatrzymanie aborcji pod szpitalem w Oleśnicy, w którym w łonie, dwa tygodnie przed terminem porodu, poprzez wstrzyknięcie do serca roztworu chlorku potasu został zabity Felek FOT. FUNDACJA PRO – PRAWO DO ŻYCIA

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Propaguje aborcję pod płaszczykiem „edukacji", jest gwiazdą lewicowo-liberalnych mediów i promuje LGBT. Kim jest Gizela Jagielska?

Wymowne zdjęcie ze środkowym palcem położonym na ustach i opis: „Pamiętaj, już za tydzień to właśnie TY zadecydujesz o tym, jak będzie wyglądać TWOJE życie w Polsce". Taki post opublikowała w sieci krótko przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. lekarz Gizela Jagielska, zastępca dyrektora do spraw lecznictwa szpitala w Oleśnicy. Jagielska jest pro-choice także w sprawie tzw. małżeństw jednopłciowych. Zachwycała się m.in. dwoma lekarzami z Bydgoszczy, którzy wzięli tzw. ślub humanistyczny. „Swoją otwartą postawą dają nadzieje na zmiany. Zmiany na lepsze. Zmiany, które muszą w końcu w Polsce nastąpić. Wszystkiego dobrego, dużo siły i wytrwałości w budowaniu nowej polskiej rzeczywistości" – pisała.

O Jagielskiej, położniczce i ginekolog, a także aborcjonistce, zrobiło się głośno w związku z zatrważającą sprawą małego Felka. Dwa tygodnie przed terminem porodu chłopiec został zabity w łonie poprzez wstrzyknięcie do serca roztworu chlorku potasu. Matka, 35-letnia pani Anita, przedstawiła lekarzom pismo przygotowane przez adwokata proaborcyjnej Fundacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny „Federa". Zawarto w nim żądanie udzielenia „gwarantowanego świadczenia opieki zdrowotnej w postaci przerwania ciąży" z uwagi na występowanie zagrożenia dla zdrowia fizycznego i psychicznego. Wcześniej u dziecka stwierdzono wrodzoną łamliwość kości. Lekarze zaproponowali ciężarnej cesarkę oraz wysokospecjalistyczne leczenie już po porodzie. Miała też paść propozycja oddania dziecka do adopcji. Ostateczna decyzja była jednak inna: aborcja. Wykonawca: Gizela Jagielska, która przedstawia się jako „specjalistka położnictwa i ginekologii, w trakcie specjalizacji w dziedzinie perinatologii".

GWIAZDA INSTAGRAMA

„Kiedy kończyła ginekologię i położnictwo, nie spodziewała się, że tak jak inni lekarze w Polsce będzie musiała mierzyć się z konsekwencjami zaostrzenia prawa aborcyjnego w 2020 roku. Dobro pacjentek stawia na pierwszym miejscu […], wciąż wykonuje zabiegi przerywania ciąży. Kwalifikuje do nich nie tylko kobiety w sytuacji bezpośredniego, ale też pośredniego zagrożenia życia, w tym z przesłanek na tle psychicznym" – tak działalność Jagielskiej opisywano na łamach „Pisma" w lipcu 2024 r. Jagielska była „prekursorką" wykonywania aborcji ze względu na „przesłankę psychiatryczną" (obecnie prawodawstwo dopuszcza aborcję w dwóch przypadkach: gdy ciąża jest wynikiem czynu zabronionego lub gdy zagraża zdrowiu lub życiu matki – pojęcie „zdrowie" było wcześniej trakto-

eprasa.pl 2c9e32c730

wane w rozumieniu zdrowia fizycznego). Wytyczne w tym zakresie, dające de facto wolną rękę lekarzom do dokonywania aborcji u pacjentem z trudnościami psychicznymi, resort zdrowia przedstawił później, w sierpniu. Minister zdrowia Izabela Leszczyna ogłosiła, że do przerwania ciąży wystarczy jedno orzeczenie lekarza stwierdzające istnienie przesłanki zagrożenia zdrowia kobiety.

„Od początku istnienia #teamolesnica jednym z głównych moich założeń było traktowanie Was, czyli pacjentek, jako partnerek w rozmowie i procesie decyzyjnym dotyczącym Waszego zdrowia. Trudno jest być partnerką i podejmować świadome decyzje, nie wiedząc co i dlaczego jest mi proponowane. Niestety w naszym kraju wiedza na temat aborcji, sposobów jej wykonywania czy bezpieczeństwa jest wiedzą prawie tajemną. Dlatego postanowiłam w kolejnych postach wszystkie tajemnice na temat aborcji Wam wyjawić" – ogłosiła położniczka w jednym z instagramowych postów. W pierwszej części zapowiedzianej serii przedstawiła obserwatorom informacje „o tym, co to jest »samoobsługa aborcyjna«, w jaki sposób wykonujemy aborcje farmakologiczne i czy aborcja w domu jest bezpieczna".

Dla środowisk proaborcyjnych Gizela Jagielska jest ikoną. Podobnie jak dla mediów lewicowo-liberalnych, w których niejednokrotnie występowała w roli eksperta. Program „Dzień dobry TVN" opowiedział o lekarce w materiale pt. „Medycy, którzy są po stronie kobiet". – Staramy się praktykować medycynę, która nie jest oparta na strachu. Wiemy, że to, co robimy, ma sens – mówi jej mąż Łukasz Jagielski, ordynator Oddziału Położniczo-Ginekologicznego z Powiatowego Zespołu Szpitali z siedzibą w Oleśnicy. Para aborcjonistów została zaprezentowana podczas spaceru z psami.

„NĘKANIE" RÓŻAŃCEM

Lekarka prowadzi w sieci profil Babkibabkom, gdzie obok radosnych historii o udanych porodach wcześniaków publikuje estetyczne grafiki dotyczące aborcji. Opisy szczęścia związanego ze zdrowymi narodzinami przeplatają się z bezdusznymi filmikami o zabijaniu nienarodzonych. Mocniejsze treści można znaleźć na instagramowej stronie Babkibabkom_bez _cenzury. Wiele mówiące jest zdjęcie profilowe – widzimy na nim ciałko malutkiego nienarodzonego dziecka. To tam Jagielska się pochwaliła, że w oleśnickim szpitalu „udało się zorganizować PIERWSZY w Polsce kurs o opiece aborcyjnej w Polsce". „Nie myślcie, że lubię terminować ciąże albo że uważam, że aborcja jest super. Bo tak nie jest. Stoję po stronie WYBORU" – zapewnia.

Lekarka z Oleśnicy odpowiedziała też w formie długiego postu na protesty środowiska pro-life, które organizowano regularnie przed jej placówką. „JESTEM PROLIFErką!!!" – ogłosiła Jagielska (pisownia oryginalna). „Dlaczego? – dlatego, że dopuszczam możliwość przerwania ciąży w przypadku nieprawidłowości płodu/zagrożenia życia i zdrowia matki/powstania ciąży w wyniku czynu karalnego; – dlatego, że zakańczam ciąże w obecnym stanie prawnym tylko z powodu przesłanek, które są legalne w tym momencie (a przecież mogłabym w każdej sytuacji, bo jeszcze żadnego lekarza za to nie skazano, prawda?); – dlatego, że jestem w stanie sobie wyobrazić, że nie każda ginekolożka musi chcieć aborcje przeprowadzać; – dlatego, że sądzę, że aborcja zdrowego płodu niekoniecznie musi być moim zadaniem, bo dla mnie nie jest w jakikolwiek sposób związana z leczeniem; – dlatego, że dopuszczam aborcje na życzenie do pewnego momentu ciąży, a nie do terminu porodu, jak postulują aktywistki; – bo nie uważam aborcji za metodę antykoncepcji" – wyliczyła, a następnie zaapelowała do organizacji pro-life, „aby zaprzestały produkcji i wywieszania bannerów z moim nazwiskiem i wizerunkiem szpitala, w którym pracuję, oraz przestały organizować demonstracje przed moimi miejscami pracy – przecież jestem po Waszej stronie".

W 2023 r. w rozmowie z OKO.press mówiła o „nękaniu" jej w szpitalu przez aktywistów. „Odmawiają Różaniec, wieszają plakaty z danymi naszego szpitala i piętnują nas jako lekarzy i lekarki, którzy wykonują aborcję. To samo dzieje się przed naszymi gabinetami prywatnymi" – wskazywała.

PO ŚMIERCI FELKA

Trudno jednak uznać, że dokonanie aborcji chwilę przed porodem, w sytuacji, gdy lekarze oferowali matce opiekę, stanowi działalność pro-life. Gdy sprawę małego Felka nagłośniły media, Gizela Jagielska szybko stała się obiektem ogromnej krytyki. „Czytam komentarze pod moimi rolkami i postami. I nadal nie mogę się nadziwić, skąd w ludziach bierze się to wszystko, co wyrzygują obecnie w mediach społecznościowych" – żaliła się w sieci.

Momentem największych emocji była akcja w Oleśnicy europosła Grzegorza Brauna. Polityk przekonywał, że chce dokonać „obywatelskiego zatrzymania" lekarki. – Narażaniem życia Polaków jest dopuszczanie tej pani do pracy. Dokonuję zatrzymania obywatelskiego i wzywam was, panowie policjanci, byście nie dopuścili, by pani Gizela Jagielska miała kiedykolwiek kontakt z pacjentami, w tym nieletnimi – mówi Braun na jednym z nagrań ukazujących całą sytuację. Ostatecznie do „zatrzymania" nie doszło, a prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie wkroczenia europosła do szpitala. „Rano, jadąc do pracy, myślałam, że to będzie fajny dzień. Od rana na sali operacyjnej, potem dyżur na neonatologii. Co mnie spotkało? »Poselskie obywatelskie zatrzymanie« czytaj: uwięzienie w pomieszczeniu administracyjnym i uniemożliwienie wykonywania mojej pracy; szarpanie i popychanie; wyzwiska i obelgi oraz groźby; a na koniec dnia – odwiedziny wszechpolaków" – relacjonowała Jagielska w Internecie.

Sprawa wywołała ogólnospołeczne poruszenie. Krótko po akcji Brauna policja poinformowała, że zatrzymała cztery osoby podejrzane o hejtowanie w sieci Gizeli Jagielskiej (wśród nich był ksiądz). „Według policji zagrożenie jest realne. Byłam niejednokrotnie eskortowana, otrzymałam propozycję indywidualnej ochrony. To dla mnie jednoznaczny sygnał, że komórka do spraw zwalczania cyberprzestępczości też odczytuje to, co się teraz dzieje, jako niebezpieczne, a przecież oni mają jeszcze więcej informacji niż ja" – mówiła „Gazecie Wyborczej". Czterdziestoczterolatka nie zdecydowała się na ochronę policji. „Nie mogę z niej skorzystać z tego względu, że przy moim trybie pracy, wyjazdach jest to po prostu niemożliwe" – wyjaśnia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

Sprawca brutalnego mordu na Uniwersytecie Warszawskim – Mieszko R., 22-letni student prawa – zabił siekierą 53-letnią kobietę pracującą na UW i ranił broniącego jej pracownika ochrony FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Z dr. Jerzym Pobochą, psychiatrą, biegłym sądowym
rozmawia Radosław Wojtas

Morderca z UW trafi do szpitala, nie do więzienia?

RADOSŁAW WOJTAS: Pytaniem, które ciśnie się na usta, kiedy dochodzi do zbrodni zabójstwa – i na które pan jako biegły sądowy pomaga znaleźć odpowiedź – jest: Dlaczego? Czy zawsze jest powód?

DR JERZY POBOCHA: Zawsze. Dla większości ludzi każda zbrodnia, w szczególności zabójstwo, jest czymś niewytłumaczalnym, niezrozumiałym. Jednak zabójstwo jest przestępstwem starym jak świat. Od zarania dziejów ludzie się wzajemnie zabijali. Żyjemy w cywilizowanych czasach, kulturowo rozwiniętych i włącza nam się myślenie egocentryczne, czyli każdy kalkuluje według siebie: ja bym nikogo nie zabił, a skoro ja bym nikogo nie zabił, to wszyscy inni nie powinni tego robić. A tak w rzeczywistości oczywiście nie jest. Ojciec światowej kryminalistyki Hans Gross napisał, że nie ma zbrodni bez motywu. Zawsze staramy się znaleźć motyw. On może być ekonomiczny, polityczny, seksualny, kulturowy, fanatyczny…

Sprawca brutalnego mordu na Uniwersytecie Warszawskim – Mieszko R., 22-letni student prawa, który zabił siekierą 53-letnią kobietę pracującą na UW i ranił broniącego jej pracownika ochrony – miał motyw? Pytany o to prokurator powiedział: „Rozum tego nie pojmuje, a umysł się mąci".

Tu mówimy o motywie psychopatologicznym, a dokładniej: o objawach zaburzeń psychicznych. Powodują one, że człowiek zachowuje się – jak mówią biegli – w sposób niekontrolowany, a więc ma zniesioną zdolność rozpoznawania czynu i kierowania swoim postępowaniem. Ktoś taki nie kieruje się przesłankami rozumowymi, intelektualnymi, rozsądnymi, zrozumiałymi, bo pchnęły go do zbrodni jego urojenia. Wysiadają hamulce natury moralnej czy prawnej. Wyłącza się część mózgu, która odpowiada za ten sposób myślenia. Wiemy, że sprawca wybrał ofiarę przypadkowo. Spotkali się w piwnicy. Portierka pracująca na UW kazała mu opuścić budynek, bo chciała go zamknąć na noc. I kiedy to robiła, Mieszko R. zaatakował.

Zbrodnię jednak planował, normalny student nie zabiera na uczelnię siekiery.

Oczywiście tak, czuł potrzebę i miał zamiar dokonania działań przeciwko ludziom z użyciem siekiery, ale ofiarę wybrał przypadkowo. Liczba ciosów i ich skutki nie pozostawiają wątpliwości, że chciał zabić. Następne czynności, które podejmował, mówiąc, że jest predatorem, wilkiem, wskazują na to, że sprawca tej wstrząsającej zbrodni miał urojenia paranoidalne.

Czy to oznacza, że morderca nie spędzi reszty życia w więzieniu?

Biegli zbadają go w dokładny sposób, ale prawdopodobnie wniosek będzie taki, że trzeba uznać sprawcę za niezdolnego do rozpoznawania czynu i kierowania swoim postępowaniem, czyli uznać za

eprasa.pl 2c9e32c730

osobę niepoczytalną. Ponieważ dokonał tak makabrycznej zbrodni, bezsprzecznie wymaga dalszej izolacji od ludzi, żeby nie dopuścił się podobnego czynu w przyszłości. Najprawdopodobniej zostanie umieszczony w szpitalu psychiatrycznym o najwyższym stopniu zabezpieczenia.

Kolejna zbrodnia, po której czytamy: „sąsiedzi są w szoku", „nikt się nie spodziewał", „spokojny chłopiec". „Spokojny, dobry, grzeczny chłopiec" budzi się pewnego dnia mordercą?

On jednak trochę się wyróżniał. Jego koledzy ze szkoły średniej opowiadali, że bardzo się izolował, że nie lgnął do dziewcząt, nie zachowywał się tak jak przeciętny chłopiec w jego wieku. Kiedy był już studentem i zamieszkał w Warszawie, miał rys – mówiąc najdelikatniej – oryginalności, by nie powiedzieć: dziwaczności. Mianowicie zawsze wchodził do domu przez garaż. Musi pan przyznać, że nie jest to standardowe postępowanie przeciętnego człowieka. Takie niewielkie odchylenia mogą czasami sugerować, że osoba ta może mieć w przyszłości predyspozycje do poważniejszych zaburzeń. Sprawdzono, że Mieszko R. nie leczył się psychiatrycznie. Wybuch psychozy był zatem nagły i mógł być konsekwencją np. zażycia dopalacza, metamfetaminy, mefedronu czy innego podobnego związku, który tę psychozę wyzwolił. Nawet jeśli się okaże, że w czasie czynu nie miał takiego związku we krwi, to wcale nie oznacza, iż wcześniej takiego związku nie zażył.

O sprawcy innej zbrodni, która w ostatnich tygodniach wstrząsnęła Polską, przełożeni pisali tak: „Dotychczas niczym specjalnym się nie wyróżniał. Przeciętny, ani nie zbierał nagród, ani nie otrzymywał nagan, nie miał postępowań dyscyplinarnych". A jednak ten człowiek wtargnął do gabinetu lekarskiego i zabił lekarza. Morderca to strażnik więzienny, który miał aktualne badania psychologiczne.

Pytanie, jaka była jakość i dogłębność tych badań. Jeżeli nie występują wyraźne objawy psychopatologiczne, to pobieżne badania niczego nie wykażą. Zabójca ortopedy z Krakowa miał do niego pretensje, że ten miał mu wszczepić podczas operacji jakąś chorobę. Albo to były twierdzenia urojeniowopodobne, czyli rodzaj fantazji (a wielu ludzi fantazjuje w podobny sposób na rozmaite tematy), albo one osiągnęły już wyższy poziom. Mianowicie urojeń, czyli błędnych sądów opornych na możliwość korekty ze strony otoczenia czy ze strony własnego rozumu. Są to poglądy, co do których ta osoba jest głęboko przekonana i nie da się jej wyperswadować, że nie ma racji. Sprawca, idąc za tym przekonaniem odnośnie do krzywdy, której miał doznać, najpierw żądał odszkodowania w wysokości ok. 20 tys. zł, a potem poszedł wymierzyć „sprawiedliwość" w brutalny sposób, który skończył się śmiercią lekarza. Należy zauważyć, że napaści na lekarzy i ich zabójstwa nie są czymś niespotykanym. W Polsce jest wielu lekarzy poszkodowanych przez pacjentów. Ja sam zostałem pozbawiony śledziony, którą musiano mi usunąć, bo doświadczyłem na własnej skórze, co to znaczy agresja w stosunku do lekarza w wydaniu pacjenta. Z każdej takiej zbrodni – czy to na Uniwersytecie Warszawskim, czy w krakowskim szpitalu – musimy wyciągać konstruktywne wnioski. Powinniśmy badać te sprawy jak komisje badające katastrofy lotnicze. Nie tylko po to, by sprawdzić, co się stało, lecz także po to, by wdrożyć takie działania, które sprawią, że podobna sytuacja już się nie zdarzy.

Ma pan swoje wstępne wnioski?

W przypadku podniesienia bezpieczeństwa lekarzy i pozostałych pracowników ochrony zdrowia na pewno mogłaby pomóc zasada, że niezależnie od tego, gdzie dana osoba przyjmuje pacjentów, zawsze jest wyposażona w jakieś środki ochrony osobistej, np. gaz pieprzowy. Są też specjalne urządzenia do alarmowania numeru 112 albo wydające bardzo głośny dźwięk, dzięki czemu otoczenie natychmiast wie, że dzieje się coś niepokojącego. W przypadku uniwersytetu, który ma tytuł prawny eksterytorialności, a zatem policja nie może tam działać, chyba że zostanie wezwana przez władze uczelni, powinien być opracowany i wdrożony system reagowania w takich kryzysowych sytuacjach. Pracownicy ochrony nie mogą być zupełnie bezbronni, powinni mieć co najmniej paralizatory czy broń gazową, żeby nie musieli aż tak narażać życia, jak zrobił to bohaterski pracownik ochrony UW, który próbował powstrzymać sprawcę uzbrojonego w siekierę. Ale też społeczeństwo powinno być lepiej przygotowane i przeszkolone. Kiedy ja studiowałem, to nawet studentki medycyny przechodziły szkolenie wojskowe. Dziś też powinniśmy pomyśleć o tym, jak wprowadzać do społeczeństwa umiejętności samoobrony. Polegającej nie tylko na tym, jak walczyć, lecz także na tym, jak unikać sytuacji, które mogą się skończyć tragicznie.

Można uczyć, ale wydaje się, że należy także pracować nad mentalnością. Nie trzeba od razu rzucać się na napastnika, jeśli nie czujemy się na siłach, ale wyciąganie telefonu nie po to, żeby wezwać pomoc, ale po to, żeby nagrać film jest czymś niesłychanym. A do takich sytuacji doszło na UW.

To jest przejaw takiego braku empatii, takiej znieczulicy, na jaką nie powinno być miejsca w XXI w. w czasie pokoju. Można zrozumieć tak duże zobojętnienie w czasie wojny, kiedy ludzie widzieli tyle śmierci i cierpienia, że zaczynają się mu przyglądać z apatią. W dzisiejszych czasach takie zachowanie musi być zdecydowanie napiętnowane. Spadek empatii obserwujemy dziś na każdym kroku. Młode pokolenie ma wyraźny niedobór uczuć, jest bardzo mało odporne psychicznie.

Dlaczego?

Kiedy o to pytam młodych, oni sami potrafią to świetnie zdiagnozować: „Bo jest nam za dobrze". Bezstresowe wychowanie poczyniło bardzo duże szkody. Nie uczymy dzieci i młodzieży dyscypliny, a powinniśmy, szczególnie że mamy wojnę u naszych granic. Wyobraża pan sobie wojsko, w którym rozkazy dowódców traktuje się z przymrużeniem oka, jedne się wykonuje, a innych nie? Przecież taka armia nie będzie w stanie wygrać żadnej wojny.

Najpierw trzeba chcieć walczyć. Nie brakuje młodych mężczyzn, którzy deklarują, że w razie wojny wyjechaliby z kraju.

Jan Sztaudynger napisał taką fraszkę: „Starsi – Termopile. Młodsi – za ile?"...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Jerzy Pobocha – doktor nauk medycznych, psychiatra, biegły sądowy. Wieloletni wykładowca psychiatrii sądowej. Założyciel Polskiego Towarzystwa Psychiatrii Sądowej.

eprasa.pl 2c9e32c730

Malarz zielonych domów

Kitagawa Utamaro, „Księżniczka wysiadająca z powozu"
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Łukasz Czarnecki

W gmachu głównym krakowskiego Muzeum Narodowego oglądać można aktualnie wystawę o krótkim i jakże egzotycznie brzmiącym dla szarego przechodnia tytule – „Utamaro". Nawet jeśli słowo to nic nie mówi śpieszącemu w swych sprawach zwykłemu zjadaczowi chleba, to dobrze zrobi on, kierując kroki ku muzealnym salom – wszedłszy na ekspozycję, zatraci się w absolutnym pięknie, które jeszcze przez wiele dni będzie rezonować w jego duszy

Żyjący w latach 1754–1806 Kitagawa Utamaro jest bodajże najbardziej rozpoznawanym poza granicami własnego kraju japońskim malarzem. Cenią go zarówno rodacy, jak i zachodni miłośnicy drzeworytów ukiyo-e. Jemu to przypadł zaszczytny tytuł pierwszego mistrza pędzla z Kraju Kwitnącej Wiśni, którego pokochała Europa. Najpierw na punkcie prac Utamary oszalał Paryż, potem uwielbienie jego kunsztu rozlało się na cały Stary Kontynent, docierając także do Polski. Tym, kto przyniósł nad Wisłę tego bakcyla, był kolekcjoner sztuki Feliks Jasieński. W olbrzymich, liczących tysiące eksponatów zbiorach, które w patriotycznym geście zapisał Muzeum Narodowemu w Krakowie, znalazło się blisko 150 dzieł Kitagawy.

Ze smutkiem trzeba odnotować, że w okresie II RP, a później w czasach ustroju słusznie minionego krakowska instytucja kultury nie wykorzystała potencjału unikalnego w skali światowej zbioru drzeworytów i ilustrowanych książek, które wyszły z warsztatu Utamary. Pierwszymi, którzy pokazali je światu, byli… niemieccy okupanci w roku 1944, organizujący w Sukiennicach pokaz dzieł sztuki japońskiej z kolekcji Jasieńskiego. Inna rzecz, że – jak to naziści – przy tej okazji zrabowali 500 bezcennych eksponatów, które wywiezione do III Rzeszy już nigdy nie wróciły do Polski. Wśród skradzionych artefaktów znalazło się 65 drzeworytów Utamary. Na szczęście w Krakowie pozostało 80 prac mistrza w formie niezależnych grafik, części dyptyków i tryptyków, a także druków reklamowych (warto pamiętać, że twórcy ukiyo-e działali na zasadach komercyjnych, tworząc często na zamówienie). Oprócz tego zachowały się trzy ilustrowane tomy będące dziełem artysty, wśród nich bodajże najsłynniejsza książka z grafikami Utamary – tj. „Atlas wybranych owadów", zawierający wbrew swej nazwie wizerunki nie tylko insektów, lecz także drobnych płazów i gadów. Niestety, nie jest to pierwsza edycja z roku 1788, lecz późniejszy o 104 lata dodruk, co nijak nie wpływa na wartość estetyczną dzieła pieszczącego oczy finezją odwzorowania szczegółów żyjątek i poruszającego duszę za sprawą towarzyszących ilustracjom poetyckich strof napisanych przez grupę wyłonionych w konkursie poetów z Edo.

NIEZNANY I POMIJANY

Zainteresowanie japońską kolekcją Jasieńskiego wzmogło się na przełomie wieków XX i XXI, wraz z powstaniem Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha ściśle współpracującego z Muzeum Narodowym. Równocześnie liczba prac Utamary w zbiorach tej drugiej instytucji powoli wzrastała wskutek zakupów i donacji; rozpoczęto również tworzenie ich katalogu, co było konieczne, gdyż bezcenny i bogaty zbiór krakowski, mimo że prezentowano go na wystawach zagranicznych (trzykrotnie w ojczyźnie artysty), pozostawał nieznany zachodnim badaczom spuścizny Utamary i pomijany był w poświęconych mu monografiach powstających w krajach zachodniej Europy i w USA.

Pierwsza kompleksowa i wyczerpująca wystawa krakowskiej kolekcji prac Kita-

eprasa.pl 2c9e32c730

gawy miała miejsce w roku 2013 w salach Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. W późniejszych latach niektóre z prac wielkiego Japończyka oglądać można było przy okazji innych wydarzeń poświęconych sztuce Japonii. W roku 2017 zwiedzający gmach główny Muzeum Narodowego mogli podziwiać bijinga (obrazy pięknych kobiet) mistrza w ramach wystawy „ONNA. Piękno, siła, ekstaza". Jednakże na kolejną wystawę stawiającą w centrum zainteresowania Utamary czekać musieliśmy do 17 stycznia br., kiedy szerokiej publiczności zaprezentowano ekspozycję będącą tematem niniejszego artykułu.

Kitagawa Utamaro jest jednym z najwybitniejszych japońskich twórców epoki Edo, specjalizujących się w tworzeniu drzeworytów ukiyo-e. Twórczość ta wpisywała się w szerszy nurt hedonistycznej i konsumpcyjnej kultury mieszczańskiej, stojącej w kontrze do oficjalnej ideologii państwowej, narzucanej japońskiemu społeczeństwu przez bakufu, tj. rząd wojskowych, w ramach którego dziedziczną funkcję szoguna pełnili przedstawiciele rodu Tokugawa. Podczas gdy oficjalnie klasą rządzącą pozostawali samurajowie, a opresyjne prawa kładły nacisk na moralność, posłuszeństwo wobec władz oraz to, by każdy znał swoje miejsce, pogardzani przez wojowników kupcy szybko się bogacili. Surowa ideologia klasy rządzącej była im obca, skromności i powściągliwości szlachty przeciwstawiali żywiołowość i umiłowanie rozkoszy życia. W szybko rozwijających się miastach epoki Edo, a zwłaszcza w stolicy szogunatu (od której okres ten wziął swoją nazwę) czy zdominowanej przez warstwę kupiecką Osace, dynamicznie rozwijała się kontrkultura ukiyo, tj. „płynącego świata". Podkreślała ona niestałość i przemijalność rzeczy, jednak w przeciwieństwie do buddyjskiej eschatologii fakt ten nie stanowił dla mieszczan powodu do smutku, lecz bodziec pobudzający ich do „chwytania dnia" i wyssania z życia wszystkiego, co najlepsze. Żyjący w drugiej połowie XVII w. pisarz Ihara Saikaku wprost radził swoim czytelnikom, by do osiągnięcia wieku średniego zajmowali się prowadzeniem interesów, aby uzbierać majątek, który przepuszczą na hulanki, gdy przekroczą czterdziestkę.

Kitagawa Utamaro obracał się w kręgu ukiyo i w swoich czasach był bodajże najwybitniejszym jej piewcą. Już miejsce jego zamieszkania uznać można za symboliczne – artysta zajmował dom tuż przy bramie prowadzącej do Yoshiwary, sławnej dzielnicy rozkoszy w Edo. To właśnie tego typu obszary, które dziś nazwalibyśmy „dzielnicami czerwonych latarni", stanowiły centrum kultury popularnej. Malarze i pisarze tworzący dla publiczności złożonej z kupców oraz rzemieślników orbitowali wokół herbaciarni i domów publicznych. Pracujące w tych przybytkach kelnerki i prostytutki różnego sortu, w tym szalenie drogie i ekskluzywne kurtyzany oiran, były natchnieniem oraz modelkami dla twórców drzeworytów. Prace te stanowiły reklamę usług świadczonych przez owe panie lekkich obyczajów, a także tani substytut odwiedzin w „domu rozkoszy", dostępny dla wszystkich tych, których sakiewki były zbyt lekkie, aby móc zapewnić im erotyczne hulanki ze sprzedajnymi pięknościami w realnym życiu.

ZACHWYT FRANCUSKIEGO PISARZA

Utamaro doprowadził gatunek tzw. bijinga do apogeum. Właśnie portret kobiecy jest skojarzeniem, które pierwsze nasuwa się po usłyszeniu jego nazwiska. Yoshiwara stanowiła dlań niekończące się źródło tematów i inspiracji. Tworzył wizerunki tutejszych szafarek płatnej miłości, ale malował też wnętrza domów rozpusty. Właśnie przy takiej pracy, malując Feniksa na ścianie przyjęć luksusowego zamtuza, uwiecznił sam siebie w drzeworycie, w którym zawarł swój autoportret. Niezliczone piękności pracujące swym ciałem zostały uwiecznione przez Kitagawę, który tym samym zapewnił im swoistą nieśmiertelność. Rzeczywiste życie prostytutek w epoce Edo było smutne i krótkie, wiele umierało tuż po 20. roku życia wskutek chorób wenerycznych, inne popełniały samobójstwa. Po śmierci nie dbano nawet o godny pochówek nieszczęśnic, ich owinięte w słomę ryżową ciała porzucano często pod płotem jakiejś świątyni. Nielicznym kurtyzanom udawało się wyzwolić z domu publicznego, gdy zostawały wykupione przez zamożnych kochanków pragnących uczynić z nich swoje oficjalne konkubiny, a czasem i żony. Zakochany i bogaty klient był dla dziewcząt z Yoshiwary spełnieniem marzeń, pozwalał bowiem wyrwać się z ponurej rzeczywistości, w której przyszło im żyć. Niestety, dla 90 proc. panien lekkich obyczajów przynosząca polepszenie losu miłość pozostawała wyłącznie w sferze imaginacji. O większości prostytutek z dzielnicy rozkoszy w Edo wiemy tyle co nic, jednak te, które los zetknął z Utamarą, zostały uwiecznione przez artystę w pełnym rozkwicie piękna i młodości, tak że choć już dawno obróciły się w proch, to urocze dziewczęta wciąż uwodzą nas swym zagadkowym spojrzeniem, zerkając zalotnie z drzeworytów mistrza.

Kitagawa Utamaro, „Piękna Yosooi z domu uciech Matsubaya" FOT. MYKYTA PLATONOV

Z racji bliskiego powinowactwa Kitagawy z Yoshiwarą Edmond de Goncourt, francuski pisarz i krytyk, a równocześnie kolekcjoner oraz znawca sztuki japońskiej, zatytułował napisaną przez siebie w 1891 r. pierwszą europejską monografię poświęconą artyście: „Utamaro. Malarz zielonych domów". Pod tą bowiem nazwą były znane w Japonii czasów Tokugawów przybytki płatnej miłości. Francuza zachwycało mistrzostwo Japończyka w ujmowaniu kobiecości modelek – jak pisał, kobietę japońską, z natury małą i okrągłą, Utamaro uczynił wiotką, smukłą i wysoką. To właśnie prace Kitagawy uformowały popularny w kulturze Zachodu wizerunek japońskiej kobiety, który niestety błyskawicznie się zbanalizował i zwulgaryzował, przeradzając w stereotyp słodkiej porcelanowej laleczki w kimonie.

Zwiedzający krakowską wystawę mają okazję zapoznać się z bliska z licznymi pozostawionymi przez Utamarę pracami prezentującymi urodziwe kobiety. Są wśród nich popiersia ze zbliżeniem na twarz modelki oraz grafiki obejmujące całe sylwetki portretowanych i pozwalające obejrzeć ich odwzorowane ze szczegółami stroje, a także towarzyszące im przedmioty, takie jak fajki, przyrządy do dbania o urodę,

eprasa.pl 2c9e32c730

lusterka, filiżanki z laki, instrumenty muzyczne, pędzelki do pisania czy książki.

Warto odnotować, że choć wiele prezentowanych drzeworytów przedstawia kurtyzany, licznie reprezentowane są też prace, na których uwiecznione zostały zwykłe mieszczki w towarzystwie swoich dzieci. Miłość macierzyńska była jednym z ulubionych tematów artysty, który często prezentował matki pochłonięte zabawą ze swoim potomstwem. Na wystawie znaleźć możemy choćby scenę, w której młoda Japonka karmi piersią swego synka, lub prezentującą chłopczyka śpiącego z głową opartą na kolanach pogrążonej w lekturze mamy, podczas gdy starsza siostra malucha kaligrafuje słowa wiersza na papierowym lampionie. Utamaro uwiecznia też grupę rodzinną stojącą przy ulicznej noworocznej dekoracji, a także niezwykle ważne punkty graniczne japońskiego dzieciństwa – ceremonię zakładania po raz pierwszy przez małego chłopca spodni hakama i przepasywania dziewczynki pasem obi.

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że Utamaro był wyłącznie kronikarzem „upływającego świata" i domowego zacisza. Równie mocno co parne noce w domach rozkoszy artystę pociągał szczęk oręża i chętnie portretował samurajów. W oddzielonej od bardziej „pacyfistycznych" tematów części ekspozycji możemy poznać wizerunek japońskich wojowników – taki, jak postrzegał go i kreował w swej sztuce mistrz. Na szczególną uwagę zasługuje stanowiąca klejnot w koronie kolekcji Jasieńskiego unikalna w skali światowej grafika: „Wódz Minamoto no Yoritomo na polowaniu u stóp góry Fuji", stworzona między latami 1786 a 1789. Wizerunkowi pierwszego dziedzicznego szoguna w dziejach Japonii towarzyszy grafika prezentująca jego młodszego brata Yoshitsune, tragicznego bohatera kultury japońskiej, zaszczutego i zabitego przez siepaczy Yoritomy, zazdrosnego o popularność charyzmatycznego młodego wodza. Legendarny wzór cnót samurajskich na pochodzącym z roku 1800 drzeworycie zatytułowanym „Tengu i Ushiwakamaru" (chłopięce imię młodszego z braci Minamoto) namalowany jest w trakcie ćwiczeń z zachowania równowagi. Chłopiec balansuje na linie, a jego wysiłkom przyglądają się z dołu dwa tengu – ptasioludzkie demony zamieszkujące, jak głosi wieść, niedostępne zakątki japońskich gór. Wedle legendy Yoshitsune, zyskawszy przychylność tych fantastycznych istot, właśnie od nich nauczył się sekretów sztuk walki i strategii wojennej, które w późniejszych latach przyniosły mu tak wielką sławę – sławę kosztującą go ostatecznie życie. W scenie namalowanej przez Utamarę nic nie zwiastuje jeszcze, jaki ponury los zgotuje ćwiczącemu dziecku przeznaczenie. Na razie chłopiec w pełni koncentruje się na tym, by nie spaść z liny, a jego pyzata twarz wyraża całkowitą ufność i wiarę w przyszłość. Z drzeworytem sąsiaduje rzeźbiona w groteskowe rysy maska tengu o wyszczerzonych zębach, wybałuszonych oczach i ogromnym nosie będącym znakiem rozpoznawczym tych górskich demonów.

Kontrkultura ukiyo podkreślała niestałość i przemijalność rzeczy, jednak w przeciwieństwie do buddyjskiej eschatologii fakt ten nie stanowił dla mieszczan powodu do smutku

Zamiłowanie do portretowania wojowników miało stać się przyczyną zguby artysty. W roku 1804 Utamaro złamał prawo zakazujące tworzenia wizerunków postaci historycznych żyjących po roku 1573. Co gorsza, bohatera wykonanej wówczas pracy wybrał wyjątkowo niefortunnie, bo stał się nim dyktator wojskowy Toyotomi Hideyoshi, sprawujący władzę nad Japonią przed ukonstytuowaniem się szogunatu Tokugawów. Postępek ten był lekkomyślny i prowokacyjny, gdyż założyciel dynastii szogunów, Tokugawa Ieyasu, do władzy doszedł, mordując młodziutkiego syna i następcę Hideyoshiego (którego ojcu przyrzekł opiekować się chłopcem, pozostającym w chwili śmierci dyktatora niepełnoletnim). Znaczną część zawodowej biografii Kitagawy stanowiła gra w kotka i myszkę z cenzorami, którzy w ramach naprawy obyczajów próbowali (nieskutecznie) walczyć z produkcją i sprzedażą drzeworytów propagujących niemoralne treści. O ile różnego rodzaju sprytne wybiegi pozwalały artyście grać władzom na nosie w kwestii portretowania prostytutek czy tworzenia scen erotycznych (tzw. shunga, czyli „obrazy wiosenne", również znalazła się wśród prezentowanych eksponatów), o tyle za wejście w obszar treści mogących być odczytanymi jako „polityczne" wybaczenia już nie było. Utamaro został skazany na trzy dni więzienia i dwa miesiące noszenia ciężkich kajdan. Po doświadczeniu tym nigdy nie doszedł, jak się wydaje, w pełni do siebie, bo zmarł zaledwie dwa lata później.

NIE TYLKO MALARSTWO

Oprócz prac „malarza zielonych domów" przestrzeń muzealną wypełniają przedmioty nawiązujące do rekwizytów, z którymi uwiecznione zostały postaci z drzeworytów. Szczególnie licznie reprezentowane są kimona i pasy obi tkane kunsztownie, zdobione skomplikowanymi wzorami i wykonane z najwyższej jakości tkanin. Samo podziwianie mistrzostwa ich wykonania może zająć równie wiele czasu, co medytacja nad doskonałością artystycznego wyrazu Utamary. Ponadto obejrzeć można też lakowy serwis herbaciany, żeliwne naczynia, przybory kosmetyczne, takie jak lusterka i grzebienie, oraz tradycyjne japońskie instrumenty muzyczne spoczywające w gablocie towarzyszącej drzeworytom przedstawiającym muzykujące piękności.

Podsumowując: każdy miłośnik sztuki, którego los rzuci do Krakowa przed 15 czerwca br., kiedy to ekspozycja zamknie swoje podwoje, powinien koniecznie udać się do gmachu głównego Muzeum Narodowego, by zapoznać się ze spuścizną Kitagawy Utamary. Skompletowana przez Jasieńskiego kolekcja dzieł tego artysty stanowi jeden z najcenniejszych skarbów kultury w naszym kraju, porównywalny choćby z „Damą z gronostajem" Leonarda da Vinci. W przeciwieństwie jednak do płótna wielkiego Włocha, które oglądać w Krakowie można na co dzień, prace Utamary opuszczają muzealne magazyny w rzadkich przypadkach i nie wiadomo, kiedy znów nadarzy się okazja do obcowania z geniuszem „malarza zielonych domów". Łapmy ją zatem, póty możemy!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Utamaro"
Muzeum Narodowe w Krakowie
Wystawa w dniach 17 stycznia–15 czerwca 2025 r.

eprasa.pl 2c9e32c730

Mariusz Benoit (Estragon) i Jerzy Radziwiłowicz (Vladimir) w „Czekając na Godota" w reżyserii Piotra Cieplaka

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN

Jawna nicość

Grzegorz Kondrasiuk

Na koniec sezonu polecam spacery i teatralne podróże do Teatru Narodowego. Tak na wszelki wypadek... Nadchodzi zmiana dyrektora i przegapiony dobry tytuł może stać się tytułem już nieobejrzanym – na zawsze

Siedząc na widowni Studia, najmniejszej sceny Narodowego, wśród najlepszej (bo nie tej premierowej) publiczności, zadawałem sobie pytanie: Jaki jest sens recenzowania kameralnego „Czekając na Godota", zagranego w aktorskim kwartecie – Mateusz Benoit, Jerzy Radziwiłowicz, Cezary Kosiński i Bartłomiej Bobrowski (plus niespodzianka)? Oczywiście warto napisać prostą „polecajkę", co niniejszym czynię, ale trudno potraktować ten spektakl jako standardową pozycję dla teatromanów „do odhaczenia". Można, rzecz jasna, pooceniać to i owo, może do czegoś się przyczepić, o co w tym przypadku byłoby zresztą trudno. Mógłbym np. odnotować czystość stylu ról Pozza (Cezary Kosiński) i Lucky'ego (Bartłomiej Bobrowski). Jest to para „kat" i „ofiara" w laboratoryjnej ilustracji, a zarazem pokaz gry aktorskiej wręcz zegarmistrzowski, jeśli już ktoś taką lubi. Albo przyjrzeć się niewidzialnej, czujnej adaptacji i reżyserii Piotra Cieplaka. Można ponarzekać, że dziś jesteśmy przyzwyczajeni do znacznie szybszego montażu i większej dynamiki scen, aby potem stwierdzić, że jest to bardziej uwaga o „nas" i nie dotyczy Samuela Becketta (ani Cieplaka). Ale właściwie dlaczego miałbym recenzować grę wiodącego tutaj prym, zgodnie z intencjami dramatopisarza, duetu Benoit (Estragon) i Radziwiłowicz (Vladimir)? Nie wystarczy po prostu pobyć z nimi razem przez te dwie godzinki z hakiem? Najwyraźniej mamy tu do czynienia nie tylko z teatrem, lecz także z jakimś przejmującym zdarzeniem egzystencjalnym. Od razu zastrzegam: nie zamierzam wpadać w patos, bo wejście na to trzecie piętro na Wierzbowej dla spotkania z czterema panami (i niespodzianką) jest doświadczeniem mało podniosłym, ale na pewno dotykalnym.

Takiego teatru już prawie nie mamy. Może przypomnę, bo nazwisko Becketta nie wywołuje dziś sensacji: jest to słynny dramat, w którym dużo się gada, nie ma muzyki ani żadnych efektów specjalnych, a główne role należą do dwóch aktorów, raczej w słusznym wieku. Dwóch smutnych klownów próbuje bezskutecznie się powiesić, a potem snuje ponuro i bez nadziei zapętlone, rozciągnięte na cały wieczór dialogowe intermedium pomiędzy numerami cyrkowymi. Tylko że numerów nie będzie, bo cyrk ktoś już dawno ukradł, razem z całym światem. Świat podpieprzyły jakieś „ręce złodziei", by zacytować znaną linijkę z Czesława Miłosza, wbrew jej wymowie. Czy się zgadzamy z tym czy nie, jesteśmy tu w miejscu, gdzie – zgodnie z diagnozą Theodore'a Adorna – rozrywka zmieniła się w „polemiczną parodię", a tragizm rozpadł na skutek „jawnej nicości". I tak słuchamy nieprawdopodobnie gęstego, nasyconego odniesieniami dialogu o pozornej prostocie i przebywamy w towarzystwie tej dziwnej, niezwykle trudnej do uchwycenia jakości, którą jest charyzma starszego aktora. W dodatku Benoit i Radziwiłowicz przynieśli na scenę własny aktorski smutek.

Gdzie się mieści charyzma? Co jest jej nośnikiem? Może twarz człowieka, który już się dowiedział aż nadto, „jak to jest"? Twarz aktora, przez którą przewinęły się setki ról, co jest i niewidoczne, i w przedziwny sposób odczuwalne? Może opuszczone, już na stałe, kąciki ust pana Radziwiłowicza, które na rozkaz, posłusznie, na mikrosekundę wędrują do góry (np. przy kwestii „uśmiech zamiast śmiechu")? Albo, wstyd powiedzieć, wory pod oczami pana Benoit? Melancholijna, nienachalna to uroda tych dwóch panów... W dodatku reżyser zapomniał o multimediach i mikroportach. Wstyd, panie Cieplak!

Na tekstach Becketta spadkobiercy zastosowali „areszt interpretacyjny", nie można ich w inscenizacji skracać ani przepisywać. Więc nigdy nie będzie zaktualizowany, najwyżej zniknie ze scen? A przecież jest aktualny na tym głębokim poziomie. Kiedy Pozzo-Kosiński rzuca mimochodem uwagę o ludności, której ciągle przybywa, zdejmując okulary i patrząc przez nie na widownię jak przez szkła lornetki, to z każdym rokiem ta uwaga robi się coraz bardziej aktualna... A błyskawiczne przeskoki Pozza od uprzejmości do agresji – pokazanie tej cieniutkiej warstwy, pod którą skrywamy przemoc naszą powszednią – nigdy się nie zestarzeją.

Dzisiejszy teatr robi klasykom „update" nawykowo i bez pomyślunku, gwałcąc intencje dawnych autorów w każdy możliwy sposób. Operacje na takich tekstach u większości polskich reżyserów przypominają tańce małpy z brzytwą. Mimo to wierzę, że zrywająca z didaskaliami reżyseria dramatów Becketta jest możliwa do przeprowadzenia. Otwarcie na nowo Becketta wymaga, tylko i aż, myślącego reżysera, nieidącego na ślepo i na skróty za trendami, oraz, bagatelka, wielkich aktorów. ©℗

SAMUEL BECKETT, „CZEKAJĄC NA GODOTA"
TEATR NARODOWY
REŻYSERIA: PIOTR CIEPLAK
PREMIERA: 9 GRUDNIA 2023 R.

eprasa.pl 2c9e32c730

Ostatnia modlitwa

Piotr Gociek

„O, Kanado!" Paula Schradera to film dużo lepszy, niż sugerują recenzje. Scenarzysta „Taksówkarza" i „Wściekłego byka" nakręcił dzieło celne i bezlitosne

Jacob Elordi jako młody Leonard Fife

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Czy się wierzy w Boga czy nie, w modlitwie się nie kłamie" – mówi Leonard Fife. Umierający na raka sędziwy reżyser filmów dokumentalnych zgodził się na ostatni wywiad, pod warunkiem że świadkiem będzie jego żona. „To mój dar dla ciebie" – oświadczył. Całe życie zajmował się wyciąganiem z ludzi prawdy przed kamerą. Tak długo, że sam też już, tylko patrząc w obiektyw, może pozwolić sobie na szczerość. Czy to spowiedź? „To moja ostatnia modlitwa" – mówi Leo.

Kamera jako filtr prawdy – znamy ten chwyt, prawda? Wypadałoby się cofnąć do ostatniej sceny „Amatora" Krzysztofa Kieślowskiego, kiedy to grany przez Jerzego Stuhra bohater kieruje kamerę na samego siebie. Paul Schrader, opowiadając o Leonardzie Fifie, mnoży jednak dwuznaczności: kamera posłużyła wcześniej bohaterowi filmu „O, Kanado!" do zacierania prawdy. Może i medium jest przekazem, ale zawsze liczą się intencje.

BEZ WIARY NIE MA DRAMATU

Paul Schrader to jedna z najważniejszych postaci kina ostatniego półwiecza. Genialny scenarzysta, który napisał dla Martina Scorsese najważniejsze filmy: „Taksówkarz", „Wściekły byk", „Ostatnie kuszenie Chrystusa". Reżyser, który ma w dorobku serię wybitnych, irytujących Hollywood dokonań: „Błękitne kołnierzyki", „Amerykański żigolak", „Mishima". W ostatnich latach nakręcił nieformalną trylogię moralitetów „Pierwszy reformowany", „Hazardzista" i „Dobry ogrodnik". Pracuje za drobne pieniądze, gdzieś na obrzeżach systemu, zawsze z wybitnymi aktorami i zawsze oferując widzowi kino poważne, niepokojące, wytrącające ze strefy komfortu. Jego mistrzowie to Robert Bresson, Yasujirō Ozu, Carl Theodor Dreyer – napisał o nich książkę „Transcendental Style in Film".

Współczesna lewica – zatem także ekipy, które obsiadły gremia rządzące festiwalami filmowymi – serdecznie Schradera nie cierpi. Oto człowiek, który nie kryje się ze swą religijnością i który mówi swoimi scenariuszami, że bez wiary nie ma dramatu, bo wiara to sumienie, a sumienie oznacza, że istnieją także wyrzuty sumienia. Zatem jest zło, jest dobro, są nasze wybory, czasem oczywiste, czasem zgubne. Tylko w kategoriach grzechu, żalu za grzech, pokuty opisać możemy ludzki los – przypomina reżyser, którego opowieści pełne są postaci głęboko udręczonych i przez to głęboko ludzkich. Schrader nie pasuje więc do świata, w którym wszystko jest dozwolone i wszystko jest nieważne.

Film „O, Kanado!", który pojawił się u nas w bodaj dziewięciu różnych serwisach VOD (wszędzie za dodatkową opłatą, na razie jeszcze nie w ramach abonamentów), jest policzkiem wymierzonym lewicy oraz tym wszystkim, którzy sumienie uważają za nieistotne. Ostatnia modlitwa niewierzącego Fife'a jest bowiem zarówno autodemaskacją jej bohatera, jak i demaskacją tych, którzy bardzo się śpieszą, by ogłaszać rozmaitych świeckich świętych w podzięce za zaangażowanie w sprawę – a może nawet w Sprawę.

Ekipa kręcąca film dokumentalny przybywa do domu Fife'a, by oddać mu hołd. Ostatni wywiad ma być czymś pomiędzy notacjami mistrzów a ostatnią lekcją powszechnie szanowanego guru. Czym sobie na ów szacunek zasłużył? Jest bohaterem, bo uciekł ze Stanów Zjednoczonych przed poborem do wojska podczas wojny w Wietnamie. Podróżował śladami rewolucji, m.in. na Kubę. Nakręcił serię filmów dokumentalnych, w których piętnował kapitalizm, imperializm tudzież brak ekologicznej wrażliwości. W króciutkich scenach z fikcyjnych filmów Fife'a dostajemy m.in. scenę rzezi

eprasa.pl 2c9e32c730

fok oraz demaskację amerykańskiej armii przygotowującej się do rozpylania trucizny w Wietnamie (niesławny herbicyd znany jako Agent Orange). Lewica – a tym samym artystyczny światek – uznaje więc Leo za sumienie świata, a przynajmniej Ameryki.

Leo tymczasem opowiada, jak było naprawdę. Żołnierka mu nie groziła, wykręcił się, bo przed komisją okazał się doskonałym kłamcą i niezłym aktorem. Stany Zjednoczone porzucił natomiast, bo uciekał od żony i dziecka. Na Kubę nigdy nie dotarł, choć nieraz się tym chwalił. Wybrał się za to w tym czasie w pijacką podróż z kumplem, a szczególnie dobrze popijało im się w pięknej Kalifornii. Marzył o karierze pisarza, ale jakoś nigdy nie znalazł w sobie uporu i przekonania, by cokolwiek dokończyć – wystarczały mu zapiski w notesie do błyśnięcia na imprezie i jako bajerka dla łatwych podbojów w świecie panienek smakujących życia w czasach rewolucji seksualnej.

Żegnającego się ze światem Leonarda Fife'a gra Richard Gere, młodego natomiast – Jacob Elordi. (Gere zagrał wcześniej u Schradera główną rolę w „Amerykańskim żigolaku"). Teraźniejszość i przeszłość płynnie się przenikają, czasem obie wersje Leo oglądamy wymiennie w tej samej scenie. Niekiedy wracamy do scen już raz pokazanych, tyle że za drugim razem wyglądają inaczej. Znajdujemy się wewnątrz umysłu schorowanego, starego człowieka, który myli fakty i miejsca, któremu twarze poznanych kiedyś osób zaczynają zlewać się ze sobą. To jest opowieść subiektywna, to jest opowieść w kawałkach.

WARSTWY ZNACZEŃ

Schrader jest wierny literackiemu oryginałowi – ekranizuje powieść Russella Banksa „Foregone" (film dedykowny jest pamięci zmarłego w 2023 r. pisarza). „Książka jest mozaiką" – mówił Schrader w wywiadzie dla „IndieWire". Dalej reżyser wskazał podobieństwo metody, którą wybrał dla wersji filmowej do swego filmu „Mishima": pastisz, w którym „mamy do czynienia z różnymi warstwami rzeczywistości i różnymi formatami wizualnymi, które zazębiają się ze sobą". Rzeczywiście, oglądać trzeba „O, Kanado!" niezwykle uważnie, niektóre tropy łatwo mogą nam umknąć. W gąszczu zmieniających się wspomnień trudno dostrzec, że Uma Thurman gra nie tylko żonę starego Leo, lecz także jedną z jego kochanek w retrospekcji. Podobnie rzecz ma się z Penelope Mitchell, która gra zarówno asystentkę reżysera kręcącego dokument, jak i pierwszą żonę Fife'a.

REŻ. PAUL SCHRADER
„O, KANADO!"
USA 2024

W „O, Kanado!" mamy do czynienia nie tylko z warstwami rzeczywistości filmowej, lecz także z warstwami znaczeń. O obalaniu pomnika fałszywie wyniesionego świeckiego świętego już wspomniałem. Ponadto jest to spowiedź skruszonego grzesznika, który stojąc u bram wieczności, chce wyznać dawne grzechy. Chciałby wierzyć, że zaprowadzi go to w dobre miejsce – mamy nawet scenę, która sugeruje, że tak może być, ale nie mamy pojęcia, czy to aby nie majaki głównego bohatera.

Akt autodemaskacji jest jednocześnie aktem skrajnego ryzyka. Odrzucając kłamstwa, staje przed nami Leonard Fife taki, jaki jest naprawdę. To znaczy? Samolubny, kłamliwy, słaby, nieodpowiedzialny, krzywdzący nieustannie tych, którzy byli mu bliscy. „Niezdolny kochać" – doda w pewnym momencie jego żona przytłoczona i przerażona jego szczerością. Dlaczego umierający Leo porzuca wszelkie kostiumy i wymówki? Możemy się domyślać, że chce stanąć w prawdzie, by zostać sprawiedliwie osądzony. Czy to akt pychy, bo sądzi, że wszystko zostanie mu wybaczone, jeśli tylko będzie szczery? A może chce przekonywać, że właściwie niczego złego nie uczynił, że wszystko jakoś tak po prostu wyszło?

GŁÓD MIŁOŚCI

Leonard Fife żegna się ze światem, ocenę pozostawia sile wyższej. Kamera jako konfesjonał, widz jako sędzia, artysta jako… oszust? W najnowszym filmie Schradera powraca oczywiście znana kwestia: wzięty artysta w życiu prywatnym okazuje się świnią. Jedna z najsmutniejszych scen w „O, Kanada!" to chwila, gdy po trzech dekadach do marnotrawnego ojca przybywa porzucony syn. Tylko po to, by usłyszeć, że celebrujący sukces kolejnego filmu pan Leonard Fife nie chce z nim rozmawiać, bo żadnego syna nigdy nie miał. Geniusz Schradera scenarzysty, który wybornie rozumie ludzką duszę, tkwi w kolejnej scenie. Syn siedzi przy stoliku restauracyjnym z żoną ojca i przekonuje, że w sumie nic się nie stało, że on to rozumie: tata ma ważniejsze sprawy. A po chwili pyta z nadzieją widzianą pierwszy raz w życiu macochę: „Czy mogę pozostać w kontakcie chociaż z tobą?". Oto głód miłości, której Leo nigdy nie dał innym, samemu pasożytując za to na uczuciach, które mu hojnie ofiarowano.

Czy artystyczne sukcesy mogą usprawiedliwiać paskudne życie? Radykalizm autodemaskacji bohatera „O, Kanado!" rozumiemy w chwili, gdy pojmujemy, że przyznał się do bycia nikim w obu rolach. Stanął w prawdzie. Zamknął oczy na zawsze. I co dalej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Richard Gere jako Leonard Fife oraz Uma Thurman jako Emma FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2c9e32c730

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

SkyShowtime

Tymczasem na farmie

★★★☆☆☆

SEZON 2 I OSTATNI „1923"
USA 2025

wyst. Harrison Ford, Helen Mirren, Brandon Sklenar, Julia Schlaepfer

Miniseria „1883" była znakomitym wprowadzeniem w historię rodu Duttonów, czyli bohaterów serialu „Yellowstone". Dziesięć elegijnych odcinków o przeprawie przez naprawdę dziki amerykański zachód było hołdem dla tych, których kości użyźniają wielkie równiny. W serialu „1923" trafiliśmy już do Ameryki czasów prohibicji i elektryczności. Jedno się nie zmieniło: groza natury oraz ludzka chciwość. Jacob i Cara Duttonowie (Harrison Ford i Helen Mirren), właściciele rozrastającego się rancza Yellowstone, stawić muszą czoła koalicji drobnych hodowców (wojna o pastwiska) oraz demonicznemu Whitfieldowi (Timothy Dalton), uosobieniu korporacyjnego kapitalizmu. Whitfield chce okaleczyć ziemię kopalniami, a wzgórza zamienić w kurorty dla bogaczy. Lubi krzywdzić ludzi; lubi, kiedy cierpią.

Drugi i ostatni sezon „1923" dostępny jest w SkyShowtime, można wiec całą opowieść podsumować i ocenić. Minusów jest więcej niż plusów, rzecz jest do bólu melodramatyczna, a w wielu miejscach absurdalna, szczególnie gdy scenarzyści mnożą przeciwności losu przed wędrującymi z Afryki do Montany Spencerem Duttonem i jego żoną Alexandrą (zrządzeniem losu wędrują osobno). Narrację rozwala (tak było już w pierwszym sezonie) wątek Indianki prześladowanej przez zakonne siostry i ściganej przez rasistowskiego stróża prawa (oraz bardzo, bardzo złego księdza). Te historie po prostu się nie sklejają, tej ostatniej nie pomaga nawet wprowadzenie skądinąd ciekawej postaci pani szeryf Fossett – mogłaby dostać własną fabułę.

Jeśli jest coś, co mimo licznych wad sprawia, że chce się całą rzecz obejrzeć do końca, to jest to staroświeckość, którą Taylor Sheridan niepotrzebnie próbuje ukryć za pobocznymi wątkami, a która pięknie wybrzmiewa w dwuodcinkowym finale. Mężczyźni powinni zachowywać się jak mężczyźni, a kobiety jak kobiety, trzeba być wiernym rodzinie i danemu słowu, złu trzeba się przeciwstawić, nawet jeśli będzie to kosztowało nas wiele, a gdy lekarzom przyjdzie do głowy aborcja w szóstym miesiącu ciąży, to usłyszą w odpowiedzi: „Jaka byłaby ze mnie za matka, gdybym własne życie przedkładała ponad życie dziecka?!". Ciąg dalszy nastąpi, Spencer Dutton powróci w kolejnym prequelu „Yellowstone" – czyli „1944". ©℗

GRA TYGODNIA: „THE ELDER SCROLLS IV: OBLIVION REMASTERED"

★★★★☆☆

Kiedy w 2006 r. debiutowała czwarta odsłona docenianego przez graczy cyklu, robiła bardzo duże wrażenie. Dziś jej odświeżona wersja, po przesiadce z silnika Creation Egine na Unreal Engine 5, prezentuje się bardzo dobrze wizualnie. Lifting jest naprawdę głęboki – od modeli postaci, poprzez oświetlenie, do nowych animacji. Niewielkie zmiany w mechanice rozgrywki i niepozbycie się niektórych starych bolączek odejmują remasterowi nieco świeżości. Na minus także spadki wydajności i cena. Za tyle to nie, ale gdy stanieje – jak najbardziej. To wciąż bardzo dobra gra. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *XSX, PS5, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Bethesda*

eprasa.pl 2c9e32c730

Pułapka na spawacza

Fabuły spod znaku „Czarnego lustra" nigdy nie ziały optymizmem, ale siódmy sezon cyklu, wymyślonego przez Charliego Brookera, odbiera resztki nadziei. Zwłaszcza zwolennikom poglądu, że technologia może ludzkość uszczęśliwić. Fataliści będą natomiast w swoim żywiole, oglądając historię socjopatycznego geniusza tworzącego wirtualne światy lub starszego pana, który nieopatrznie godzi się na propozycję odświeżenia pamięci. A przecież sztuka zapominania to jeden z najcenniejszych darów, jakie otrzymaliśmy od Stwórcy.

Kasandryczne scenariusze mają większą siłę rażenia, jeśli są dobrze zakotwiczone w teraźniejszości. Kredyty dla każdego, podstępne subskrypcje, patostreaming, przeciążenie systemu opieki zdrowotnej nieprzygotowanego na obsługę coraz dłużej żyjących pacjentów – to koszty postępu zachwalanego zgodnie przez wszystkie opcje polityczne czy objawy cywilizacyjnego kryzysu? Najżywsze reakcje widowni wzbudzają „Zwyczajni ludzie": opowieść utrzymana w tonie bardziej minorowym niż „Sonata b-moll" op. 35 Fryderyka Chopina. Spawacz Mike, nie wyobrażając sobie życia bez ukochanej małżonki, decyduje się na eksperymentalną, bezpłatną kurację. Efekt jest oszałamiający, lecz jak wszyscy wiemy, w tym świecie nie ma nic za darmo. Przymilny start-up zmienia się w żarłocznego potentata, umowa zawiera klauzule, które czynią z abonenta niewolnika. Tylko wykupienie wersji premium, lux albo bonusów bez ogródek nazywanych dopalaczami może odsunąć w czasie przemianę lubej w reklamowy słup ogłoszeniowy. Wniosek? Zamiast liczyć na medyczne cuda na kiju, lepiej od razu się zabić.

Gołym okiem można dostrzec aluzje do oszukańczych praktyk stosowanych przez gigantów z branży high-tech, ale smutna historia spawacza i nauczycielki wcale nie jest tak jednoznaczna, jak się wydaje. Mike i Amanda są zadziwiająco bezradni i pozbawieni wyobraźni, grzeszą umysłowym lenistwem. Po prostu idealni konsumenci. Wiara, że zdrowie, komfort i szczęście należą się każdemu człowiekowi jak kość psu, będzie powodem jeszcze wielu tragedii. Fikcyjnych i całkiem realnych. Zaryzykuję proroctwo: „Czarne lustro" przeżyje swojego twórcę. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. ALLY PANKIW
„CZARNE LUSTRO: ZWYCZAJNI LUDZIE" („BLACK MIRROR: COMMON PEOPLE")
USA 2025

wyst. Chris O'Dowd, Rashida Jones

ROBODOC

KINO

Transhumanizm na wesoło, choć z nutką melancholii. Rzecz dzieje się w nieodległej przyszłości. Rozleniwiona ludzkość zaufała sztucznej inteligencji. W domach opieki mechaniczny personel dba o dobrostan seniorów, roboty wynoszą śmieci, wyprowadzają na spacer psy i opiekują się dziećmi. Francuzi, których tak pojmowana nowoczesność drażni, marzą o emigracji do krajów zacofanych. Bohaterka filmu wybrała opór. Objawia się on w paleniu papierosów, miotaniu przekleństwami tudzież drobnych kradzieżach. Zbieg niefortunnych zdarzeń zmusza Max do korzystania z pomocy elektronicznego pielęgniarza. Theo to model przestarzały, jednak leczyć schorzenia duszy umie. Tytuł wprowadza w błąd: „Wspaniały świat" ma więcej wspólnego z ckliwym „A.I." Spielberga niż ze złowieszczą wizją Huxleya. Nie taki robot straszny, jak go malują? ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. GIULIO CALLEGARI
„WSPANIAŁY ŚWIAT" („UN MONDE MERVEILLES")
FRANCJA 2025

wyst. Blanche Gardin, Laly Mercier, Xavier Lacaille

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Na pierwszą stronę

Jeżeli jeden obraz w istocie wyraża więcej niż tysiąc słów, to Wojtek Łaski zapisał już niejeden tom. Urodzony w 1945 r. w Łodzi fotograf, fotoreporter prasowy pierwsze szlify zdobywał w połowie lat 60. w „Kurierze Polskim", a później w „Tygodniku Demokratycznym". Za zdjęcia dokumentujące strajkujących studentów w marcu 1968 r. na Uniwersytecie Warszawskim i Politechnice Warszawskiej został zatrzymany przez milicję. Rok później wyjechał do Rzymu, w 1971 r. zacumował w Paryżu na ponad 20 lat.

FOT. KDK „HUGONÓWKA"

Jego zdjęcia publikowały na pierwszych stronach najpoczytniejsze tygodniki, m.in. „Time", „Newsweek", „Paris Match", „Stern", „Le Figaro", „Der Spiegel", „Le Point". W Polsce dokumentował działania Solidarności, wykonywał unikalne zdjęcia kard. Stefana Wyszyńskiego i kard. Karola Wojtyły, a później Jana Pawła II. Wielka fotograficzna retrospektywa to pierwsza tak duża wystawa zdjęć Łaskiego (który wciąż jest aktywny zawodowo). ©℗

GDZIE?
Konstanciński Dom Kultury „Hugonówka"
KIEDY?
do 31 maja

eprasa.pl 2c9e32c730

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Usłyszeć niebo

Zbigniew Mentzel kolejny raz portretuje autora „Głównych nurtów marksizmu". Tym razem robi to nieco przewrotnie, a mianowicie tworząc ze 115 haseł, będących najczęściej miniesejami, słownik osób ważnych dla sławnego filozofa, głównie jego przyjaciół, choć i na nieprzyjaciół natrafimy w trakcie lektury wydanej przez Znak książki.

Powiedzieć, że jest to jeden wielki akt strzelisty, to nic nie powiedzieć. Inna sprawa, że autor nie musiał się specjalnie wysilać. W końcu pośledniejszych apologetów mamy legion. Wystarczyło mu np. podzielić zachwyt Marcina Króla nad „rękoma pianisty z wysmukłymi palcami" czy przypomnieć noc po śmierci męża Krystyny Jandy, kiedy to zadzwonił do niej filozof z pocieszeniem. „To była wielka rozmowa – relacjonowała – powiedziałam trzy słowa, usłyszałam niebo". Od siebie mógł dodać jedynie, pozostając w aktorskim kręgu, że Anna Dymna patrzyła na Kołakowskiego „w sposób nie do opisania". Takie robił wrażenie! No, a gdyby ktoś miał jakieś wątpliwości, to dołożyć można biblijne parantele. Choćby następujące: Kołakowski, Baczko, Hiob…

Uwielbienie, którym autor „Podręcznego słownika…" darzy swojego bohatera, sprawia, że każdy, kto ośmielił się z nim polemizować (a nie było takich wielu) czy bodaj wywołać jego niechęć lub zniecierpliwienie, zostaje z punktu skasowany. Obrywa się też, i to dotkliwie, rywalom Kołakowskiego w zmaganiach, choćby i pośmiertnych, o rząd dusz. Dzięki temu prawdziwą perełką książki jest wywód poświęcony Zygmuntowi Baumanowi. W kapitalny sposób rozprawia się Mentzel z intelektualnymi hucpiarzami, którzy niczym objawienie potraktowali może i efektowną, ale płytką Baumanową koncepcję „płynnej nowoczesności". Cytowanych przy okazji wynurzeń takich tuzów humanistyki jak Michał Cichy i Artur Domosławski oszczędzę państwu. Ale warto pamiętać, że Kołakowski zapytany przez redaktora „Gazety Wyborczej" o Baumana powiedział, że „nie czytał żadnej z jego książek, wyjątek to krótkie »Dwa szkice o moralności ponowoczesnej«, które uznaje za »łagodnie mówiąc, ryzykowne« w sytuacjonistycznym podejściu do etyki".

Mniej elegancka była córka filozofa, Agnieszka Kołakowska, która po 11 września 2001 r., gdy guru ponowoczesności usiłował dowieść, że to imperializm amerykański, a nie terroryzm ponosi odpowiedzialność za zbrodnię w Nowym Jorku, uznała tę wypowiedź za haniebną. I tyle jest warta etyka Zygmunta Baumana, byłego szefa Oddziału Propagandy i Agitacji w Zarządzie Politycznym Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Sęk w tym, że także Leszek Kołakowski co nieco miał za uszami, bo i pracę w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR, a wcześniej jeszcze, w 1950 r., donos na prof. Władysława Tatarkiewicza, jakoby dopuszczającego na swoim seminarium do „czysto politycznych wystąpień o charakterze wyraźnie wrogim budującej socjalizm Polsce". Tatarkiewiczowi odebrano wkrótce prawo do prowadzenia zajęć, co Mentzel przyznaje, niemniej usiłuje przekonać czytelników, że mając świadomość wyrządzonej profesorowi krzywdy, Kołakowski zrezygnował potem z krytykowania, jego zdaniem, mocno ułomnego trzeciego tomu „Historii filozofii". Czyli, dopowiedzmy, prof. Tatarkiewicz powinien być wdzięczny temu polskiemu hunwejbinowi, bo na takie miano zasłużył sobie, niestety, w latach młodzieńczych, przyszły autor „Klucza niebieskiego…".

Wypominał mu tego „trupa w szafie" Gustaw Herling-Grudziński i dlatego Kołakowski „zaprzyjaźnić się z nim nie potrafił". Zbigniew Mentzel jakby mimochodem dodaje od siebie, że Herling-Grudziński podobnie jak Stanisław Lem, latami polemizujący z twórcą „Obecności mitu", był „wyjątkowo przewrażliwionym na swoim punkcie". W przeciwieństwie do m.in. Adama Michnika, Stanisława Barańczaka, Bronisława Geremka czy Lecha Wałęsy, których pomniejsze akty strzeliste zamieszcza Zbigniew Mentzel w swojej nowej książce. W której, obawiam się, najbardziej temu ostatniemu chodziło o to, by przekonać niedowiarków, „że w III Rzeczypospolitej to zupełnie inna aniżeli postkomunistyczna partia, która dojdzie do władzy w wolnych wyborach, zechce zaprowadzić jednopartyjną dyktaturę". No jasne, Kaczor Dyktator!

A Wałęsa, cóż: „To, że […] stał się w Polsce obiektem oszczerczych kampanii, nie zdziwiło Kołakowskiego ani trochę. Dobrze wiedział, że jako naród przodujemy w bezinteresownej zawiści i prawie wszyscy ważni ludzie stają się u nas ofiarami oszczerstw".

I jeszcze jeden cytat: „Polska kołtuneria nie przeszkodziła Agnieszce Holland w zdobyciu światowego rozgłosu". Co Kołakowski ma z tym wspólnego? Otóż jako przyjaciel jej ojca podarował Agnieszce, gdy była mała dziewczynką, pudełko kredek. „W ten sposób to ja zainicjowałem twoją karierę artystyczną…". Przepraszam, jaką? ©℗

★★★☆☆☆

ZBIGNIEW MENTZEL „PODRĘCZNY SŁOWNIK PRZYJACIÓŁ I NIEPRZYJACIÓŁ LESZKA KOŁAKOWSKIEGO"
ZNAK, KRAKÓW 2025

eprasa.pl 2c9e32c730

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Uśmiech Droga

Giovanni Drogo opuszcza rodzinny dom i wyrusza ku twierdzy Bastiani. Już w pierwszym rozdziale powieści Dina Buzzatiego kryje się cała historia; Drogo z oddali szuka wzrokiem okien swego pokoju, gdzie „kobiety zaczęły już sprzątać. Pewnie zebrały pościel, zamknęły rzeczy w szafie i spuściły żaluzje". To „zamknięty w ciemności mały świat jego dzieciństwa". Giovanni już tu nie wróci. Nie ma powrotu do przeszłości. „Najlepsze czasy już się skończyły".

A przyszłość? Droga ku Bastiani jest zwodnicza niczym w bajce. Gdy wreszcie dociera na miejsce, trafia do popadającej w ruinę twierdzy, której załoga od lat szykuje się do odparcia wroga, który nie nadciąga. Mało kto wierzy, że nadciągnie. Mijają lata, mijają dekady. Drogo wielokrotnie ma okazję, by odejść ze służby i wrócić do świata „ludzi wolnych i prawdopodobnie szczęśliwych". A jednak tego nie czyni. Dlaczego?

W posłowiu do nowego wydania Katarzyna Skórska podpowiada, by czytać „Pustynię Tatarów" w kontekście „Czarodziejskiej góry" Tomasza Manna, a nie prozy Kafki, jak często się to czyni. Wiemy, że Buzzatiego inspirował słynny wiersz Kawafisa „Czekając na barbarzyńców", wiemy, że jego książka z kolei inspirowała J.M. Coetzeego czy Juliena Gracqa. „Pustynia Tatarów" jest jednym z tych niezwykłych utworów, które nie przestają fascynować i rezonować wraz z upływem czasu; odkryłem, że jej ponowna lektura po latach była dla mnie bardzo odświeżająca.

W jej centrum stoi pytanie: Co robimy ze swoją wyjątkowością? Z cudem, którym jest nasza krótka obecność na świecie? Drogo jeszcze nie zaczyna na dobre swego życia, a już jest przekonany, że jest ono skończone. Czeka z nieskończoną cierpliwością i coraz większym fatalizmem na jakieś niezwykłe wydarzenie, które nadałoby sens jego czynom. W odróżnieniu od wiersza Kawafisa barbarzyńcy przybywają pod mury twierdzy Bastiani, ale nie będzie to już miało znaczenia. Czy to życie było nieważne? W takim razie większość żywotów nie ma znaczenia, a przecież tak nie jest. A może – czytajmy książkę w kontekście ponurych czasów, w których powstała (rok 1940) – niewytłumaczalna bierność Droga ocaliła go przed zarówno wyrządzeniem, jak i doświadczeniem rzeczy straszliwych? Dlaczego umierający Drogo czuje się dziwnie wolny i szczęśliwy? Czemu się uśmiecha? Co wie, czego my jeszcze nie wiemy?

Jakaż wspaniała to powieść! ©℗

★★★★★★
DINO BUZZATI „PUSTYNIA TATARÓW" OFFICYNA 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autodafe były rzadkością, inkwizycja bardzo długo nie stanowiła żadnej zwartej struktury, jej legenda była dużo czarniejsza, niż pokazują źródła historyczne. Rozszerzone, poprawione wydanie pracy brytyjskiego historyka.

HENRY KAMEN „INKWIZYCJA HISZPAŃSKA" PIW

Zbiór wykładów ku czci T.S. Eliota z 1967 r. plus pięć innych tekstów o autorze „Ziemi jałowej". A także m.in. dwa o Rilkem. Całość wybrał, ułożył i wnikliwym komentarzem opatrzył Piotr Nowak. Lektura obowiązkowa.

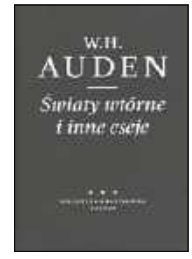

W.H. AUDEN „ŚWIATY WTÓRNE I INNE ESEJE" FUNDACJA CIESZKOWSKIEGO

Gorące lato 1914 r., wkrótce wybuchnie wojna. Trwa śledztwo w sprawie wycieku tajnych informacji rządowych. Tymczasem premier Wielkiej Brytanii wymienia miłosne liściki z młodą arystokratką i niczego w nich nie ukrywa.

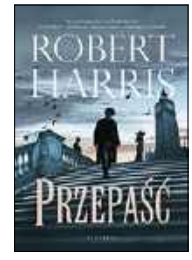

ROBERT HARRIS „PRZEPAŚĆ" ALBATROS

Obszerny zbiór opowiadań rozproszonych wcześniej po prasie i antologiach, a do tego powieści „Pani Śmierć" (o Conanie) oraz „Smoki Haldoru" (wraz z premierową kontynuacją). Piekara w wielu smakach. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

JACEK PIEKARA „WITAJCIE W ZAKLĘTEJ KRAINIE" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
DOTKNIĘCI ZIELENIĄ

Scenariusz chwilami mętny, ale warstwa wizualna zachwycająca – dwuczęściowa opowieść „Terra Prohibita" to francuski steampunk rozgrywający się w alternatywnym nurcie historii. Mamy początek XX stulecia, Anglicy i Francuzi kolonizują Saharę oraz dokonują cudów bioinżynierii, w przestworzach unoszą się latające miasta. Oblicze Ziemi zmieniane jest przez tajemnicze biologiczne skażenie. Czy ludzkość przetrwa? ©℗ ***Piotr Gociek***

DENIS-PIERRE FILIPPI, PATRICK LAUMOND „TERRA PROHIBITA" SCREAM COMICS 2025

eprasa.pl 2c9e32c730

Traktat, który niepokoi

Łukasz Warzecha

W dokumencie sygnowanym przez Donalda Tuska i Emmanuela Macrona znajdziemy wiele sformułowań, które między wierszami wyrażają zamiar zbudowania odrębności europejskiej części NATO. Jest to zgodne z kierunkiem wyznaczonym przez rezolucję Parlamentu Europejskiego, o którą w Polsce niedawno opozycja spierała się z koalicją rządową

Donald Tusk i Emmanuel Macron podpisują polsko-francuski traktat o przyjaźni, Nancy, 9 maja 2025 r. FOT. CHRISTOPHE PETIT TESSON/POOL/PAP

Chwalenie się traktatami z Francją i Wielką Brytanią, gwarantującymi pomoc wojskową, wywołuje u wielu Polaków dreszcz i natychmiastowe skojarzenie z „dziwną wojną" z września 1939 r. W powszechnej świadomości przymierza z tymi dwoma krajami stały się symbolem sojuszy malowanych, dających złudne wrażenie bezpieczeństwa, a kończących się zdradą. Z tego punktu widzenia epatowanie przez rząd Donalda Tuska nowym polsko-francuskim traktatem z klauzulą dotyczącą bezpieczeństwa i zapowiadanie podobnej umowy z Wielką Brytanią są wizerunkowo mocno ryzykowne.

PRZYJACIEL POLAKÓW

Czy to wrażenie jest trafne? Polska pierwszy traktat sojuszniczy z Francją zawarła jeszcze w 1921 r. Miał on gwarantować polskiemu państwu bezpieczeństwo od strony Niemiec na wypadek ataku ze strony Rosji sowieckiej. Podglebiem dla tej umowy były dobre relacje polsko-francuskie z okresu wojny polsko-bolszewickiej, gdy Francja jako jedyny z krajów Zachodu świadczyła nam realną i liczącą się pomoc, m.in. w postaci istotnych dostaw amunicji. Za to bardzo szkodzili nam niemieccy komunistyczni dokerzy w Gdańsku, którzy odmówili rozładunku statków z dostawami kluczowymi dla polskiej obrony. Tu przyznać trzeba, że dobrze znalazł się brytyjski gen. Richard Haking, komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, który zmilitaryzował port i umożliwił rozładunek przez brytyjskich żołnierzy. Generalnie rzecz biorąc, w międzywojniu przymierze polsko-francuskie, wobec groźby, którą dla Francji stanowiły Niemcy, jawiło się jako całkowicie naturalne. Bardziej niż polsko-brytyjskie, Brytyjczycy bowiem przez długi czas stawiali na równoważenie sił Niemiec i Francji, tradycyjnie nie chcąc dopuścić do dominacji Paryża na kontynencie.

Szef francuskiej misji wojskowej w Polsce w latach 1920–1922, gen. Maxime Weygand (1867–1965), był prawdziwym przyjacielem Polaków i Polski i pomógł nam w walce z bolszewikami. Odznaczony Orderem Virtuti Militari, pamiątki z wojny 1920 r. przechowywał pieczołowicie w swoim domu do końca życia. Gorzką ironią jest, że gen. Weygand nie ma w stolicy żadnej, nawet najmniejszej, ulicy swojego imienia.

Trzeba też odnotować, że Francja jako jedno z mocarstw realizujących swoje interesy na Górnym Śląsku w ramach misji sojuszniczej w okresie trzech powstań śląskich (1919–1921) skłaniała się ku Polsce, a postawa francuskich żołnierzy była dla nas znacznie życzliwsza niż postawa Brytyjczyków. Nie trzeba zatem sięgać do Napoleona – który zresztą traktował Polaków instrumentalnie – aby znaleźć podstawy dla dobrych wzajemnych relacji.

Nasz traktat z Francją z roku 1921 doczekał się uzupełnienia cztery lata później Traktatem Gwarancyjnym, a w maju 1939 r. nastąpiła kolejna nowelizacja zobowiązań. Ich niewykonanie po niemieckiej napaści na Polskę to do dzisiaj temat sporów – czy był to wyraz realizmu francuskiego dowództwa czy polityczny koniunkturalizm, który zemścił się na Paryżu w postaci niemieckiej inwazji w 1940 r.

NIC NADZWYCZAJNEGO

Jednak analogia obecnej umowy z przedwojennym traktatem sojuszniczym

eprasa.pl 2c9e32c730

może być myląca, bo wbrew narracji polskiego MSZ obecna umowa nie ma charakteru wojskowego i nie tworzy żadnego nowego sojuszu. To po prostu nowa wersja traktatu o przyjaźni, w którego tytule istotne jest słowo „wzmocniony". Traktaty o przyjaźni nie są czymś nadzwyczajnym – Polska zawarła je z tymi krajami, które uznawała za szczególnie istotne dla swoich interesów. W bazie traktatowej MSZ jest ich ok. 20, podpisywane były w latach 90., a dotyczą takich państw jak RFN, Węgry, ówczesna Czechosłowacja, kraje bałtyckie czy Grecja, a nawet Rosja. Dotychczasowa tego typu umowa z Francją pochodzi z 1991 r. i jest znacznie krótsza od tej nowej: liczy sobie zaledwie trzy strony, podczas gdy Traktat o wzmocnionej współpracy i przyjaźni ma ich aż 17, jest znacznie bardziej szczegółowy i zawiera odniesienia do tak aktualnych tematów jak sztuczna inteligencja. Radosław Sikorski, minister spraw zagranicznych, porównuje ten dokument do niemiecko-francuskiego traktatu z Akwizgranu z 2019 r. Czy jest to porównanie zasadne, zwłaszcza w dziedzinie bezpieczeństwa?

Bezpieczeństwu rozumianemu jako wzajemne zobowiązanie do obrony poświęcono w nowym traktacie jeden punkt art. 4. Brzmi on: „Zgodnie z postanowieniami artykułu 51 Karty Narodów Zjednoczonych w przypadku napaści zbrojnej na ich terytorium Strony udzielają sobie nawzajem pomocy, w tym przy zastosowaniu środków wojskowych. Pomoc oraz wsparcie będą realizowane stosownie do zobowiązań, jakie wynikają z artykułu 5 Traktatu Północnoatlantyckiego i artykułu 42 ustęp 7 Traktatu o Unii Europejskiej".

Nie ma tu zatem mechanizmu wykraczającego poza już istniejące obowiązki sojusznicze. Nie ma także automatycznego zobowiązania do pomocy wojskowej. Podobne sformułowanie pojawia się w umowie niemiecko-francuskiej sprzed sześciu lat: „W przypadku ataku zbrojnego na ich terytorium strony udzielą sobie każdej pomocy zgodnie z ich możliwościami, w tym przy użyciu siły militarnej".

Jednocześnie w umowie polsko-francuskiej znajdziemy wiele sformułowań, które między wierszami zmierzają do zbudowania odrębności europejskiej części NATO, zgodnie z kierunkiem wyznaczonym przez rezolucję Parlamentu Europejskiego, o którą polska opozycja spierała się niedawno z koalicją. We wspomnianym art. 4 traktatu czytamy np.: „Strony podkreślają, że Europa musi wziąć większą odpowiedzialność za swoją obronę oraz być lepiej wyposażona, tak aby samodzielnie podejmować działania i radzić sobie z bezpośrednimi i przyszłymi zagrożeniami oraz wyzwaniami dla ich bezpieczeństwa". Z kolei w art. 2 jest następujący zapis: „Strony potwierdzają gotowość do wzięcia większej odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy i jej sąsiedztwa, w tym poprzez wzmocnienie europejskiego filaru Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego". Przypominam, że we wspomnianej rezolucji podkreślano, iż ów „europejski filar" ma mieć zdolności do „autonomicznego działania".

Czy Francja jako sojusznik wojskowy jest coś warta? Niewątpliwie – to dzisiaj siódma armia świata (Polska jest klasyfikowana jako 21.). Jednak twierdzenie, że sojusz z Francją może w jakimkolwiek

REKLAMA

ZAINWESTUJ W WOLNOŚĆ SŁOWA
– zostań akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

Do 30 maja 2025 r. trwa oferta publiczna akcji serii „D" Do Rzeczy S.A. – konserwatywno-liberalnego wydawcy tygodnika „Do Rzeczy" i miesięcznika „Historia Do Rzeczy". To szansa, by wesprzeć niezależne media i ich dalszy rozwój.

INWESTUJĄC CO NAJMNIEJ 1100 ZŁ,
zyskasz nie tylko akcje, lecz także roczną prenumeratę DO RZECZY+ o wartości cennikowej 329,80 zł – w tym dostęp do e-wydań, ekskluzywnych treści, materiałów wideo i e-booków.

DO RZECZY+

Zapisz się już teraz przez platformę: www.platforma.dminc.pl
Więcej informacji: www.dorzeczy.pl/gielda lub relacje-inwestorskie@dorzeczy.pl

DOŁĄCZ DO INWESTORÓW, KTÓRZY STAWIAJĄ NA WOLNOŚĆ SŁOWA I PRZYSZŁOŚĆ NOWOCZESNYCH MEDIÓW.

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

eprasa.pl 2c9e32c730

stopniu zastąpić mechanizm sojuszniczy NATO, oparty na sile Stanów Zjednoczonych, jest absurdem. Francja w 2024 r. wydawała na swoje wojsko 2,06 proc. PKB – ledwo powyżej wymaganego progu 2 proc. Z tego najwięcej – 38,6 proc. tej sumy – szło na wynagrodzenia, a jedynie 28,4 proc. na sprzęt oraz badania. Dla porównania: na tę ostatnią kategorię Polska wydawała aż 51,1 proc. swojego budżetu wojskowego.

Francuska armia, jakkolwiek jest jedną ze sprawniejszych w UE, ma w tej chwili wciąż charakter przede wszystkim ekspedycyjny. Radzi sobie podczas misji, zwłaszcza w Afryce, gdzie Paryż ma wiele swoich interesów, natomiast nie jest przygotowana na poważny konflikt na kontynencie. Dopiero w 2027 r. francuskie wojsko ma być gotowe na rozmieszczenie w ciągu 30 dni 25 tys. żołnierzy. Francuzi są zatem cennym sojusznikiem, ale jedynie jako kraj NATO, a nie odrębnie od sojuszu.

Zapisy dotyczące zobowiązań obronnych rodzą problem ratyfikacyjny, o którym na razie rząd milczy. Zgodnie z art. 89 polskiej konstytucji istnieją dwa sposoby ratyfikacji umów międzynarodowych. Tak zwana mała ratyfikacja polega po prostu na złożeniu podpisu przez prezydenta – i teoretycznie może on to odwlekać w nieskończoność. Duża ratyfikacja dotyczy m.in. umów mówiących o sojuszach, układach politycznych lub wojskowych. Wówczas zgoda na ratyfikację musi zostać wyrażona przez parlament w postaci ustawy. Wiele wskazuje na to, że traktat polsko-francuski należy właśnie do tej kategorii, na razie jednak nie wiemy, w jakim trybie ma być ratyfikowany.

Niektórzy entuzjaści zrywania relacji z Waszyngtonem i opierania się na rzekomej europejskiej obronie oraz sojuszach jednym tchem mówią o traktacie i o francuskiej ofercie objęcia naszej części Europy, w tym Polski, francuskim parasolem atomowym. Tyle że to czysta publicystyka polityczna Pałacu Elizejskiego. Francja nie dysponuje tzw. triadą nuklearną: nie ma lądowego komponentu nuklearnego, zlikwidowanego w 1998 r. Jej siły atomowe składają się z pocisków z głowicami strategicznymi umieszczonymi na okrętach podwodnych oraz z pocisków Air-Sol Moyenne Portée-Amélioré z głowicami taktycznymi o mocy od 100 do 300 kiloton i zasięgu do 500 km, których jest zaledwie ok. 70, przenoszonymi przez bombowce Rafale.

Na razie poza ogólnikami ze strony prezydenta Macrona nie dowiedzieliśmy się w tej sprawie niczego konkretnego.

WPROWADZANIE CENZURY

Na tym jednak nie kończą się wątpliwe i niepokojące zapisy traktatu. Warto zwrócić uwagę na te jego punkty, które niejako przy okazji sygnalizują nam kierunki działania obecnej władzy, niezależnie od samej umowy z Francją. Przede wszystkim zatem z art. 7 dowiemy się, że strony – czyli i Polska – dążą do realizacji ONZ-owskiej Agendy 2030 na rzecz zrównoważonego rozwoju, a także do realizacji porozumienia paryskiego na rzecz klimatu. Zapisy traktatu mówią wprost o dążeniu do wypełnienia celów unijnej polityki klimatycznej na rok 2030 (redukcja emisji CO_2 o 55 proc.) oraz osiągnięcia neutralności klimatycznej w roku 2050. Można zapytać, jak te deklaracje traktatowe mają się do oficjalnie wyrażanego przez obecną władzę sceptycyzmu wobec polityki klimatycznej UE.

Mamy również w traktacie potwierdzenie dążenia do wprowadzania cenzury pod pretekstem walki z dezinformacją. Czytamy m.in. (art. 4, pkt 12): „Strony dążą do wysokiego poziomu współpracy dwustronnej, w ramach UE i Europejskiej Wspólnoty Politycznej oraz na wszystkich innych właściwych forach wielostronnych, w walce z dezinformacją i obcą ingerencją w sferę informacyjną, w tym poprzez wymianę analiz i koordynację reakcji na ataki informacyjne (publiczne potępianie kampanii dezinformacyjnych, komunikację strategiczną, sankcje), wymianę dobrych praktyk i realizację wspólnych projektów mających na celu wzmocnienie odporności właściwych podmiotów europejskich w tej dziedzinie".

A w innym miejscu (art. 3, pkt 6) jest następująca deklaracja: „Strony przywołują swoje zaangażowanie w walkę z rasizmem, antysemityzmem, ksenofobią oraz reżimami totalitarnymi i autorytarnymi. Z tego względu Strony rozwijają wspólne inicjatywy na forum europejskim i międzynarodowym, współpracując przy pielęgnowaniu polityki pamięci w celu zwalczania antysemityzmu oraz upamiętniania ofiar reżimów totalitarnych i autorytarnych".

Jeśli szukać podobieństw z traktatem z Akwizgranu z 2019 r., to można je znaleźć w specjalnych mechanizmach współpracy i konsultacji. Traktat zakłada, że raz w roku – na przemian w Polsce i we Francji – odbywać się będą szczyty z udziałem członków rządu, pod przewodnictwem polskiego premiera i francuskiego prezydenta. Jest również mowa o dążeniu do wypracowania wspólnego stanowiska „przed ważnymi spotkaniami w ramach UE", a także o regularnych konsultacjach „w kwestiach polityki zagranicznej, w szczególności przed ważnymi wydarzeniami międzynarodowymi i w przypadku kryzysów międzynarodowych" oraz o dążeniu „do ustalenia wspólnych stanowisk w sprawach mających wpływ na interesy obu Stron".

Zarazem, aby być rzetelnym, trzeba odnotować, że jest w dokumencie wiele zapisów niebudzących kontrowersji – choćby te dotyczące współpracy naukowej czy akademickiej. Korzystne mogą być punkty odnoszące się do współpracy energetycznej, szczególnie w dziedzinie energetyki jądrowej. Jak wiadomo, tutaj interesy Polski i Francji są podobne. Francja jest pod względem energetyki jądrowej europejską potęgą, co stawia ją w opozycji do Niemiec, które z powodów wyłącznie ideologicznych energii z atomu się pozbyły i wielokrotnie dążyły do tego, aby podobne postępowanie wymusić na innych krajach Unii, a Polsce utrudnić finansowanie budowy elektrowni jądrowej z wykorzystaniem unijnych środków.

Czy traktat daje powody do niepokoju? Paradoksalnie – przede wszystkim tam, gdzie mówi o kwestiach odrębnych od relacji Paryża i Warszawy, a więc tam, gdzie opisano kurs, który w sprawach klimatu czy wolności słowa zamierza utrzymać obecna władza. Reszta jego postanowień tworzy ramy, które mogą zostać wypełnione na różne sposoby. Sam mechanizm intensywnych konsultacji nie jest ani zły, ani dobry. Pytanie, które należy zadać, brzmi: Czy w trakcie tych konsultacji Polska i Francja będą występowały jako równorzędni partnerzy i czy polski rząd będzie umiał dobrze wykorzystać powołane do życia instrumenty? A co do tego można już mieć wątpliwości.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w przyszłość! Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Młodzi szukają prawdy na TikToku i YouTube – my tam będziemy!"

Karol Gac
SZEF PORTALU DORZECZY.PL
ORAZ PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY"

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA New/Connect (GPW)

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 2c9e32c730

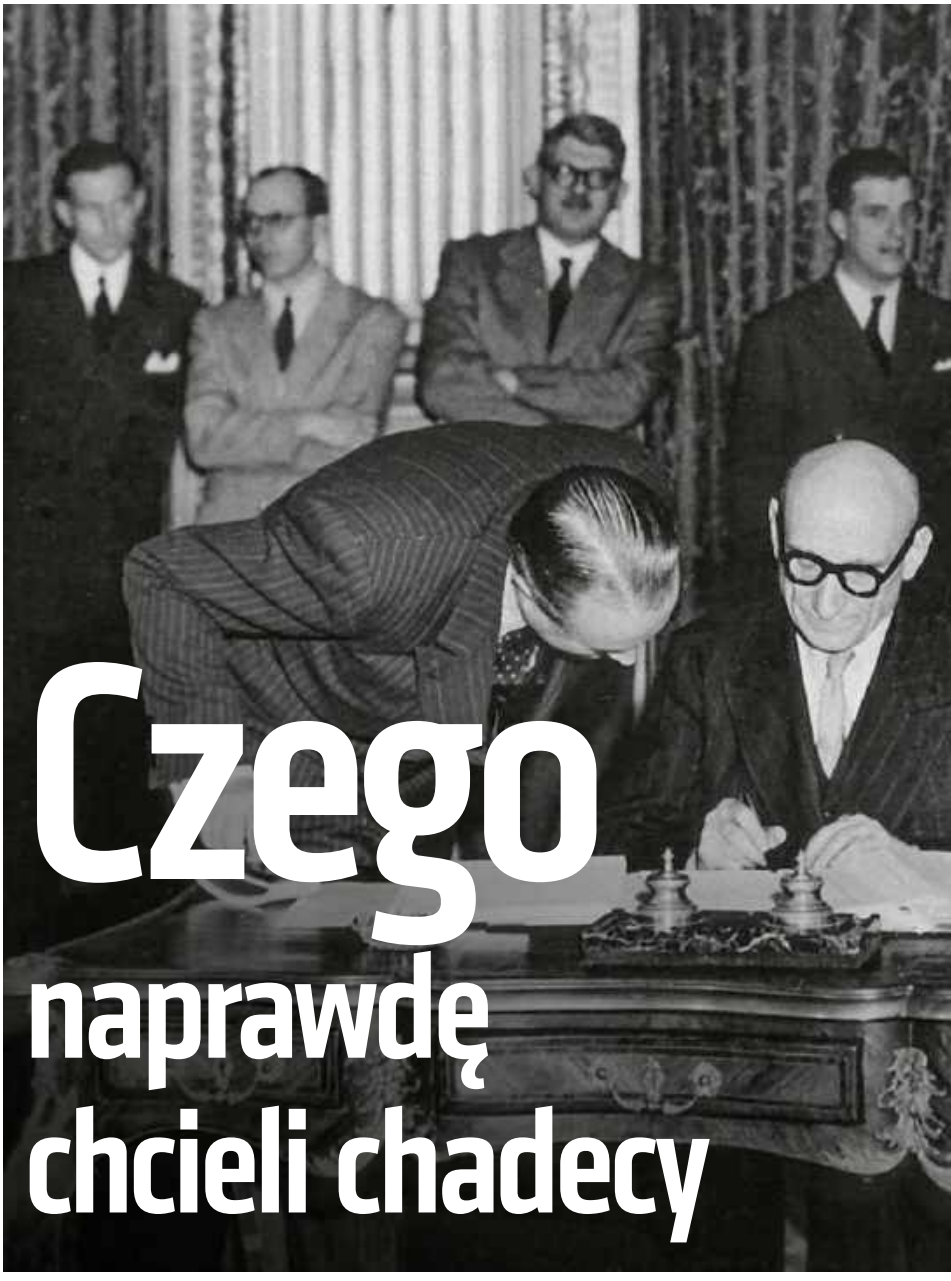

Czego naprawdę chcieli chadecy

Krzysztof Kawęcki

Gdy 1 maja 2004 r. Polska stała się państwem członkowskim UE, była to już struktura scentralizowana, zarządzana przez lewicowy establishment polityczny, w której pojęcia suwerenności państwowej, tożsamości narodowej, wartości chrześcijańskich, praw człowieka ujętych w kategoriach cywilizacji łacińskiej nie występowały. Grunt pod taki stan rzeczy przygotowali dużo wcześniej politycy chrześcijańsko-demokratyczni

Jednym z najbardziej złudnych wyobrażeń, rozpowszechnianych w kręgach centroprawicy chadeckiej, jest fałszywa diagnoza, że powrót do wizji Europy ojców założycieli na czele z Robertem Schumanem może uratować przyszłość kontynentu. Zwolennicy tej tezy uznają, że Wspólnota Europejska miała być zbudowana na wartościach chrześcijańskich, które zostały w ostatnich latach porzucone. Unia Europejska została, ich zdaniem, „skradziona" przez lewicowo-liberalne elity. Niektórzy, wbrew faktom, przypisują nawet chadeckim zwolennikom integracji europejskiej dążenie do modelu „Europy ojczyzn", suwerennych państw narodowych. Robert Schuman, Alcide de Gasperi czy Konrad Adenauer byli zwolennikami zbudowania europejskiej jedności na podstawie wartości chrześcijańskich, zanegowali jednak zasadę suwerenności państwowej na rzecz struktur ponadnarodowych. Przyjęta przez nich zasada federalizmu stanowi fundament współczesnej UE.

Koncepcje federalistyczne pojawiły się już w okresie międzywojennym, w różnych kręgach – lewicowych, masońskich, liberalnych, konserwatywnych, także chrześcijańsko-demokratycznych. Prekursorem integracji europejskiej (chrześcijańskiej) był ks. Luigi Sturzo, profesor filozofii i socjologii, burmistrz jednego z miast sycylijskich, sekretarz generalny włoskiej Akcji Katolickiej, założyciel Włoskiej Partii Ludowej. Opowiadał się za porozumieniem niemiecko-francuskim, stopniowym wprowadzaniem europejskiej unii celnej i wspólnego rynku. Ksiądz Sturzo sformułował wizję zjednoczonej Europy w formie federacji opartej na płaszczyźnie gospodarczej, politycznej i moralnej. Wśród jego zwolenników byli Robert Schuman, Alcide de Gasperi, Konrad Adenauer. Byli już znanymi działaczami chrześcijańsko-demokratycznymi w swoich krajach.

TEORIA „OBUMARCIA PAŃSTWA"

Schuman, po odejściu w roku 1932 z ugrupowania L'Union républicaine et démocratique, które uznał za zbyt konserwatywne, nacjonalistyczne i antyniemieckie, wstąpił do Demokratycznej Partii Ludowej, założonej przez Marca Sangniera. Sangnier nawiązywał do koncepcji ks. Roberta de Lamennais'go,

eprasa.pl 2c9e32c730

Robert Schuman podpisuje traktat paryski o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, 18 kwietnia 1951 r.
FOT. © COUNCIL OF EUROPE

założyciela w 1830 r. liberalno-katolickiego dziennika „L'Avenir". Sangnier, redaktor pisma „Le Sillon" („Bruzda"), propagował pogląd, że demokracja jest związana z chrystianizmem doktrynalnie i chronologicznie.

W 1910 r. ukazał się list Piusa X „Notre charge apostolique" („O błędach Sillonu"). Papież zarzucał temu środowisku dążenie do społeczeństwa bezklasowego, akceptację idei suwerenności ludu, ekonomizm i socjologizm, to znaczy preferowanie rozwoju społeczno- gospodarczego przed społeczno-moralnym. Pius X zwracał uwagę na to, że zasadniczy błąd Sillonu polegał na nadaniu działalności społecznej wyłącznie politycznego charakteru i łączeniu religii chrześcijańskiej z pewnym typem demokracji, której idee są fałszywe. Środowisko „Le Sillon", pozbawione dostatecznej wiedzy historycznej, zdrowej filozofii i solidnej teologii, nie było w stanie ustrzec się wpływów protestanckich i liberalnych.

Poza poglądami Sangniera wpływ na Schumana miała również idea personalizmu chrześcijańskiego Jacques'a Maritaina. Idea pokojowej współpracy narodów europejskich była rozwijana w latach drugiej wojny światowej. W 1941 r. ukazał się tzw. Manifest z Ventotene, którego autorami byli włoscy komuniści i radykałowie na czele z Altierem Spinellim. Przyszłe Stany Zjednoczone Europy miały być federacją państw z ponadnarodowym rządem, wspólną walutą, wspólną armią i znacjonalizowaną gospodarką. Najistotniejszą przeszkodą na drodze do federacji europejskiej, a następnie globalnej było suwerenne państwo narodowe. Komunistyczni federaliści przyjmowali marksistowską teorię „obumarcia państwa". W roku 1944 opublikowana została anonimowo Deklaracja o europejskiej współpracy sygnowana przez francuski ruch oporu (Résistance). Jej autorami byli m.in. Schuman, de Gasperi i Adenauer. Dokument zapowiadał stworzenie federacji, w której ramach poszczególne państwa miały zadeklarować gotowość rezygnacji z absolutnej suwerenności państwowej. Ksiądz Luigi Sturzo, patron europeizmu opartego na zasadach chrześcijańskich, wyrażał przekonanie, że przyszłością Europy będzie federalizm. Jego przeciwieństwem może być natomiast nacjonalizm powiązany z bolszewizmem. Zwolennikami różnych modeli europejskiego federalizmu byli m.in. Józef Rettinger, Winston Churchill, Paul-Henri Spaak, Leon Blum. Jednak najważniejszym „twórcą – architektem europejskich wspólnot" był Jean Monnet, najprawdopodobniej związany z masonerią „ojciec" koncepcji federalistycznej, realizowanej przez Schumana. Monnet powołał w roku 1955 Komitet Akcji na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy.

Koncepcje integracyjne Schuman realizował jako premier i minister spraw zagranicznych. W listopadzie roku 1947 objął funkcję premiera „rządu historycznego kompromisu", złożonego z chadeków, socjalistów i liberalnych radykałów. Na czele gabinetu pozostawał do lipca roku 1948. Był też ministrem spraw zagranicznych (w latach 1948–1953).

Robert Schuman w przemówieniu w kwietniu roku 1948 wygłoszonym w Poitiers wyraził przekonanie, że wkrótce powstanie ponadnarodowa federacja, w której ramach poszczególne państwa zrezygnują z suwerenności na rzecz federacji jako całości. Jednak podkreślił, że nie nadszedł jeszcze moment zrzeczenia się suwerenności przez państwa narodowe. Będzie to długotrwały proces, który poprzedzić powinno stworzenie europejskiego ducha opartego na zasadzie solidarności.

9 maja 1950 r. Schuman przedstawił plan stworzenia Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Projekt przygotował i przekazał Schumanowi Monnet. W jego założeniu połączenie i ujednolicenie gospodarcze produkcji węgla i stali przez Francję i Niemcy miało być pierwszym etapem tworzenia Federacji Europejskiej, a integracja gospodarcza miała doprowadzić Europę do integracji (unii) politycznej.

EWWiS stała się prekonfiguracją UE. Organem wykonawczym była Wysoka Władza (odpowiednikiem w UE jest Komisja Europejska). Przewodniczącym Wysokiej Władzy został Monnet. Decyzje Wysokiej Władzy, w której skład wchodziło po dwóch przedstawicieli z Niemiec, Francji i Włoch oraz po jednym z Belgii, Holandii i Luksemburga, zapadały większością głosów. Przedstawiciele desygnowani przez rządy krajowe mieli działać na rzecz Wspólnoty, a nie swoich państw. Struktura instytucjonalna Wspólnoty Europejskiej obejmowała również międzyrządowy organ – Radę Ministrów, Zgromadzenie Parlamentarne (obecnie Parlament Europejski), Trybunał Sprawiedliwości, Radę Ekonomiczną i Społeczną, Izbę Kontroli itd. EWWiS przyjęła zasadę ponadnarodowości i stworzyła tym samym podstawy UE.

MISTYKA INTEGRACJI

W latach 50. pojawił się kolejny projekt Jeana Monneta – utworzenia armii europejskiej pod nazwą Europejska Wspólnota Obronna. Został on

eprasa.pl 2c9e32c730

entuzjastycznie przyjęty przez socjalistycznego premiera rządu Republiki Francuskiej René Plevena oraz Schumana, de Gasperiego i Adenauera. Z powodu odrzucenia tego planu przez francuskie Zgromadzenie Narodowe 30 sierpnia 1951 r., większością głosów (przede wszystkim gaullistów), idea armii europejskiej upadła. Był to cios, który spowolnił urzeczywistnienie idei federalnej.

Przeciwnikiem koncepcji federalistycznych był twórca V Republiki Francuskiej gen. Charles de Gaulle, zwolennik Europy Państw, tj. konfederacji europejskiej. W jego oczach poglądy Schumana i Monneta to była mistyka integracji. Był zwolennikiem jedności europejskiej, ale uznawał, że aby ten cel osiągnąć, nie należy kierować się mrzonkami – takimi, jak doktryna ponadnarodowa Schumana – ale realiami, które stanowią państwa posiadające własne duszę, historię i język.

Robert Schuman był zwolennikiem zachowania we wspólnej Europie kulturowej różnorodności. Podkreślał, że suwerenne państwa europejskie powstały w wyniku długiego procesu historycznego i trzeba uszanować to dziedzictwo narodowe. Łączył federalistyczne wizjonerstwo z politycznym pragmatyzmem. W jego zamyśle integracja polityczna miała poprzedzać integrację gospodarczą i militarną. W wygłoszonym w roku 1953 na uniwersytecie w Moguncji wykładzie powiedział: „Niepodległość stawać się będzie w coraz większej mierze pojęciową fikcją, zastępowaną systematycznie przez prawo solidarności […]. Równolegle do tego będzie rosło znaczenie racji ponadnarodowych". Uznawał, że wspólnota przejmie wykonywanie pewnych suwerennych praw i kompetencji państw. Wierzył, że jedynie federacja może zapewnić Europie dobrobyt i trwały pokój, chociaż nie był przywiązany do tego pojęcia. Przeciwny był jednak przekształceniu federacji w superpaństwo. Dla Schumana, Alcide'a de Gasperiego i Konrada Adenauera Europa to wspólnota oparta na chrześcijańskiej tożsamości. Byli zarazem zwolennikami konstytucji europejskiej i europejskiego parlamentu. De Gasperi podkreślał konieczność ustanowienia wspólnej waluty. Odwoływał się do myśli Henriego Bergsona. Uznawał, że demokracja jest ze swej istoty ewangeliczna, a jej siłą poruszającą jest miłość. Z kolei Konrad Adenauer podkreślał, że „suwerenne państwo narodowe będzie przeszkodą na drodze do integracji", a bezpieczeństwo i trwały pokój zapewnią „Zjednoczone Stany Europy". Postulował utworzenie europejskiej wspólnoty obronnej i przezwyciężenie myślenia w kategoriach armii narodowych. Niektórzy badacze wskazują, że jego rozumienie idei zjednoczonej Europy było inspirowane zarówno uniwersalizmem chrześcijańskim, jak i niemieckim, a nacjonalizm niemiecki łączył z ideą Paneuropy. Chociaż wszyscy trzej nazywani są „Ojcami Europy", to Parlament Europejski nadał ten tytuł Robertowi Schumanowi.

Schuman, de Gasperi, Adenauer byli bardziej wyrazicielami tego, co nazywa się duchem Soboru Watykańskiego II, niż tradycyjnego nauczania Kościoła

Biografowie podkreślają ich głęboką wiarę. W wymiarze katolicyzmu społecznego byli bardziej wyrazicielami tego, co nazywa się duchem Soboru Watykańskiego II, niż tradycyjnego nauczania Kościoła. Na początku lat 90. rozpoczęły się na szczeblu diecezjalnym procesy beatyfikacyjne Roberta Schumana i Alcide'a de Gasperiego. Papież Franciszek zatwierdził dekret o heroiczności cnót Schumana. Obecnie trwa rzymski etap procesu beatyfikacyjnego.

Federacyjne projekty polityków chrześcijańsko-demokratycznych rozwijała w następnych latach Europejska Partia Ludowa zrzeszająca w Parlamencie Europejskim ugrupowania chadeckie. W dokumentach programowych z 1976 r. pojawiły się zapisy o wprowadzeniu demokratycznej, ponadnarodowej Unii Politycznej, ustanowieniu europejskiego rządu, który powołany zostanie w wyniku powszechnych i bezpośrednich wyborów. Deklarowano przezwyciężenie granic narodowo-państwowych. Przywódcy EPL zastrzegli, że partia nie dąży do państwa federalnego na wzór USA czy Szwajcarii, ale do przekształcenia UE w europejskie państwo federalne, które miało posiadać niezbędne instytucje: wybierany przez obywateli Unii Parlament Europejski oraz Izbę Państw, reprezentującą interesy państw członkowskich i rząd europejski.

KONIEC WSPÓLNOTY EUROPEJSKIEJ

Po zjednoczeniu Niemiec Europejska Partia Ludowa zaczęła lansować pomysł ustanowienia konstytucji, która wprowadzi federacyjne rozwiązania systemowe. Propagowano podział kompetencyjny między federacją a tworzącymi je państwami. Do wyłącznej właściwości Unii miały przynależeć polityka celna, rolna, handlowa, a także polityka walutowa oraz koordynacja polityki gospodarczej państw członkowskich. Unia miała posiadać własne podatki. Na VIII Kongresie w Dublinie EPL przyjęła dokument, w którym opowiedziała się za przyjęciem „federacyjnej konstytucji dla Unii Europejskiej".

Znaczącym krokiem w kierunku federacji był traktat z Maastricht z 1992 r., na mocy którego powstała Unia Europejska. Zapisane tam zostało także pojęcie obywatelstwa UE. Gdy 1 maja 2004 r. Polska stała się państwem członkowskim UE, była to już struktura scentralizowana, zarządzana przez lewicowy establishment polityczny, w której pojęcia suwerenności państwowej, tożsamości narodowej, wartości chrześcijańskich, praw człowieka ujętych w kategoriach cywilizacji łacińskiej nie występowały.

Traktat lizboński z roku 2007 zlikwidował Wspólnotę Europejską. Jej prawnym następcą została Unia Europejska, której nadano osobowość prawną. Kompetencje UE zostały rozszerzone kosztem państw członkowskich o politykę zagraniczną, bezpieczeństwo, wymiar sprawiedliwości. Przyjęta Karta Praw Podstawowych rozszerzyła funkcje Unii o kwestie tzw. praw człowieka, które uległy reinterpretacji i stanowią zagrożenie dla chrześcijańskiego ładu społecznego. Postępujący proces federalizacji to wspólne dzieło europejskiej klasy politycznej – socjalistów, chadeków, liberałów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

POLSKA W GUŁAGU

80. rocznica „wyzwolenia" przez ZSRS – Idąc na Berlin, Sowieci plądrowali Polskę, gwałcili, mordowali ludność cywilną, a po wszystkim oczekiwali wdzięczności

Zagadka Göbekli Tepe – Odkrycie w Turcji pradawnej struktury dosłownie wywraca do góry nogami naszą wiedzę na temat dziejów ludzkości

Żelazny sąd – „Ostatni pojedynek" Ridleya Scotta przypomniał widzom o średniowiecznym, przedziwnym sposobie rozstrzygania spraw kryminalnych

Cud nad Dźwiną – Łotewska państwowość rodziła się w wielkich bólach. Przeciwnikami miejscowych niepodległościowców byli nie tylko Rosjanie

Brudna wojna Izraela – Inwazja na Liban miała być spacerkiem, a okazała się bagnem. Najbardziej hańbiącym wydarzeniem wojny była masakra w obozach Sabra i Szatila

Ambasador w sidłach Stalina – Wacław Grzybowski 17 września 1939 r. odmówił przyjęcia sowieckiej noty. A potem walczył o bezpieczeństwo polskich dyplomatów z moskiewskiej placówki

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2c9e32c730

Jak Robert Prevost został papieżem

Paweł Chmielewski

Dlaczego kardynałowie zdecydowali się na wybór Amerykanina Roberta Prevosta? Tajemnica tkwi w kompromisowym charakterze Leona XIV oraz w porozumieniu, które progresywni kardynałowie zawarli z frakcją dyplomatyczną

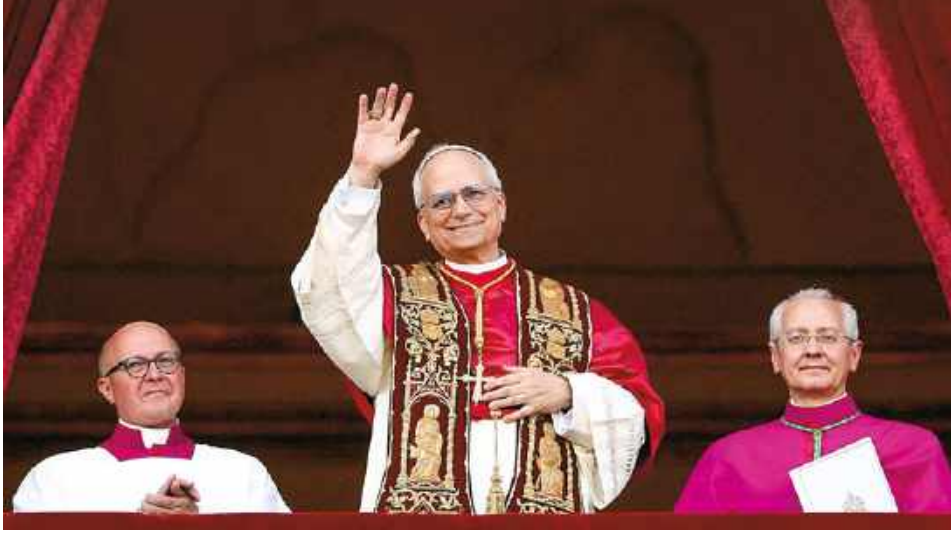

FOT. GUGLIELMO MANGIAPANE/REUTERS/FORUM

To oczywiste: kardynałowie, którzy zbierają się na konklawe, powinni kierować się wyłącznie jednym kryterium: dobrem Kościoła katolickiego. Święty Jan Paweł II w 1996 r. opublikował konstytucję apostolską „Universi Dominici gregis", która określa zasady „wyborów" papieża. Jan Paweł II pisał, że kardynałowie elektorzy powinni „przygotować się duchowo na przyjęcie wewnętrznych poruszeń Ducha Świętego". Nie oznacza to jednak, że Duch Święty zastępuje kardynałów. Mają wolną wolę i czynią z niej użytek według własnego najlepszego rozumienia tego, czego Kościół potrzebuje. Dlatego dziennikarze od wielu lat starają się zrekonstruować przebieg konklawe. To pomaga zrozumieć, jakimi motywacjami kierowali się kardynałowie i czego można spodziewać się po pontyfikacie danego papieża.

Zanim kardynałowie weszli na konklawe, spędzili ze sobą w Rzymie wiele dni, rozmawiając o tym, jakiego papieża potrzebuje Kościół. Te spotkania, zarówno oficjalne kongregacje generalne, jak i prywatne rozmowy przy kawie, określa się ogólnie jako „prekonklawe". W tym czasie padają konkretne nazwiska. „Universi Dominici gregis" wyraźnie zakazuje kardynałom ścisłego umawiania się na wybór konkretnej osoby w ten sposób, żeby składali jakąś przysięgę. Purpuraci mają jednak prawo wymieniać się poglądami na temat potencjalnych kandydatów – i tak właśnie robią. Dlatego na początku konklawe każdy z kardynałów mniej więcej wie, na kogo może zagłosować. Tym razem wielu miało już w głowie nazwisko Roberta Prevosta.

TRZY FRAKCJE

Jego osoba zaczęła być rozważana przez część członków Kolegium Kardynalskiego najpóźniej jesienią ubiegłego roku. Powiedział o tym już po wyborze Leona XIV kard. László Német, metropolita Belgradu. W rozmowie z Onetem ten mówiący również po polsku hierarcha przyznał otwarcie, że podczas Synodu o synodalności w Rzymie odbywały się wśród kardynałów spotkania dotyczące wyboru następcy Franciszka. Prevosta uznano wtedy za bardzo dobrego kandydata. Nic dziwnego. Prevost od 2023 r. pełnił urząd prefekta Dykasterii do spraw Biskupów. To wręcz wymuszało międzynarodowe kontakty i rozmowy z kardynałami z całego świata. Wszyscy albo znali go osobiście, albo przynajmniej o nim słyszeli. Tak duża rozpoznawalność w naturalny sposób sprawiała, że był brany przez innych kardynałów pod uwagę.

László Német, choć urodził się w Serbii, jest ściśle związany z kręgami niemieckojęzycznymi. Sympatyzuje z drogą synodalną Kościoła w RFN, jest zaangażowany w projekt budowy Europejskiego Zgromadzenia Kościelnego, do którego prą hierarchowie z takich państw jak Niemcy, Austria czy Luksemburg. To jeden ze ścisłej czołówki kardynalskiej frakcji progresywnej, która obejmuje również takich purpuratów, takich jak Reinhard Marx z Niemiec, Jean-Claude Hollerich z Luksemburga, Matteo Zuppi z Włoch czy Luis Antonio Tagle z Filipin. Ich celem jest ugruntowanie rewolucji synodalnej Franciszka, polegającej przede wszystkim na idei „jedności w różnorodności": wiara i moralność

eprasa.pl 2c9e32c730

mogą być interpretowane rozmaicie, zależnie od kontekstu kulturowego. To pozwala progresistom na większą przestrzeń działania w swoich krajach.

Obserwatorzy w Rzymie wskazywali, że Robert Prevost podczas spotkań prekonklawe spędzał wiele czasu z kardynałami Marxem i Taglem. Dlaczego? Z jednej strony nie uczestniczył jeszcze nigdy w konklawe, podczas gdy tamci – tak. Mogli wyjaśnić mu wszystkie szczegóły zarazem samych wyborów papieskich, jak i zasady funkcjonowania spotkań prekonklawe. Głównym czynnikiem mogło być jednak coś innego, tzn. pewna bliskość ideowa. Widzimy już, że Leon XIV w swoich wystąpieniach nieustannie odwołuje się do Franciszka, a kontynuacja poprzedniego pontyfikatu to bardzo istotna kwestia dla Marxa i pozostałych progresistów. W Rzymie od początku prekonklawe mówiło się, że niemiecki kardynał i ludzie z jego kręgu namawiają innych kardynałów do poważnego potraktowania kandydatury Prevosta.

Na innych kardynałach skupiali się oczywiście hierarchowie konserwatywni. Robert Prevost, znany ze swojego poparcia dla dokumentu „Fiducia supplicans", który mówi o błogosławieniu par jednopłciowych czy ze związków z liberalnymi hierarchami w Chicago w USA, nie mógł budzić specjalnego zainteresowania purpuratów o bardziej tradycyjnych zapatrywaniach. W tym gronie stawiano raczej na takich ludzi jak patriarcha Jerozolimy Pierbattista Pizzaballa, metropolita Budapesztu Peter Erdö, prefekt Dykasterii do spraw Jedności Chrześcijan Kurt Koch czy wreszcie słynny gwinejski kardynał – Robert Sarah. Konserwatyści – grupa licząca od 30 do 40 osób – weszli w efekcie na konklawe bez jednego konkretnego kandydata. To nie zwiastowało sukcesu.

Swoje własne nadzieje i plany mieli oczywiście kardynałowie reprezentujący tzw. frakcję dyplomatyczną. To ludzie, którzy myślą przede wszystkim w kategoriach stabilności instytucjonalnej. Nie interesuje ich aż tak bardzo doktryna czy nauka moralna, ale przede wszystkim dobre funkcjonowanie Stolicy Apostolskiej, przezwyciężenie problemów finansowych i utrzymywanie właściwych relacji międzynarodowych. Czołowym kandydatem tej grupy był dotychczasowy sekretarz stanu, Pietro Parolin, rezerwowym – być może Claudio Gugerotti, prefekt Dykasterii do spraw Kościołów Wschodnich. Obaj mieli jednak poważną skazę: brak jakiegokolwiek doświadczenia duszpasterskiego. Dodatkowo Parolin został mocno osłabiony przez złą sławę porozumienia Watykanu z Pekinem, które wypracował w 2018 r. na zlecenie Franciszka. Choć media bardzo mocno rozdmuchiwały jego kandydaturę, to w rzeczywistości nie miał chyba większych szans na zwycięstwo. W obliczu podziałów Kolegium Kardynalskiego na progresistów i konserwatystów Parolin i ufający mu kardynałowie mogli jednak odegrać rolę języczka u wagi.

STRATEGICZNY SOJUSZ

Wszystko wskazuje na to, że ostatecznie rzeczywiście doszło do zawarcia strategicznego „sojuszu" dwóch frakcji. Progresiści nie byli w stanie przeforsować „topowych" kandydatur, jak Zuppi czy Tagle, dlatego szybko postawili na „kandydata numer dwa", czyli Prevosta. Frakcja dyplomatyczna mogłaby rozważyć poparcie kardynała konserwatystów, ale takiego tak naprawdę nie było. Prevost był tymczasem z perspektywy jej celów zupełnie akceptowalny. Do tej kandydatury dali się przekonać również kardynałowie umiarkowani i niezdecydowani, zwłaszcza ci, którzy z sympatią patrzą na Stany Zjednoczone. Już po dokonaniu wyboru niezwykle entuzjastycznie o Prevoście wypowiadał się kard. Timothy Dolan, a włoskie media podały, że wcześniej intensywnie namawiał do głosowania na augustianina z Chicago.

Konserwatyści podczas konklawe zostali z niczym: nie mogąc znaleźć jednego własnego kandydata, po prostu się rozsypali. Część pozostała pewnie do końca przy swoim pierwotnym wyborze, a część poparła faworyta większości. Według zgodnej relacji wielu kardynałów Robert Prevost otrzymał ostatecznie naprawdę dużo głosów, a to oznacza, że poparło go więcej kardynałów niż wymagana większość dwóch trzecich, czyli w przypadku tego konklawe – 89 purpuratów. Można przyjąć, że otrzymał powyżej 100 głosów.

Co zadecydowało o takiej popularności Prevosta? Przede wszystkim postrzeganie go jako człowieka kompromisu. Progresiści mogą liczyć na to, że Leon XIV nie podejmie „kontrrewolucji", która miałaby zanegować dziedzictwo pontyfikatu Franciszka. Doprowadzi do końca Synod o synodalności, zachowa zasadę „jedności w różnorodności", pozwoli na swobodne interpretacje takich dokumentów jak „Fiducia supplicans" czy „Amoris laetitia". Umiarkowani konserwatyści mają nadzieję, że pomimo przyjęcia linii kontynuacji Prevost odejdzie od nielubianego przez nich „stylu" Franciszka, czyli pogardy dla wielu elementów tradycji papieskich. Robert Prevost to w ich mniemaniu wierny syn czasów posoborowych, ale bez żadnych szczególnych ekstrawagancji, jakby swoista mieszanka Jana Pawła II z Benedyktem XVI. Frakcja dyplomatyczna może z kolei spodziewać się po Prevoście tego, czego pragnie najbardziej, tzn. stabilizacji i oddania jej władzy. Podczas gdy Franciszek ograniczał wpływy Kurii Rzymskiej i centralizował rządy we własnych rękach, Robert Prevost daje znać, że chce chadzać bardziej utartymi ścieżkami i pozwolić na to, by Kuria swobodnie wykonywała swoją pracę. W sumie wydawało się, że to idealny papież konsensusu, w dodatku z doświadczeniem misyjnym, znajomością globalnej Północy i Południa, znający się na administracji, logicznie myślący… Oto człowiek, na którego mogła zgodzić się każda frakcja, może z wyjątkiem przekonanych tradycjonalistów, dla których najważniejsze jest przywrócenie doktrynalnego porządku. Najpewniej to właśnie w ten sposób Robert Prevost został 267. papieżem Kościoła katolickiego.

WOLNOŚĆ DECYZJI

Jeżeli ta rekonstrukcja jest poprawna, to nie oznacza to koniecznie, że pontyfikat Leona XIV jest z góry określony. W rękach papieża jest najwyższa władza w Kościele. Niezależnie od tego, kto wymyślił i następnie promował jego kandydaturę, Ojciec Święty pozostaje wolny w swoich decyzjach.

Choć wygląda na to, że nowy papież będzie chciał prowadzić konsensualną politykę wewnątrzkościelną, to wielu może być zaskoczonych. Niewykluczone, że część progresistów pożałuje, że poparła akurat jego – tak jak przez ostatnie lata niektórzy konserwatyści wyrzucali sobie, że zagłosowali na papieża z Argentyny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 2c9e32c730

Pikieta przeciw postulatom zaostrzenia przepisów regulujących prawo do aborcji, Warszawa, 6 maja 1989 r. FOT. ZENON ŻYBURTOWICZ/AFA PIXX/PAP

Aborcja i komunizm

Rafał Łatka

Wydana przez Krytykę Polityczną książka przedstawia Kościół jako sojusznika PZPR. Według autora celem obu stron porozumienia miało być utrzymanie modelu patriarchalnego, w tym zmuszanie polskich kobiet do trwania w opresyjnym dla nich systemie, w którym gnębicielami byli w zasadzie niemal po równo komunistyczni dygnitarze i „reakcyjny kler"

Krytyka Polityczna od wielu już lat jest wyznacznikiem pewnych trendów w lewicowej części polskiej opinii publicznej. Niejednokrotnie wspomniane środowisko wpływało na zaostrzenie debaty czy też promowanie radykalnych, a można by nawet powiedzieć lewackich poglądów. Niemniej jednak ma też swoje zasługi w zakresie wydawania książek historycznych, w tym publikowanie dzieł autorów takich jak Andrzej Friszke, Piotr M. Majewski czy Tony Judt, którzy znani są z lewicowych czy też liberalnych poglądów, ale pozostają warsztatowo rzetelnymi historykami.

Z inną sytuacją mamy do czynienia w przypadku książki Marcina Kościelniaka zatytułowanej „Aborcja i demokracja. Przeciw-historia Polski 1956–1993". Została ona co prawda wydana w serii historycznej Krytyki Politycznej, ale jej autor jest kulturoznawcą, a sama treść niewiele ma wspólnego z warsztatem historycznym (poza tym, że odnosi się do określonego okresu dziejów Polski i przywołuje źródła archiwalne). W tym krótkim tekście postaram się przybliżyć cele autora, sposób ujęcia tematu oraz co wynika z treści książki pisanej bez wątpienia pod z góry przyjętą tezę.

PERSPEKTYWA RADYKALNIE LEWICOWA

Autor recenzowanej publikacji, co warto na wstępie niniejszego tekstu zaznaczyć, postępuje uczciwie i nie udaje rzetelnego obserwatora rzeczywistości, który w swojej analizie chce jak najbardziej dokładnie opisać podjętą problematykę. Przyświecają mu bowiem dość jasne inne, bo pozamerytoryczne, cele. Zdefiniował je otwarcie we wprowadzeniu do książki, gdzie wskazał: „Zarazem ramując historię Polski datami 1956 i 1993, dokonuję naruszenia tradycyjnych historiograficznych cezur i podkreślam wagę ustawodawstwa aborcyjnego jako zagadnienia centralnego w powojennej historii Polski. Nie chodzi tu o proste dowartościowanie marginalizowanego wątku. Chodzi o dekonstrukcję i przepisanie historii Polski pojmowanej jako gwarant tożsamości zbiorowej". Zatem mamy całkowitą jasność, celem nie jest opis rzeczywistości, ale jej „twórcze" kreowanie. Wypada się również zgodzić z Kościelniakiem, że opisuje temat badawczy z perspektywy radykalnie lewicowej.

Mamy jednak nie tylko do czynienia z zawężoną perspektywą, gdzie najważniejsze dla autora i zapewne części jego czytelników, jest prawo do aborcji traktowane jako podstawowe prawo człowieka, lecz także ze specyficznym językiem, w którym mówi się o prawach reprodukcyjnych i płodzie (nigdy dziecku nienarodzonym) i innymi licznymi, charakterystycznymi dla radykalnej lewicy określeniami. Autor posuwa się bardzo daleko w kreowaniu rzeczywistości lat 1956–1993, gdy o działaczach opozycji PRL, którzy odwoływali się do wartości chrześcijańskich i autorytetu Kościoła katolickiego, pisze: „Tym samym […] występowali przeciwko prawu do aborcji, które było rewolucyjnym osiągnięciem autorytarnego komunizmu na rzecz wolności, praw kobiet i demokratyzacji życia społecznego". Zatem w zasadzie, gdy przyjrzymy się tej wypowiedzi, w przekonaniu Kościelniaka to reżim komunistyczny był tu gwarantem wolności, a jego kontestatorzy dążyli do ograniczania praw obywatelskich, praw kobiet…

Kolejnym poważnym mankamentem jest typowa dla autorów dążących do udowadniania za wszelką cenę swoich ra-

eprasa.pl 2c9e32c730

dykalnych tez naukowa ślepota dotycząca wielu istotnych elementów opisywanej rzeczywistości. Z tego względu na kartach książki Kościelniaka represje komunistycznego państwa wobec Kościoła nie pojawiają się niemal zupełnie lub też znajdują się na dalekim marginesie jego rozważań. Nie znając tej rzeczywistości, moglibyśmy pomyśleć, że duchowieństwo w Polsce „ludowej" miało właściwie zupełną swobodę dla swojej działalności. Ba – jak twierdzi autor – Kościół miał tu wchodzić w daleko idące sojusze z władzą, której celem było oczywiście utrzymanie modelu patriarchalnego i zmuszanie polskich kobiet do trwania w opresyjnym dla nich systemie (gdzie gnębicielami byli w zasadzie niemal po równo komunistyczni dygnitarze i „reakcyjny kler"). Co ciekawe, ten poważny brak, wytknięty już zresztą nawet przez niektórych lewicowych publicystów, autorka przedmowy Agnieszka Graff traktuje jako zaletę rozważań Kościelniaka. W przedmowie do książki wskazuje: „Opowieść o mroku czasów komuny znamy doskonale, może aż za dobrze". A dalej twierdzi, że Kościół narzucał swoje poglądy całemu społeczeństwu w tym nieformalnym sojuszu z władzą, a od lat 70. w jednoczesnym układzie z rządzącymi PRL i opozycją, by wreszcie stwierdzić w konkluzji: „Dlatego – niesłychanie skutecznie – podporządkował sobie Solidarność i wreszcie, po przełomie [1989 r.], skutecznie spacyfikował wszelki opór i rozgrywał nową władzę dokładnie tak, jak chciał, czyniąc swoje normy normami młodej polskiej demokracji. Tylko czy aby na pewno demokracji?". Patrząc logicznie na taki sposób myślenia, w przekonaniu Graff w zasadzie Kościół był nie tylko demiurgiem, lecz także dyktatorem polskich umysłów, które w dowolny sposób kształtował (i był w tym nawet okresowo wspomagany przez komunistów– sic!). Zdaniem tej autorki mamy więc do czynienia z instytucją totalitarną, o ogromnym wpływie politycznym, na w gruncie rzeczy bezwolną masę Polaków pozbawionych przekonań innych niż kościelne. Trudno się dziwić, że radykalna lewica ponosi tak spektakularne porażki wyborcze w Polsce, skoro wpływowi autorzy z jej kręgu rozumują w taki daleki od zrozumienia rzeczywistości sposób.

MARCIN KOŚCIELNIAK
„ABORCJA I DEMOKRACJA. PRZECIW-HISTORIA POLSKI 1956–1993"
KRYTYKA POLITYCZNA, WARSZAWA 2024

RUCH HIPERDEMOKRATYCZNY

Warto odnieść się także osobno do rozważań dotyczących Solidarności. W przekonaniu Kościelniaka miałby to być ruch jednorodny, podtrzymujący w jednoznaczny sposób patriarchalny model społeczeństwa, w którym nie ma miejsca na inne poglądy, a rola kobiet jest zupełnie marginalna. Wystarczy jednak sięgnąć do zupełnie dowolnych publikacji na temat tego wielkiego ruchu społecznego, by przekonać się, że stwierdzenia autora książki „Aborcja i demokracja" są fundamentalnie nieprawdziwe. W zasadzie wszyscy badacze dziejów Solidarności uznają ją za ruch eklektyczny, w którym trwała swobodna wymiana poglądów i idei, za ruch także mocno demokratyczny, a nawet hiperdemokratyczny (gdzie nie zwalczano różnic przekonań). Wbrew twierdzeniom autora recenzowanej książki wpływ lewicy laickiej na tę organizację był co najmniej równy, jeśli nie większy niż wpływ duchowieństwa (np. prymas Józef Glemp uważał bez cienia wątpliwości, że to dawni działacze KOR mieli większe w tym zakresie znaczenie niż duchowieństwo). Rola kobiet również była istotna – zarówno jeśli chodzi o sferę symboliczną (protesty sierpnia 1980 r. wybuchły w obronie zwolnionej Anny Walentynowicz), jak i praktyczną działalność związku. Kościelniak zwraca uwagę, że większość pism Solidarności odwoływała się do wartości katolickich, a głos osób je kontestujących był słabo słyszalny. Spieszę z bardzo prostym wyjaśnieniem tego wydumanego problemu. Wynikało to z prostego faktu, że większość członków Solidarności była wierzącymi katolikami i ich świat wartości został właśnie przez Kościół ukształtowany. Równie kuriozalny charakter ma rozdział poświęcony okresowi 1989–1993. Już sam tytuł – „Demokracja nieświecka" – jest bardzo wymowny i jasno wskazuje na cel autora, którym jest udowadnianie za wszelką cenę, że Kościół podporządkował sobie polityków i wymusił na nich działania zmierzające do realizacji wizji świata tej instytucji. Z tego miały wynikać powrót religii do szkół czy zmiany w ustawie aborcyjnej. Kościelniak dziwi się też, że środowisko katolików „otwartych", na czele z „Tygodnikiem Powszechnym" i ks. Józefem Tischnerem, domagało się zakazu aborcji – widać trudno mu przyznać, że choć pod tym jednym względem wspomniane środowisko odwoływało się do katolickiego nauczania.

PRZEKONYWANIE PRZEKONANYCH

Na koniec tej krótkiej recenzji przywołam fragment wiersza „Lokomotywa" Jana Brzechwy: „Lecz choćby przyszło tysiąc atletów, I każdy zjadłby tysiąc kotletów, I każdy nie wiem jak się wytężał, To nie udźwigną, taki to ciężar". Moim zdaniem wysiłki Kościelniaka, by udowodnić, że sprawa aborcji była kwestią centralną dla dziejów Polski w latach 1956–1993, doskonale przypominają trudy wspomnianych przez klasyka naszej poezji mocarzy. Środki, które zastosował autor, by udowodnić swoją główną tezę, są mocno nieprzekonywujące i nie potwierdzają ich zachowane źródła archiwalne, nawet w tej wykrzywionej przez Kościelniaka perspektywie.

> **W Solidarności rola kobiet była istotna zarówno jeśli chodzi o sferę symboliczną, jak i praktyczną działalność związku**

Podsumowując, polska historiografia XX w. może spać spokojnie, gdyż książka „Aborcja i demokracja. Przeciw-historia Polski 1956–1993" może przekonać tylko już (bardzo) przekonanych, a nie jest w stanie zmienić zasadniczych ustaleń wielu badaczy dziejów naszej ojczyzny, którzy historię Polski widzą zupełnie inaczej. Perspektywy, gdzie Kościół był jednak najważniejszym sojusznikiem opozycjonistów w walce o wolność społeczną, a nie ciemiężycielem kobiet w sojuszu z komunistami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej.

eprasa.pl 2c9e32c730

Doktor Josef Mengele pozdrawia uśmiechniętą Polskę

Remigiusz Włast-Matuszak

Czy Gizela J. wiedziałaby, jak dokonać zabójczego zastrzyku, gdyby nie eksperymenty medyczne dr. Josefa Mengele w KL Auschwitz? Wzorowanie się na zbrodniach oficera SS staje się legalne w uśmiechniętej Polsce Donalda Tuska

W czerwcu 2019 r. odbyła się w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej kolaudacja (pierwszy pokaz) filmu dokumentalnego w reżyserii Marii Stachurskiej (producentka Tatiana Matysiak) pt. „Położna z Auschwitz" o służebnicy Bożej – błogosławionej Stanisławie Leszczyńskiej, więźniarce KL Auschwitz. Po zapaleniu światła zapanowała cisza. Wzruszenie i łzy odebrały nam głos. Kolaudanci i specjaliści z PISF łatwo się nie wzruszają.

Godzinny dokument opowiada historię wybitnej położniczki II RP, która działając w konspiracji (NSZ), została w Łodzi aresztowana przez gestapo i osadzona w niemieckim KL Auschwitz-Birkenau. Jako lekarka trafiła do Bloku Szpitalnego prowadzonego przez osławionego zbrodniarza dr. Josefa Mengele, Hauptsturmführera SS (Kapitana SS). (Specjalność – zastrzyk z chlorku potasu prosto w serce niepotrzebnego więźnia). Leszczyńska przyjęła w latach 1943–1945, w ekstremalnie złych warunkach sanitarnych, ponad 3 tys. porodów (trzy tysiące!). Wszystkie udane! Rozkaz na Bloku brzmiał: dzieci po urodzeniu należy wrzucać do szamba (i tak robiły niemieckie Schwester z SS, które na szczęście rzadko bywały na Bloku).

Stanisława Leszczyńska nie wykonywała tych rozkazów. Przyjmowała porody od Polek, Żydówek, Rosjanek i innych więźniarek. Niestety, większość noworodków umierała w ciągu miesiąca z powodu zimna i braku pożywienia. Niemki doniosły dr. Mengele o krnąbrnej Polce. Leszczyńska miała jednak taki autorytet i tak dobrze kierowała całym Blokiem, że nawet dr Mengele ją tolerował. Wyśmiał się i nie uwierzył, że ponad 3 tys. porodów na Bloku było udanych. „Bzdura, nawet w wiodących berlińskich klinikach bywają porody śmiertelne dla dziecka, a nawet niemieckiej matki". Stanisława Leszczyńska, nr obozowy 41335, kierowała Blokiem aż do wyzwolenia KL 27 stycznia 1945 r. Wróciła do Łodzi i dalej pracowała jako położna. Jej zasługi i doświadczenie zawodowe były ignorowane przez władze PRL. Zmarła w 1974 r. Została uznana za służebnicę Bożą Kościoła katolickiego, a jej proces beatyfikacyjny został zakończony w marcu 2024 r.

W filmowym dokumencie najbardziej wstrząsające są osobiste relacje kilkorga dzieci, które przeżyły koszmarne warunki obozu zagłady i do kamery, jako starcy, opowiadają swoje historie.

W 2021 r. w Teatrze Wielkim w Łodzi odbyła się uroczysta premiera filmu z udziałem abp. Grzegorza Rysia (od września 2023 r. kardynała) i wicepremiera, ministra kultury Piotra Glińskiego. Niezapowiedzianą sensacją było przybycie Anny Lewandowskiej, z domu Stachurskiej (małżonki piłkarza Roberta Lewandowskiego), która jest cioteczną prawnuczką błogosławionej Stanisławy Leszczyńskiej. Być może to właśnie Stanisława Leszczyńska czuwa nad życiem państwa Lewandowskich. Film „Położna z Auschwitz" doczekał się aż (!) dwóch projekcji w TVP „zawiadywanej" przez Jacka Kurskiego i Mateusza Matyszkowicza.

Wzorem sprawnej polityki kulturalnej są Canal+ i Planet+. Każdy film mogący zaszkodzić Zjednoczonej Prawicy jest na tych lewackich kanałach emitowany po kilkanaście razy! Nie wspominam tu o „kłamstwie Agnieszki" – filmie pt. „Zielona granica" – ale o skandalicznych filmach: „Silent Love" czy „Bestie ze Złego". Oczywiście Canal+ i Planet+ nigdy nie wyemitują „Położnej z Auschwitz" ani kilkunastu innych, świetnych filmów dokumentalnych powstałych w latach 2016–2023, gdyż realizują „europejską" politykę kulturalną.

Postać błogosławionej Stanisławy Leszczyńskiej przypomniała mi się wyraziście w konfrontacji ze zmasowanym napływem informacji ze szpitala w Oleśnicy, gdzie ginekolog-położnik Gizela J. zabiła Felusia – dziewięciomiesięczny płód zastrzykiem z chlorku potasu prosto w serce. Zamordowane dziecko urodziło się już martwe. Czy Gizela J. wiedziałaby, jak dokonać zabójczego zastrzyku, gdyby nie eksperymenty medyczne dr. Josefa Mengele w KL Auschwitz? Wzorowanie się na zbrodniach oficera SS staje się legalne w uśmiechniętej Polsce Donalda Tuska. Doktor Mengele z zaświatów pozdrawia polską uśmiechniętą służbę zdrowia, a szczególnie minister Leszczynę i jej podporę aborcyjną Gizelę J.

Bodnarowcy wszczęli represje policyjne wobec Polaków, którzy wstrząśnięci zabójstwem dziecka ostro skrytykowali działania dr Gizeli J.

Nie mogę narazić Redakcji na podobne represje, dlatego życzę lekarce z Oleśnicy Gizeli J. długich lat życia w dostatku i samozadowoleniu. Zostania posłanką Platformy Obywatelskiej, „ministrą" zdrowia i doczekania 95. roku życia ze wszelkimi tego faktu konsekwencjami. ©℗

(Dokument filmowy pt. „Położna z Auschwitz" można ponoć zobaczyć na TVP VOD).

eprasa.pl 2c9e32c730

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Dwa bratanki

Znane są szczególne zasługi Węgrów, od których uzyskaliśmy niezwykle cenną pomoc, czyli masowe dostawy amunicji tuż przez Bitwą Warszawską 1920 r. Ale warto wiedzieć więcej. Podczas drugiej wojny światowej Węgry znalazły się w sojuszu z III Rzeszą Niemiecką, mimo to nieoceniona była ich pomoc w ewakuacji polskich żołnierzy i oficerów. Przez Węgry wiodły szlaki kurierskie i rozwijane tam były polskie siatki wywiadowcze (antyniemieckie), działały liczne komitety i organizacje pomocowe dla Polaków.

Warto jednak wspomnieć mniej znane płaszczyzny współpracy polsko-węgierskiej. Dokumenty leżą w archiwach, a historycy z nich nie korzystają. Szczególną rolę odgrywały oddziały węgierskie, chroniące polską ludność (nie tylko na Wołyniu) przed zbrodniami ukraińskich ludobójców. Było to nie tylko przekazywanie broni polskim samoobronom, lecz także ochrona ludności przed masowymi rzeziami. Dochodziło do tak spektakularnych manifestacji działań propolskich, jak np. demonstracyjne zwalczanie „rezunów". Oto meldunek polskiego podziemia: „Dużą rolę w walce z bandami [ukraińskimi] odgrywają Węgrzy. […] pochwyceni przez Węgrów członkowie band ukraińskich sprowadzani są do Lwowa. Na ulicach Lwowa widzi się takie grupy pod eskortą Węgrów; eskortowani mają ręce powiązane drutem kolczastym, a wielu z nich ma do rąk przywiązane siekiery, widły itp., to znaczy narzędzia mordu, z jakimi zostali ujęci". Po tych ponurych przemarszach zbrodniarze byli likwidowani poza miastem. Trzeba bowiem pamiętać, że UPA mordowała również Węgrów chroniących ludność polską przed bestialstwem.

Bardzo mało znaną rzeczą są kontakty formacji węgierskich z polskim podziemiem. W archiwach NSZ są tego ślady. Dokumenty z października 1943 r. świadczą, że były prowadzone poważne negocjacje na temat powojennych stosunków polsko-węgierskich. Strona polska widziała konieczność wspólnego uzgadniania interesów z Czechosłowacją, a Węgrzy postulowali utworzenie kondominium polsko-węgierskiego, Polacy zaś forsowali trójporozumienie. I jeszcze to: NSZ postulowały rozszerzenie współpracy „na obszar państw bałtyckich, gdzie Polska posiada specjalne interesy".

Mamy jeszcze przykład pomocy Węgrów dla powstania warszawskiego, m.in. przez dostarczanie broni (pod nosem ich niemieckiego sojusznika). Wśród powstańców było sporo żołnierzy i oficerów pochodzenia węgierskiego, przez co kontakty były znacznie ułatwione. Dowódcą węgierskiego Korpusu był zaś gen. Béla Lengyel, czyli – tłumacząc to nazwisko z węgierskiego – Polak. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy polski historyk

Wprawdzie kard. Zbigniew Oleśnicki nie ma specjalnie dobrej opinii u historyków, ma jednak zasługę, której nie można pominąć. Był bowiem protektorem Jana Długosza, którego można uznać za pierwszego polskiego historyka z prawdziwego zdarzenia. Warto bowiem pamiętać, że bez działalności Długosza nasza wiedza o pierwszych wiekach istnienia państwa polskiego byłaby o wiele uboższa. Także o czasach Władysława Jagiełły i jego następców wiedzielibyśmy niewiele, co wystarcza, by rozgrzeszyć kard. Oleśnickiego.

Gall Anonim czy Wincenty Kadłubek nie byli bowiem historykami, tylko kronikarzami. Zapisywali wyłącznie fakty, natomiast dzieło Długosza jest kompilacją informacji na podstawie zachowanych kronik polskich i obcych, relacji naocznych świadków, opinii dostojników. Dzieje Polski umieszczone są ponadto na tle wydarzeń europejskich. Gdy jednak autor trafiał na różne informacje, usiłował przeprowadzić uczciwą analizę wydarzeń i wybrać najbardziej prawdopodobną wersję. W sytuacjach, gdy nie było żadnych wiadomości, próbował zrekonstruować wydarzenia. W efekcie powstały „Roczniki, czyli dzieje sławnego królestwa polskiego" obejmujące okres od czasów najdawniejszych do 1480 r.

U Galla Anonima i Wincentego Kadłubka nie podano żadnej daty rocznej, natomiast Długosz każdą sprawę dokładnie umiejscawiał w czasie i przeprowadzał własne badania. Oczywiście czasami się mylił, ale to już niebezpieczeństwo zawodowe.

Długosz miał też wady. Należały do nich przesadna sympatia do swojego dobrodzieja, kard. Zbigniewa Oleśnickiego, a także nieukrywana niechęć do Władysława Jagiełły. Historyk wstydził się też nieco triumfu pod Grunwaldem, najwyraźniej uważając, że odniesiono go w nie do końca honorowy sposób. Wyżej cenił stosunkowo niewielkie zwycięstwo nad Krzyżakami pod Koronowem, gdzie bitwa została rozegrana według rycerskich zasad.

Jak przystało na duchownego katolickiego, popierał wplątanie Polski w unię z Węgrami i fatalną w skutkach wojnę Władysława Warneńczyka z Turcją. Osobiste poglądy nie przeszkodziły mu jednak zostać jednym z dwóch wychowawców synów Kazimierza Jagiellończyka – brata poległego króla. Mądry władca nie chciał jednak, by jego potomkowie ulegali wyłącznie wpływom i poglądom Długosza, i dlatego równolegle zajmował się nimi znakomity włoski humanista, Filip Kallimach. Trzeba przyznać, że połączenie wysiłków tych dwóch wybitnych osobistości przyniosło znakomite efekty.

Jan Długosz zmarł 19 maja 1480 r. Czterysta lat później jego szczątki zostały przeniesione do Krypty Zasłużonych na Skałce w Krakowie. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

Teresa Stylińska

Nigel Farage, twórca partii Reform UK, z flagą Union Jack

FOT. STEVE FINN/CAPITAL PICTURES/FORUM

FOT. XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Reform UK w drodze do władzy

Wybory lokalne nie przekładają się zazwyczaj na zmiany na szczeblu centralnym, często jednak sprawdzają się jako sygnał, w jakim kierunku rozwinie się sytuacja. Dla Reform UK jest to także okazja, by sprawdzić się w rządzeniu i zarazem przetestować ludzi, którzy później mogliby się znaleźć w Izbie Gmin czy może nawet w rządzie

Czy w budynkach publicznych może być miejsce dla flag innych niż Wielkiej Brytanii i Anglii? Reform UK, partia, która wyrasta na czołową siłę brytyjskiej sceny politycznej, stoi na stanowisku, że nie. „Rady kontrolowane przez Reform przypilnują, by na masztach, balkonach i biurkach umieszczano jedynie Union Jack i Krzyż św. Jerzego. Dla innych miejsca nie będzie" – napisał w serwisie X jej przewodniczący Zia Yusuf.

Flaga Anglii to właśnie Krzyż św. Jerzego, jej patrona – czerwony na białym tle. Union Jack, flagi brytyjskiej, przedstawiać nie trzeba, bo każdy ją zna. Tworzą ją trzy krzyże: oprócz św. Jerzego – Andrzeja i Patryka, patronów Szkocji i Irlandii. Deklaracja złożona przez przewodniczącego Reform to efekt sporu, który wynikł w hrabstwie Lancashire, którym ugrupowanie to rządzi od początku maja 2025 r. Chodziło o miejsce dla flagi hrabstwa – czerwonej róży na żółtym tle. Radni Reform ustąpili i wszystko wskazuje na to, że flagi lokalne tam, gdzie ona rządzi, będą równouprawnione z dwiema najważniejszymi. Spór trwał więc krótko, a uwagę opinii publicznej przyciągnął jako sygnał, że dla rządzącej w Lancashire formacji symbole są równie ważne jak imigracja i kwestie klimatyczne, czyli jej sztandarowe tematy.

Reform UK to partia Nigela Farage'a, który nie kryje, że chce doprowadzić do przebudowy całego brytyjskiego systemu politycznego. Czy pewnego dnia on sam może zostać premierem? Jeszcze miesiąc temu takie pytanie uznano by za przejaw politycznego science fiction. A jednak to, co wydawało się absolutnie niemożliwe, powoli nabiera barw. Podobnie jak obawy, że klasyczny brytyjski system oparty na dwóch partiach wymieniających się u steru rządów może się skończyć za sprawą tej trzeciej. Reform UK może go rozsadzić.

SZEŚĆ GŁOSÓW PRZEWAGI

Wszystkie te – zgoła rewolucyjne – zmiany i rozważania to pokłosie wyborów lokalnych, które odbyły się 1 maja 2025 r. w Anglii (w innych częściach Wielkiej Brytanii nie). Były to wybory częściowe, przeprowadzone tylko w niektórych hrabstwach. Jednocześnie odbyły się wybory uzupełniające do Izby Gmin w okręgu Runcorn and Helsby. I choć zasięg głosowania był ograniczony, a wybory lokalne nie mają, rzecz jasna, wagi parlamentarnych, to wywołały już nie wstrząs, a prawdziwe trzęsienie ziemi. Chociaż z przedwyborczych sondaży wynikało, że Reform UK cieszy się dużą popularnością i może liczyć na sukces, to wyniki przeszły wszelkie oczekiwania.

Partia Nigela Farage'a zdobyła ponad jedną trzecią miejsc w radach gmin i hrabstw (677 z 1641), zapewniła sobie większość w radach 10 hrabstw, przejmując zatem w nich rządy, i obsadziła trzy stanowiska burmistrzów. Wybory uzupełniające – przewagą zaledwie sześciu głosów! – wygrała jej kandydatka Sarah Pochin, co oznacza, że Reform ma odtąd w Izbie Gmin pięć mandatów. Sukces jest tym większy, że okręg Runcorn uchodził za bastion Partii Pracy, która przed rokiem bez trudu zdobyła tu mandat. Nic dziwnego, że gdy okazało się, iż kandydatka Reform wygrała czterema głosami, laburzyści zażądali przeliczenia głosów. Rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza...

Bezpośrednią winę za tak dotkliwą porażkę ponoszą – w powszechnym przekonaniu – dwie decyzje rządu Keira Starmera: skasowanie dopłat na opał na zimę, z których korzystali najbiedniejsi emeryci, i zapowiedź dokonania cięć w zasiłkach dla osób niepełnosprawnych. O fatalnym stanie NHS, publicznej służby zdrowia, nikt już nawet nie mówi, bo w równym stopniu obciąża to konser-

eprasa.pl 2c9e32c730

watystów i laburzystów. Obie partie nie zdobyły większości w żadnej radzie, przegrały zaś nie tylko z Reform, lecz także z Liberalnymi Demokratami, którzy od lat występują w roli „tej trzeciej".

Że Reform bez trudu zepchnęła konserwatystów na margines – to oczywiste. Partia Konserwatywna do dziś nie może się pozbierać po klęsce w ubiegłorocznych wyborach. Nie ma programu, który przemówiłby do wyborców, i miota się od przypadku do przypadku. Partia Pracy jednak to zupełnie inna sprawa. Przed rokiem odniosła niewyobrażalne zwycięstwo, największe w swej historii, zdobywając prawie 34 proc. głosów, a w Izbie Gmin 411 mandatów na 650. Jak to możliwe, że jej pierwszy sprawdzian wyborczy, po zaledwie 10 miesiącach, wypadł tak źle?

Problem jest poważniejszy, niż się wydaje, i nie ogranicza się do kwestii bieżących, takich jak dopłaty i zasiłki. Okazuje się, że wyborcy widzą świat tak, jak go widzi Reform, a nie tak, jak chciałyby główne partie. Brytyjczycy nie życzą sobie nieustającego napływu imigrantów, obowiązkowej walki z emisją dwutlenku węgla, czyli polityki net zero (którą Keir Starmer wraz ze swą partią gorliwie popiera) ani też innych zielonych rozwiązań, forsowanych niby dla ludzi, a tak naprawdę kosztem ludzi.

Można oczywiście powiedzieć, że Reform dobrze to wyczuwa i stosownie do nastawienia społeczeństwa układa swój program. Ale Nigel Farage nieraz już pokazał, że nie układa swojej polityki pod sondaże, ma swoje zdanie i konsekwentnie się go trzyma, nie przejmując się opinią innych w ogóle, a establishmentu w szczególności. Udowodnił to przy okazji brexitu, a później w wielu innych kwestiach, takich jak polityka klimatyczna czy stosunek do Donalda Trumpa.

Zarysowujące się zmiany widać już po pierwszych zapowiedziach i decyzjach podejmowanych tam, gdzie radni z Reform objęli rządy. Już dwa dni po wyborach Richard Tice, zastępca Farage'a, oznajmił, że Reform zrobi wszystko, by zablokować net zero, na pierwszy ogień zaś pójdą odnawialne źródła energii. Tak się składa, że w Lincolnshire, gdzie Reform ma większość w radzie i stanowisko burmistrza, nie tylko znajduje się największa w Wielkiej Brytanii morska farma wiatrowa, lecz także są tam zakłady Siemensa produkujące śmigła do wiatraków. „Napiszę do szefów wszystkich tych przedsięwzięć, że nie powinni mieć złudzeń – powiedział Tice. – To jest wojna. Wypowiadamy wojnę wam i waszym pomysłom. Jeżeli sądzicie, że w Lincolnshire wam się uda, to będziecie tego żałować".

Już parę miesięcy przed wyborami Reform zapowiedziała, że będzie dążyć do opodatkowania energii produkowanej przez OZE. O żadnych dotacjach nie może być mowy. Przedsiębiorcy z hrabstwa chyba nie bagatelizują zagrożenia, bo – jak doniosła BBC – firmy z branży OZE już teraz zabiegają o to, by wspólnymi siłami dotrzeć do Reform. Koronnym argumentem są, jak zawsze i wszędzie, praca dla ludzi i wymierne korzyści dla regionu.

MARTWA DWUPARTYJNOŚĆ

Fakt, że – jak donoszą media – wokół Reform kręci się coraz więcej lobbystów również w Londynie, a więc w samym sercu władzy, jest dla partii doskonałym prognostykiem. Świadczy niezbicie, że jest ona na dobrej drodze. Potwierdza to najnowszy sondaż popularności partii politycznych, przeprowadzony przez firmę BMG na zlecenie dziennika „The i Paper". Reform z 32 proc. poparcia nie tylko jest na czele, lecz także ma – po raz pierwszy – aż 10-punktową przewagę nad drugą partią w rankingu. To Partia Pracy, z 22 proc., nieznacznie tylko wyprzedzająca konserwatystów – z 19 proc.

Wszystko to może dogłębnie zmienić brytyjskie układy polityczne i Nigel Farage jest tego świadomy, gdy podkreśla, że Reform ma wszelkie dane po temu, by stać się główną partią opozycji. „Wybory i sondaże pokazują, że system dwupartyjny jest już martwy" – tak skomentował ranking BMG.

Reform zapowiada, że po polityce klimatycznej przyjdzie kolej na uporanie się z problemem imigracji. Nie zamierza całkowicie zamknąć kraju, planuje jednak narzucenie ścisłych limitów. W tym właśnie kontekście wielu postrzega nagły zwrot, którego rząd Starmera dokonuje w kwestii polityki imigracyjnej. Opublikowana 12 maja 2025 r. „biała księga" poświęcona imigracji zawiera zapewnienie, że napływ nielegalnych imigrantów zostanie powstrzymany, i zapowiedzi konkretnych posunięć, takich jak to, że warunkiem uzyskania zezwolenia na pobyt nieograniczony w czasie ma być doskonałe opanowanie języka angielskiego, a deportację przestępców należy przyspieszyć.

Mało kto wierzy premierowi, gdy ten zapewnia, że taka polityka imigracyjna to przejaw jego najszczerszych przekonań. Starmer chce po prostu wytrącić broń z ręki Farage'owi i jego partii. Tak jest postrzegany.

Wybory lokalne nie przekładają się zazwyczaj na zmiany na szczeblu centralnym, często jednak sprawdzają się jako sygnał, w jakim kierunku rozwinie się sytuacja. Dla Reform jest to także okazja, by sprawdzić się w rządzeniu i zarazem przetestować ludzi, którzy później mogliby się znaleźć w Izbie Gmin czy może nawet w rządzie.

Nasuwa się także wiele pytań o przyszłość. Jedne z ciekawszych dotyczą przyszłości konserwatystów. Czy najstarsza, najważniejsza, najbardziej prominentna brytyjska partia, ugrupowanie Winstona Churchilla i Margaret Thatcher, może się rozpaść? Co będzie, gdy jej członkowie zaczną odchodzić do Reform? Taką drogę przebyło przecież wielu przedstawicieli Reform, począwszy od jej lidera.

Bezsprzecznie atutem Reform jest właśnie Nigel Farage – polityk równie doświadczony, co niekonwencjonalny. Nie on jeden oczywiście. Niekonwencjonalny był zawsze Boris Johnson. O ile jednak Johnsona trudno uznać za polityka antysystemowego, o tyle Farage potrafi skutecznie wychodzić poza ramy. Gdyby nie jego inicjatywa i niezmordowane starania, być może nie doszłoby do brexitu, najbardziej brzemiennego w skutki wydarzenia ostatnich lat.

Reform UK – jak brzmi jej pełna nazwa – to trzecie wydanie partii Farage'a po UKIP (Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa) i Brexit Party. Każda z nich była ofiarą systemu okręgów jednomandatowych, bo w wyborach do Izby Gmin w najlepszym wypadku zdobywała jeden mandat (za to w wyborach europejskich, gdzie obowiązuje ordynacja proporcjonalna, wypadały dobrze lub nawet bardzo dobrze). Bardzo możliwe, że teraz, gdy Reform rośnie w siłę, stanie się tego systemu beneficjentem. Jej nazwa zaś okaże się prorocza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

Z Wojciechem Rogalą, autorem książki „Gatunek zagrożony. Biali Afrykanie w RPA”
rozmawia Piotr Włoczyk

Krzyż białego farmera

Niedaleko miejscowości Polokwane powstał Witkruis Monument – miejsce pamięci poświęcone zamordowanym w ciągu ostatnich trzech dekad białym farmerom

FOT. JONATHAN BRADY/EPA/PAP

PIOTR WŁOCZYK: W lutym administracja Donalda Trumpa przyznała Afrykanerom z RPA status grupy prześladowanej i w zeszłym tygodniu do USA dotarła pierwsza, 59-osobowa grupa afrykanerskich uchodźców. Na razie nie wygląda na to, żeby to była masowa ucieczka...

WOJCIECH ROGALA: Po 1994 r. ponad milion białych wyjechało z RPA, ale były to głównie osoby anglojęzyczne. W tej grupie było też bardzo wielu przedstawicieli Polonii. Natomiast Afrykanerzy, czyli mówiący językiem afrikaans potomkowie Burów, którzy zbudowali na południu Afryki państwo, są niezwykle przywiązani do swojej ojczyzny i bardzo niewielu z nich planuje wyjazd. Prawdę mówiąc, w tej społeczności wyjazdy na stałe są uznawane po prostu za zdradę. Szczególnie tyczy się to farmerów, bardzo brutalnie atakowanych, których czarni ekstremiści chcą wyrzucić z ich farm. Dla tych ludzi, dużo bardziej religijnych niż Polacy, południe Afryki to ziemia dana im 350 lat temu przez Boga, gdzie mają żyć oni, ich dzieci i kolejne pokolenia. To na pewno nie będzie masowy ruch migracyjny. Afrykanerzy to prawdziwy afrykański naród. Przyznał to nawet Jacob Zuma, były prezydent RPA (w latach 2009–2017).

Wydawałoby się, że Burowie to słowo z przeszłości, które nie ma już zastosowania w kontekście dzisiejszej RPA.

A jednak bardzo wielu białych z RPA, których językiem ojczystym jest afrikaans, wciąż nazywa siebie samych Burami. W społeczności afrykanerskiej Burowie to ludzie najbardziej patriotyczni, przywiązani do Boga i swojej ziemi.

Ilu Polaków wie dokładnie, gdzie żyli nasi prapradziadkowie? Nie oszukujmy

eprasa.pl 2c9e32c730

się – mało kto ma takie informacje. Natomiast Afrykanerzy doskonale znają swoje drzewa genealogiczne, bo niezwykle szanują trud swoich przodków włożony w budowę ich afrykańskiego domu.

Czyli każdy Bur to Afrykaner, ale nie każdy Afrykaner to Bur?

Dobrze pan to ujął. Bura definiuje przede wszystkim jego protestanckie, konserwatywne dziedzictwo wywodzące się z wieków XVII i XVIII. Afrykaner to pojęcie szersze, obejmujące wszystkich białych mieszkańców Afryki Południowej mówiących językiem afrikaans, niezależnie od ich miejsca zamieszkania, zawodu, poglądów politycznych czy przywiązania do tradycji.

Zanim przejdziemy do najważniejszego tematu pańskiej książki, czyli sytuacji na farmach, przedstawmy tło tych wydarzeń. Czy przeciętny czarny mieszkaniec RPA jest dziś zadowolony z tych trzech dekad, które upłynęły od zakończenia władzy białych?

Absolutnie nie. Właściwie wszystkie hasła, które Afrykański Kongres Narodowy (ANC) głosił przez cały ten czas, nie zostały zrealizowane. Oprócz jednego: to oni przejęli władzę w kraju. Sytuacja ekonomiczna czarnych mieszkańców RPA nie poprawiła się w stosunku do czasów apartheidu, a wręcz ludności tej żyje się jeszcze gorzej. Oczywiście znajdziemy w RPA czarną elitę, zazwyczaj z dobrymi koneksjami w ANC, która się bogaci, ale ogromna większość czarnoskórych mieszkańców RPA ma coraz bardziej „pod górę".

Od wielu lat jeżdżę do RPA i widzę, w jakim kierunku ten kraj się zmienia. Ostatnio często byłem pytany przez czarnych mieszkańców, czy nie miałbym dla nich czegoś do jedzenia. Byli oni przy tym zupełnie nienachalni, to były pytania chwytające za serce, więc dzień zaczynałem od kupienia podstawowych produktów, które mogłem rozdać. Jeszcze dekadę temu nie spotykałem się w RPA z takimi sytuacjami.

Ale przejdźmy do konkretnych liczb. Trzydzieści lat temu w RPA istniało ok. 300 townshipów. Teraz jest ich już prawie 3 tys.!

Townshipy – dzielnice nędzy, przy których fawele wydają się całkiem komfortowymi osiedlami.

RPA może się kojarzyć z gorącem. I przez pół roku faktycznie tak jest. Natomiast zimą na dużych obszarach tego państwa, jak choćby w Johannesburgu, temperatura spada nawet poniżej zera. Proszę sobie wyobrazić życie w baraku z blachy, bez podłogi i ogrzewania. A tak żyją miliony Południowoafrykańczyków!

RPA znalazła się na szczycie listy państw z największym bezrobociem. Mniej więcej jeden dorosły obywatel na trzech nie ma tam pracy. Jednak największym problemem, który od czasu upadku apartheidu urósł do nieprawdopodobnych rozmiarów, jest przestępczość. Od suchych liczb lepszy jest tu przykład z życia codziennego. Do szpitali w Johannesburgu i Kapsztadzie przyjeżdżają studenci z Europy i z USA, by uczyć się, jak operować i leczyć chorych po postrzałach. Ofiar ataków jest tam tak dużo, że bez problemu każdy student z grupy dostanie „swojego" pacjenta.

W Polsce co roku w wyniku przestępstwa ginie mniej niż jedna osoba na każde 100 tys. mieszkańców. Jak to wygląda w RPA?

RPA wskaźnik zabójstw to 40 na 100 tys. Koszmarna jest też przemoc seksualna. Moi znajomi z Afryki Południowej obawiają się przede wszystkim o swoje nastoletnie córki – wożą je do szkół i od dziecka uczą posługiwania się bronią. Ludzie już się przyzwyczajają, że każdego dnia ktoś może ich napaść, zastrzelić lub zadźgać. Noszą więc np. dwa portfele, z czego jeden, odpowiednio do tego przygotowany, można oddać napastnikowi.

W pańskiej książce uderzający jest fragment rozmowy, którą przeprowadził pan z czarnym małżeństwem z klasy średniej. Victor i jego żona zgodnie stwierdzili, że woleliby, żeby w kraju rządzili... biali. Jak to możliwe?

To było dla mnie spore zaskoczenie. Usłyszałem od nich, że w czasach apartheidu, choć tacy ludzie jak oni byli obywatelami trzeciej kategorii, nie mieli podstawowych praw, jednak było bezpiecznie, bezrobocie nie stanowiło problemu, a w domach były woda i prąd. Piramida Maslowa nie wzięła się znikąd – dla człowieka najważniejsze są bezpieczeństwo i zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Dopiero na tym można budować inne aspekty życia. Właściwie każdy w RPA, niezależnie od koloru skóry, przyzna, że w czasach apartheidu żyło się bezpieczniej i pod wieloma względami łatwiej. Nigdy nie będę bronił idei segregacji rasowej, natomiast faktem jest, że w czasach apartheidu przestępczość nie była tak rozpleniona i ludzie nie musieli cały czas oglądać się przez ramię.

WOJCIECH ROGALA „GATUNEK ZAGROŻONY. BIALI AFRYKANIE W RPA" ZONA ZERO 2025

Reakcją jest ucieczka czarnych w kierunku białych osiedli – do życia za murami, drutami kolczastymi i pod napięciem, z uzbrojoną ochroną. Mówię tu oczywiście o tych, których na to stać, jak choćby wspomniane małżeństwo. Johannesburg, niegdyś najbogatsze miasto Afryki, został właściwie opuszczony przez białych. Wyprowadzili się oni na przedmieścia, a nawet założyli w okolicy własne miasta, jak np. Sandton. Za nimi poszli majętni, wykształceni i spokojni czarni Południowoafrykańczycy.

Każdy dom ludzi, których na to stać, ma kraty i jest podłączony do systemu alarmowego sprawdzonej firmy ochroniarskiej. W sypialniach trzymają oni nielegalnie broń palną. Nielegalnie, ponieważ zgodnie z południowoafrykańskim prawem pistolety powinny być przechowywane, oczywiście rozładowane, w sejfach, co jednak w praktyce nie ma sensu.

Na policję raczej nie ma co liczyć i ten problem widać również w nastawieniu białych farmerów, którzy są wyjątkowo narażeni na ataki. Południowoafrykańska policja jest bardzo skorumpowana i w Internecie można znaleźć mnóstwo potwierdzających to nagrań.

Dlaczego, mimo postępującej zapaści Afryki Południowej, ANC wciąż rządzi?

Wszyscy liderzy partii reprezentujących czarnych obywateli RPA mają w programach populistyczne hasła o wyrównaniu różnic między bogatymi i biednymi, czyli białymi i czarnymi. Ci politycy tłumaczą wszystkie problemy gospodarcze, biedę i szalejącą przestępczość apartheidem. Winni są wszyscy biali. A każdy biały utożsamiany jest

eprasa.pl 2c9e32c730

z bogactwem i wyzyskiem. I dlatego w RPA widzimy odwrócony rasizm. Z tego powodu białym, nawet jeżeli mają świetne kwalifikacje, bardzo trudno jest dostać pracę w sektorze budżetowym.

Partie reprezentujące czarnych obywateli nawołują do przeprowadzenia reformy rolnej. Zakłada ona wywłaszczenie białych farmerów, do których należy zdecydowana większość ziemi uprawnej będącej w rękach prywatnych. Niektóre partie opowiadają się za odszkodowaniami, inne nie. Według właśnie podpisanej ustawy sąd może wywłaszczyć farmę, która nie jest wystarczająco produktywna. To bardzo uznaniowa kwestia. Bo co to znaczy „produktywna"? Bardzo nie spodobało się to rządowi USA i właśnie za to Waszyngton obciął pomoc rozwojową dla RPA. ANC cały czas obiecuje swoim wyborcom, że już niedługo rozda im ziemię białych.

Inni, którzy nie liczą na ziemię, głosują z powodów historycznych, godnościowych. ANC była partią zwalczającą apartheid, więc nawet po trzech dekadach, mimo że kraj się rozpada, wyborcy głosują na kongres, bo to już dla nich swego rodzaju tradycja.

Biali farmerzy twierdzą, że ataki na nich to ludobójstwo. Werner Weber, farmer z prowincji Mpumalanga, z którym rozmawiałem kilka lat temu o atakach na białe gospodarstwa rolne, podkreślał, że w RPA praca farmera jest bardziej niebezpieczna od służby w policji.

O ile w RPA wskaźnik zabójstw wynosi ok. 40 przypadków na 100 tys. mieszkańców, o tyle już w grupie białych farmerów wzrasta on do poziomu 80 na 100 tys. Niedaleko miejscowości Polokwane powstał Witkruis Monument – miejsce pamięci poświęcone zamordowanym w ciągu ostatnich trzech dekad białym farmerom. Na tym wzgórzu stoi już ponad 3 tys. białych krzyży. Ale nie wszystkie rodziny decydują się na takie upamiętnienie. W sumie takich mordów było już ponad 4 tys.

Bardzo brutalna przemoc nie jest niczym nadzwyczajnym w RPA, ale nawet na tym tle ataki na farmerów wyróżniają się wyjątkowym bestialstwem. Mówimy tu o przewiercaniu kolan, polewaniu wrzątkiem, gwałceniu kobiet na oczach ich bliskich. Taka brutalność niczym nie tłumaczy chęci rabunku.

Bardzo brutalna przemoc nie jest niczym nadzwyczajnym w RPA, ale nawet na tym tle ataki na farmerów wyróżniają się wyjątkowym bestialstwem

O co tu chodzi? Werner Weber uważa, że to celowa akcja mająca zmusić farmerów do porzucenia ziemi.

Kolor skóry o niczym nie przesądza i zdecydowana większość czarnych obywateli RPA to spokojni ludzie. Natomiast nie brakuje niestety czarnych radykałów, którzy nienawidzą białych i siłą chcą odebrać uprawianą przez nich ziemię. Ten radykalizm daje o sobie znać czasem nawet na szczytach władzy. Były prezydent RPA Jacob Zuma odśpiewał kiedyś na stadionie pieśń, której głównym przesłaniem jest nawoływanie do zabijania Burów, czyli białych farmerów. Najbardziej znanym radykałem jest Julius Malema, przywódca Ruchu Bojowników o Wolność Gospodarczą, łączący hasła komunistyczne z panafrykanizmem. Malema domaga się wyrzucenia białych farmerów z ich gospodarstwa, ale w RPA są jeszcze gorsi radykałowie od niego. Nikt nie ma na to niezbitych dowodów, natomiast biali farmerzy generalnie uważają, że ataki na nich, często bardzo dobrze przygotowane, w wielu przypadkach są motywowane politycznie. I rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że to nie są „zwykłe" napady rabunkowe.

Jak reagują na to biali farmerzy?

Jak już wspomniałem, raczej nie mają co liczyć na policję. Ich gospodarstwa są zazwyczaj na kompletnym odludziu. Farmerzy sami muszą zadbać o swoje bezpieczeństwo. Widziałem, jak to wygląda, i jest to imponujące. Ci ludzie zbudowali własne systemy samoobrony. Po wszczęciu alarmu przez radio do zaatakowanego gospodarstwa zjeżdżają się uzbrojeni po zęby farmerzy z okolicy – napastnicy muszą brać to pod uwagę. Farmy otoczone są płotami, domy chronią druty pod napięciem, obejść strzegą wielkie psy, a sypialnie są specjalnie przygotowane do odgrywania roli „redut obronnych".

Mimo wszystkich trudności ci niezwykle twardzi ludzie chcą żyć na swojej ziemi, w swojej ojczyźnie. To naprawdę robi wrażenie, szczególnie na przybyszach z państw, gdzie coraz więcej obywateli nie czuje już takiej więzi z ojczyzną.

Przykład upadłego Zimbabwe, gdzie już kilka dekad temu czarny rząd odebrał białym farmerom gospodarstwa, powstrzymuje ANC przed bardziej agresywnymi ruchami w kwestii reformy rolnej?

Dramat sąsiada z północy, gdzie zaczęło brakować żywności, jest pewnym straszakiem, ale jednak biali farmerzy dzielili się ze mną swoimi obawami, że ten narastający radykalizm prowadzi RPA w stronę Zimbabwe.

Znajomy farmer opowiedział mi ciekawy przykład. Państwo przejęło gospodarstwo rolne od jego znajomego. Wielu czarnoskórych rolników dostało po kawałku farmy. Po roku te gospodarstwa były w opłakanym stanie. W związku z tym nowi właściciele zwrócili się z prośbą o pomoc do... poprzedniego właściciela, który – jak inni farmerzy – jest wysokiej klasy specjalistą w dziedzinie produkcji żywności. Wydzierżawili mu cały ten teren i sami pracują u niego, tak jak było to wcześniej. I teraz już wszystko działa tak, jak powinno. Farmerzy boją się jednak, że takie sytuacje nie powstrzymają radykałów przed przejmowaniem farm.

Jak Afrykanerzy/Burowie, z którymi pan rozmawiał, patrzą na Janusza Walusia?

Jak najbardziej pozytywnie, z szacunkiem i ze zrozumieniem. Chris Hani, którego Waluś zastrzelił, był przywódcą południowoafrykańskich komunistów, człowiekiem szalenie niebezpiecznym i bardzo popularnym. Biali obawiali się komunizmu, bo widzieli, co się działo w innych krajach Afryki. Proszę się więc nie dziwić, że raczej niewielu z nich powie o Walusiu złe słowo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Wojciech Rogala** jest geografem, podróżnikiem, znawcą południowej Afryki. W 2017 r. zadebiutował książką o Namibii pt. „Witamy w białej Afryce", a w marcu ukazała się jego druga książka – „Gatunek zagrożony. Biali Afrykanie w RPA".*

eprasa.pl 2c9e32c730

FOT. JAM PRESS/FAST NEWS

ZAMIAST SYNA

Reborn jest rodzajem lalki, która przypomina prawdziwe niemowlę. Wydawałoby się, że to zabawka dla dziewczynek. Tymczasem Marcela Iglesias, która jest matką 23-latka, pochwaliła się zakupem takiej lalki... dla siebie. Syn tej argentyńskiej modelki się usamodzielnił, więc ona – jak sama wyznała – potrzebuje zabawki, żeby dawać odpór syndromowi opuszczonego gniazda. Tylko jej mąż to zachowanie uważa za dziwne.

KOSZTOWNE ZAMÓWIENIE

Chłopiec z Lexington (Kentucky) sprawił nie lada kłopot swojej rodzicielce. Ośmiolatek za pomocą aplikacji w telefonie zamówił ok. 70 tys. lizaków na kwotę 4 tys. dol. Zrobił to, wykorzystując konto swojej matki na Amazonie. Agencji Associated Press powiedział, że chciał zorganizować karnawał. Matce chłopca udało się ostatecznie zwrócić towar, a Amazon obiecał jej zwrot pieniędzy.

TRANSMISS MAINE?

Jordon Hudson to 24-letnia modelka, która uchodziła za jedną z faworytek tegorocznego stanowego konkursu Miss Maine USA. Rzecz w tym, że odbywające się on-line głosowanie fanów pokazało, iż może się ona znaleźć daleko w tyle od pierwszego miejsca. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że Hudson w notowaniach wyprzedza m.in. Isabelle St. Cyr – osoba transpłciowa, która urodziła się jako mężczyzna.

SZOP Z FAJKĄ

Policja z Ohio zatrzymała samochód, którym jechała kobieta z zawieszonym prawem jazdy. Została ona aresztowana. Ale na tym się nie skończyło. Jak się okazało, w samochodzie był jeszcze jeden pasażer – szop pracz, który trzymał w pysku fajkę do palenia metamfetaminy. W fajce jednak nic nie było. Niemniej policjanci, przeszukując pojazd, również znaleźli metamfetaminę. Ponadto w samochodzie była też kokaina.

FAŁSZYWY GEORGE CLOONEY

Pewna nieznana z imienia i nazwiska kobieta straciła 12 tys. dol. Była przekonana, że nawiązała znajomość z George'em Clooneyem, który zaoferował jej znalezienie dla niej pracy w zamian za zasilenie jego konta podaną sumą. Jak się okazało, hollywoodzka gwiazda, która się pojawiała w łączeniu wideo, była deepfakiem. To nie pierwszy taki przypadek. Jakiś czas temu od innej kobiety fałszywy Brad Pitt również wyłudził olbrzymią kwotę pieniędzy. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump naprawił błąd Bidena

Administracja Donalda Trumpa podjęła w ubiegłym tygodniu wyjątkowo ważną dla Polski decyzję, naprawiając błąd podjęty przez urzędników za czasów prezydentury Joe Bidena.

Wówczas to Polska została wykluczona z grona zaufanych partnerów Stanów Zjednoczonych, takich jak Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania, Wielka Brytania oraz Japonia czy Australia. Ekipa Bidena zakwalifikowała Polskę do krajów objętych ograniczeniami w dostępie do chipów AI obok Burundi, Czadu czy Tanzanii.

Był to oczywiście duży cios wizerunkowy dla rządu Donalda Tuska. Dużo ważniejsze byłyby jednak gospodarcze skutki takiej decyzji. Dla kraju, który stara się budować swą pozycję w opartej na wiedzy światowej gospodarce, brak dostępu do nowoczesnych technologii, umożliwiających rozwój systemów sztucznej inteligencji, byłby ogromną stratą.

Na szczęście administracja Trumpa naprawiła duży błąd popełniony przez Joe Bidena i słusznie zaliczyła Polskę, a także wiele innych wcześniej wykluczonych krajów, do grona zaufanych sojuszników USA. Zyska na tym nie tylko dyplomacja, lecz także wiele amerykańskich korporacji. Teraz piłeczka jest po stronie rządu w Warszawie. Jeśli nie chcemy całkowicie zaprzepaścić swej roli w nowej rewolucji przemysłowej, polskie władze powinny zadbać o duże pieniądze na innowacje i o... jak najtańszy prąd. Nikt rozsądny nie będzie bowiem budował wymagających ogromnych ilości energii gigantycznych centrów obliczeniowych w kraju, który przez zaniechania kolejnych rządów ma wciąż jedne z najwyższych cen energii w UE. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

Zarabiać jak „Wyrocznia”

Jacek Przybylski

Warren Buffett, jeden z najbardziej znanych inwestorów na świecie, planuje pod koniec roku przejść na emeryturę. Będzie miał wówczas 95 lat

Niewielu może z taką dumą spojrzeć wstecz na swoją karierę. Od 1964 r. kierowany przez Warrena Buffetta Berkshire Hathaway osiągnął stopę zwrotu przekraczającą nieco 5,5 mln proc. (słownie: pięć i pół miliona procent). Gdy na początku lat 60. XX w. młody inwestor kupił Berkshire Hathaway, jedna akcja tej spółki kosztowała ok. 8 dol. W ubiegłym tygodniu jedna akcja tej spółki (z serii A) wyceniona była przez rynek na 772,1 tys. dol. W latach 1965–2021 średnia roczna stopa zwrotu osiągnięta przez posiadaczy akcji Berkshire Hathaway wynosiła 20,1 proc., czyli mniej więcej dwa razy więcej, niż wynosił w tym okresie średni roczny wzrost indeksu giełdowego S&P 500. Ten, kto w latach 60. kupił akcje Berkshire Hathaway za 1 tys. dol. i miał na tyle dużo zimnej krwi, aby przytrzymać je do dziś, ma obecnie na koncie akcje o wartości 55 mln dol.

„MĘDRZEC Z OMAHA”

Amerykański inwestor, powszechnie znany na świecie jako „Wyrocznia z Omaha” czy „Mędrzec z Omaha”, uzyskał tak znakomity wynik nie jako król spekulantów dążący do zbicia fortuny na tulipanach, dotcomach czy modnych memecoinach. Przeciwnie – wielokrotnie tłumaczył akcjonariuszom, że ani myśli ścigać się z rynkiem. I przekonywał, że racjonalne podejście do rynku giełdowego każe „kierować się strachem, gdy inni są chciwi, i być chciwym, gdy inni się boją”.

Warren Buffett przez dekady pozostał wierny zdrowemu rozsądkowi i prostym prawdom, takim jak choćby „nie rozumiesz, nie kupuj”. Znając dobrze psychologiczne pułapki, które przed inwestorami zastawia świat finansowy, przedstawił też dwie proste zasady. „Zasada nr 1: Nigdy nie trać pieniędzy. Zasada nr 2: Nigdy nie zapominaj o zasadzie nr 1”.

Jak więc inwestuje sam Warren Buffett? „Wyrocznia” szuka przedsiębiorstw, które mają dobre wyniki, wypłacają hojne dywidendy i mają zdolnych zarządzających. Miliarder zaznacza jednak, że stara się szukać firm, „które są na tyle wspaniałe, że nawet idiota może nimi pokierować”. Zdaje sobie bowiem sprawę, że prędzej czy później może się zdarzyć, iż na fotelu prezesa usiądzie „jakiś idiota” właśnie. Wówczas spółka musi się bronić sama. Firma musi też być w stanie generować zyski niemal w każdych warunkach gospodarczych. Gdy Buffett znajdzie już taką spółkę, próbuje kupić ją w „rozsądnej” cenie, przypominając, że „cena jest tym, ile zapłacisz, a wartość to to, co dostaniesz. Nieważne, czy mówimy o akcjach czy o skarpetkach”. Najbardziej znany inwestor świata radzi również, by nerwowo nie sprawdzać co chwilę notowań posiadanych już spółek, lecz inwestować długoterminowo, zyskując m.in. dzięki magii procentu składanego.

KRÓL SKĄPCÓW

Jego rady wielokrotnie spisywano i wydawano w wielu językach świata (w tym po polsku). Młodzi i starzy z całego świata starają się zapamiętać złote myśli Buffetta głównie dlatego, że te prawdy w długim terminie mogą okazać się skuteczniejsze od najbardziej wnikliwej analizy technicznej.

eprasa.pl 2c9e32c730

FOT. NICHOLAS KAMM/AFP/EAST NEWS

To również doskonały przykład dla tych, którzy już się dorobili i nie chcą szybko stracić całego majątku. Inwestor, którego prywatną fortunę „Forbes” szacował w ubiegłym tygodniu na ok. 160 mld dol. (równowartość ponad 611 mld zł), jest nadal niezwykle oszczędny. Nie rozbija się drogimi samochodami, jada w lokalnych restauracjach i pija zwykłą colę. Jego dieta przeraziłaby większość współczesnych lekarzy. Cieszący się dobrym zdrowiem 94-letni obecnie inwestor przez lata na śniadanie zjadał bowiem np. opakowanie ciastek, po czym popijał je colą. Jest znanym miłośnikiem nie tylko słodyczy, lecz także frytek, burgerów, hot dogów oraz steków. W tym wypadku „Mędrzec z Omaha” również ma prostą zasadę: nie rusza jedzenia, którego nie zjadłby trzylatek. Jakby tego było mało, to właśnie opartą na śmieciowym jedzeniu dietę Buffett postrzega jako klucz do szczęścia i swej długowieczności. „Gdybym przez całe życie jadł brokuły i brukselkę, nie sądzę, bym żył tak długo. Podchodziłbym do każdego posiłku, myśląc, że to jak pójście do więzienia” – przekonywał w jednym z wywiadów. I dodał, że gdyby ktoś mu powiedział, iż będzie żył o rok dłużej, jeśli przez całe życie będzie jadł tylko brokuły i kilka innych rzeczy, to odpowiedziałby: „Odejmij mi, proszę, ten dodatkowy rok życia i pozwól mi jeść to, co lubię”. Co jeszcze lubi? Najwięcej wolnego czasu przeznacza na czytanie książek. Chętnie gra także w brydża i brzdąka na ukulele. Nie stresuje się też nadmiernymi wydatkami. Nadal mieszka w skromnym domu, który w rodzinnym mieście Omaha kupił w 1958 r. za 31,5 tys. dol. Znajomym, pytającym o to, jak można się wzbogacić, radzi zaś, aby markowe produkty kupowali wyłącznie na wyprzedażach.

Od lat dużo pieniędzy rozdaje potrzebującym. „Forbes” szacuje, że na cele charytatywne przeznaczył ponad 60 mld dol. Już kilka lat temu zadeklarował, że zamierza rozdać zdecydowaną większość zgromadzonego majątku.

Jak słynny inwestor doszedł do fortuny pozwalającej rozdawać miliardy dolarów? Jego ojciec był maklerem giełdowym i kongresmenem przez cztery kadencje. Warren Buffett nie musiał więc pracować. Mimo to pierwsze własne pieniądze zarobił już jako sześciolatek. Swoją przygodę z inwestycjami giełdowymi zaczął już jako 11-latek. W tym wieku Warren Buffett pierwszy raz kupił akcje. Pierwsze zeznanie podatkowe musiał złożyć już jako 13-latek. Gdy wraz z rodzicami przeprowadził się do Waszyngtonu, dorabiał, roznosząc gazety. Jako 14-latek pierwszy raz zainwestował w nieruchomości: kupił 40-akrową działkę w Nebrasce, którą szybko wydzierżawił. Jednocześnie nie przestawał dorabiać. Sprzedając piłeczki golfowe i znaczki oraz wykonując proste usługi (np. mycie i polerowanie samochodów), zarabiał więcej niż niektórzy jego nauczyciele.

Jednocześnie jedna po drugiej chłonął książki ekonomiczne. Tytuł magistra nauk ekonomicznych zdobył w Columbia Business School, gdzie wykłady prowadził amerykański guru od inwestowania w wartość – Benjamin Graham. Dzięki udanym inwestycjom Warren Buffett szybko pomnożył swój majątek. Jeszcze

eprasa.pl 2c9e32c730

jako 21-latek miał zaledwie 20 tys. dol., a już w wieku 34 lat został milionerem. Na awans na kolejny poziom musiał poczekać nieco dłużej – miliarderem został bowiem jako 55-latek. W 2008 r. magazyn „Forbes” uznał go za najbogatszego człowieka globu. Obecnie „Mędrzec z Omaha” zajmuje piąte miejsce wśród najbogatszych ludzi świata: wyprzedzają go Elon Musk, Jeff Bezos, Mark Zuckerberg oraz Larry Ellison.

ZA DUŻO GOTÓWKI?

„Racjonalni ludzie nie ryzykują tego, co mają i czego potrzebują, dla czegoś, czego nie mają i czego nie potrzebują” – to jedna z wielu prawd znanego inwestora. Aby ułatwić innym unikanie nadmiernego ryzyka, stworzył nawet wskaźnik, nazywany oczywiście „wskaźnikiem Buffetta”. Zgodnie z nim im niższy jest wskaźnik poziomu wycen do wartości PKB, tym bardziej atrakcyjne są inwestycje w akcje. Wartość wskaźnika w okolicach 70–85 proc. oznacza, że rynek jest bardzo niedoważony. To właśnie jest ten moment, gdy wyceny są atrakcyjne i warto inwestować w akcje. Wskaźnik na poziomie ok. 200 proc. oznacza zaś znaczące przewartościowanie i igranie z ogniem. Jeśli bowiem wartość rynku akcji rośnie znacznie szybciej niż gospodarka jako taka, to może być to po prostu bańka.

Wskaźnik wydaje się prosty, ale zadziałał prawidłowo podczas tzw. bańki internetowej pod koniec XX w. Wówczas osiągnął 200 proc., a po gwałtownym krachu rozpoczęła się długa bessa.
– Inwestorzy mogli ten krach wypatrzyć z odległości kilometra – mówił później w wywiadach „Mędrzec z Omaha”. Jego wskaźnik wysyłał też sygnały ostrzegawcze przed krachem w roku 2021, a także w roku 2007. Niestety, banki centralne, dodrukowując na masową skalę pusty pieniądz, mogły nieco popsuć wskaźnik Buffetta. Na jego niekorzyść działa również to, że obecnie wiele amerykańskich korporacji osiąga przychody poza USA, co nie jest ujęte w statystykach ukazujących amerykańskie PKB. W 2024 r. rozgrzany do czerwoności wskaźnik Buffetta wysyłał silne sygnały ostrzegawcze. I chociaż po znaczącej korekcie za oceanem spadł, to legendarny inwestor zdążył sprzedać akcje o wartości ponad 134 mld dol. i zwiększył zapasy gotówki do rekordowych 334 mld dol.

– Co do gotówki, którą posiadamy, to wydalibyśmy 100 mld dol., gdyby zaoferowano nam coś, co ma dla nas sens i przy czym nie martwilibyśmy się o utratę pieniędzy – tłumaczył legendarny inwestor, zauważając, że inwestowanie w akcje tylko po to, aby pozbyć się gotówki, byłoby „najgłupszą decyzją na świecie”.

Z powodu trzymania w portfelu dużej ilości gotówki (choć w większości to nie gotówka, lecz amerykańskie papiery dłużne) słynny inwestor był na przestrzeni ostatnich dekad wielokrotnie oskarżany o to, że stracił nosa do inwestycji, „przestał być wyrocznią” i przesypia kolejną hossę. Bywały bowiem lata, gdy kierowany przez niego wehikuł inwestycyjny przyniósł inwestorom mniejsze zwroty niż indeks S&P 500. Buffett sam przyznaje, że popełnił wiele kosztownych błędów. Na przykład zbyt późno zainwestował w akcje Amazona i za długo czekał ze sprzedażą akcji spółki IBM. Sporo stracił też na kupnie udziałów w Dexter Shoe Co. – mniej więcej 3,5 mld dol. – To najgorszy interes, jakiego się podjąłem. I jako katastrofa finansowa zasługuje na miejsce w Księdze rekordów Guinnessa – przyznał Buffett kilkanaście lat temu.

„Racjonalni ludzie nie ryzykują tego, co mają i czego potrzebują, dla czegoś, czego nie mają i czego nie potrzebują” – to jedna z wielu prawd Warrena Buffetta

Inwestor dość późno pozbył się też akcji należących do niego dzienników drukowanych. Już podczas pandemii COVID-19 zainwestował ponad pół miliarda dolarów w akcje Barrick Gold, jednego z największych producentów złota na świecie, choć wcześniej znany był z niechęci do lokowania pieniędzy w królewski kruszec.

Wielu inwestorów ma mu za złe, że od lat traci okazje do gigantycznego zarobku, np. ignorując zupełnie możliwość spekulacji na bitcoinach i innych kryptowalutach. Warren Buffett w 2018 r. nazwał bitcoina „trutką na szczury do kwadratu”. – Kryptowaluty niczego nie dostarczają. Kiedy kupujesz nieproduktywne aktywa, możesz liczyć tylko na to, że następna osoba zapłaci więcej niż ty, bo jeszcze bardziej wierzy w to, że zaraz znajdzie się kolejny inwestor – tłumaczył, ostrzegając przed ryzykiem utraty zainwestowanego w kryptowaluty kapitału. Na razie to konserwatywne podejście kosztowało jednak udziałowców Berkshire Hathaway wiele utraconych okazji do szybkiego zarobku.

Buffett zawsze stawiał jednak bardzo wyraźną granicę między spekulowaniem a inwestowaniem.

Stery w swym wehikule inwestycyjnym odda więc pod koniec obecnego roku w ręce bardzo doświadczonego inwestora, który od wielu lat praktykuje u boku mistrza i zdobył już reputację skutecznego i przewidywalnego lidera. Od roku 2018 odpowiada za zarządzanie portfelem wszystkich spółek, które nie są związane z ubezpieczeniami.

Z pewnością nowy lider nie będzie ulegał młodzieńczej fantazji przy podejmowaniu decyzji o wyborze spółek, w które należy zainwestować miliony dolarów. Greg Abel obejmie bowiem stanowisko dyrektora generalnego Berkshire Hathaway w wieku 62 lat. Dorastający w robotniczej rodzinie Abel jako dziecko również dorabiał na różne sposoby: czyścił i sprzedawał szklane butelki, roznosił ulotki, pomagał przy przewozie drewna, a także pracował w firmie zajmującej się wymianą gaśnic. W 1984 r. z wyróżnieniem skończył studia z rachunkowości na Uniwersytecie Alberty w Edmonton w Kanadzie. Uzyskał licencję księgowego i rozpoczął pracę jako biegły rewident dla PwC. W latach 90. odnosił sukcesy w firmie CalEnergy, a następnie w MidAmerican Energy. Gdy Berkshire Hathaway kupiło akcje tej spółki, pokazał Warrenowi Buffettowi, że potrafi skutecznie inwestować. Czy unikający blasku fleszy skromny analityk zdoła w trudnych biznesowo czasach przekonać do siebie również inwestorów od lat ufających „Wyroczni z Omaha”? Największy udziałowiec, czyli Warren Buffett, mocno wierzy, że tak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

Z prof. dr. hab. inż. Ziemowitem Miłoszem Malechą z Wydziału Mechaniczno-Energetycznego Politechniki Wrocławskiej
rozmawia Tomasz Cukiernik

Niebotycznie drogie morskie farmy wiatrowe

TOMASZ CUKIERNIK: Dlaczego i przez kogo film „Odnawialne źródła pieniędzy", opowiadający o niszczeniu przyrody i śmierci ludzi w związku z wydobywaniem minerałów koniecznych do budowy odnawialnych źródeł energii, którego był pan współtwórcą, jest blokowany?

PROF. DR HAB. INŻ. ZIEMOWIT MIŁOSZ MALECHA: Najłatwiej byłoby powiedzieć, że jest blokowany przez lobby związane z energetyką odnawialną w Polsce. To lobby dotarło do nas z kilku stron. Film miał być już pokazywany kilka tygodni temu na Kanale Zero. Kanał już zapowiedział w swoich mediach społecznościowych, że puści film, i 30 minut przed projekcją został on zdjęty z jakimś lakonicznym wytłumaczeniem, że premiera została przesunięta w czasie. Wiemy, że krótko przed projekcją Kanał Zero otrzymał groźby pozwów sądowych z instytucji okołorządowych. Z kolei producent otrzymał wezwanie do zmian w filmie od Taurona. I to są instytucje, które prawdopodobnie wpłynęły na zatrzymanie filmu, ale te instytucje zapewne zostały popchnięte do tych działań przez lobby odnawialnych źródeł energii, w szczególności energetyki wiatrowej.

Co takiego strasznego jest w tym filmie, że pojawiły się tego typu zachowania?

Myślę, że główną rzeczą jest nawet nie to, że będąc w Kongo, pokazujemy całe zaplecze transformacji energetycznej, która wymaga gigantycznych nakładów minerałów, ale to, że w naszym filmie odnosimy się do hipotetycznej farmy wiatrowej na Bałtyku. Zaczynaliśmy nasz film w roku 2019 i wtedy jeszcze nie do końca było wiadomo, ile i jakie farmy będą budowane. Dla naszej modelowej morskiej farmy wiatrowej przyjęliśmy rzetelne założenia, aby pokazać, jaki jest koszt finansowy takiego przedsięwzięcia. Pokazujemy, jak wpływa to na całe otoczenie systemu energetycznego i – szerzej – na całe otoczenie gospodarcze oraz społeczne.

I co wam wyszło? Jakie są wnioski z tego eksperymentu?

Wnioski wyszły takie, że morska farma wiatrowa jest bardzo droga, nigdy się nie zwróci i stanowi bardzo duży problem dla systemu energetycznego. W naszym filmie zakładaliśmy, że koszty farmy wiatrowej będą na poziomie niecałych 4 mln dol. za zainstalowany megawat. Według różnych źródeł ta kwota na tamten czas taka właśnie była. Obecnie są dostępne opracowania, w których ta kwota mieści się w przedziale od 3,2 do 3,8 mln dol. dla płytkich akwenów morskich. Tymczasem farmy, które obecnie powstają na Bałtyku, zaliczanego do akwenów płytkich, będą kosztowały ok. 5 mln dol. za zainstalowany megawat, czyli znacznie więcej niż nawet to, co my założyliśmy w filmie. Czyli ten rzeczywisty obraz opłacalności ekonomicznej tego przedsięwzięcia stanął pod jeszcze większym znakiem zapytania. Ale my tak naprawdę w filmie uświadamiamy widzom, co to znaczy niestabilne źródło energii. Jakie wiążą się z tym problemy, za które płacimy my – jako odbiorcy końcowi. Społeczeństwo jest przekonywane, że energia wiatrowa jest za darmo, a tak naprawdę jest to bardzo duży koszt i ten koszt jest przerzucony na stabilne źródła wytwórcze, takie jak elektrownie węglowe. Czyli im więcej OZE, tym droższa energia elektryczna ze źródeł stabilnych z tego powodu, że te źródła stabilne muszą wziąć na siebie całą rzeszę problemów, które stwarza energetyka niestabilna. W rezultacie morskie farmy wiatrowe są droższe niż elektrownie jądrowe i nie ma w tych słowach przesady.

Można mówić o dwóch rodzajach kosztów: koszt budowy elektrowni w przeliczeniu na zainstalowany gigawat mocy i koszt wyprodukowania jednostki energii. Proszę porównać koszty wybudowania właśnie takiej farmy wiatrowej do kosztów wybudowania konwencjonalnych elektrowni na lądzie.

eprasa.pl 2c9e32c730

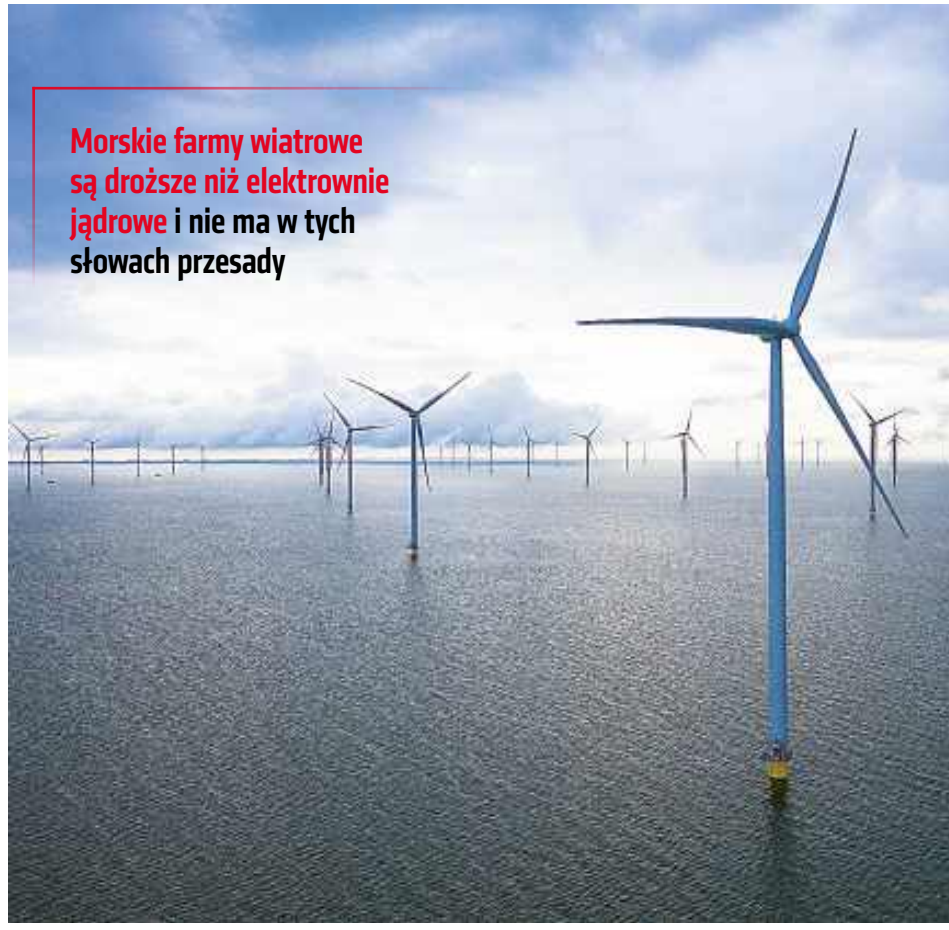

Morskie farmy wiatrowe są droższe niż elektrownie jądrowe i nie ma w tych słowach przesady

Skupmy się może na farmie Baltica 2, ponieważ pojawiły się oficjalne dane na temat jej kosztów, aczkolwiek inne farmy wiatrowe powstające na Bałtyku, a ma ich powstać ok. sześciu, nie odbiegają od tego przykładu. Farma Baltica 2 ma mieć moc zainstalowaną 1,5 GW i ma kosztować 30 mld zł. Jeżeli chcemy to realnie porównać do instalacji konwencjonalnych, to tak naprawdę musimy porównywać nie moc zainstalowaną, ale ilość energii, którą taka farma może nam dostarczyć w ciągu roku. Mówi się, że na Bałtyku dobrze wieje. Może i dobrze wieje, ale nie wieje cały czas. Są także innego rodzaju problemy, np. to, że poszczególne turbiny wiatrowe negatywnie na siebie wpływają, podbierając sobie energię wiatru. Są także inne czynniki wpływające na obniżenie produkcji energii, takie jak zabrudzenia czy erozja. Też tak uważam, a w literaturze można spotkać podobne oszacowania. Realistycznym założeniem jest przyjęcie, że współczynnik wykorzystania mocy takiej farmy wynosi ok. 45 proc. Oznacza to, że średnio w ciągu roku powinna ona wyprodukować 45 proc. tego, co mogłaby wyprodukować teoretycznie, wykorzystując całą swoją moc zainstalowaną. Energetyka konwencjonalna – czy to jest węgiel, gaz, atom czy biomasa – jest niezależna od warunków pogodowych i może działać cały czas. To oznacza, że półtoragigawatową morską farmę wiatrową należy porównać do konwencjonalnej elektrowni o mocy zainstalowanej ok. 0,7 GW, która efektywnie wyprodukuje tyle samo energii elektrycznej. Koszt budowy takiej elektrowni węglowej to ok. 5 mld zł, czyli sześć razy mniej! Oczywiście mamy koszt paliwa, ale ten koszt paliwa nie jest decydujący. Jeśli założymy, że farma wiatrowa na Bałtyku będzie pracowała przez 20 lat – a to jest rzetelne założenie, choć pojawiają się szacunki typu 25 lat, 30 lat, ale są one przesadzone, bo na morzu jest naprawdę trudne środowisko pracy – to suma nakładów inwestycyjnych i kosztów paliwa elektrowni węglowej będzie porównywalna z samymi kosztami inwestycyjnymi morskiej farmy wiatrowej.

Na dodatek elektrownia węglowa może działać i 60 lat.

Tak, oczywiście. Jeśli to weźmiemy pod uwagę, to już w ogóle porównanie wypada dla morskich farm wiatrowych bardzo słabo, bo w prostym rozumieniu możemy sobie to pomnożyć razy trzy i powiedzieć, że tak naprawdę to jest nie sześć razy tańsze, tylko 18 razy tańsze. Co jest jeszcze bardzo ważne w tym kontekście, to koszty operacyjne. Mówi się, że energia z wiatru jest za darmo, ale koszty operacyjne farmy wiatrowej na morzu są bardzo duże i wynoszą ponad 100 zł za wyprodukowaną megawatogodzinę energii.

Jakiego rodzaju to są koszty?

To są koszty eksploatacyjne związane z utrzymaniem i pracą urządzenia. Samo dotarcie do turbin ulokowanych na morzu jest utrudnione i nie zawsze możliwe. Dodatkowo turbiny znajdują się w znacznych odległościach od siebie. Jeżeli w elektrowni konwencjonalnej coś się dzieje albo należy wykonać jakąś naprawę, to wszystko jest na miejscu, możemy tam łatwo dotrzeć. W przypadku morskich farm tak nie jest. Musimy czekać na odpowiednią pogodę, kiedy będzie można tam dopłynąć. Koszty operacyjne turbin wiatrowych na morzu, które wynoszą ok. 100 zł za wyprodukowaną megawatogodzinę energii, de facto są porównywalne z kosztami operacyjnymi i kosztami paliwa elektrowni węglowej łącznie. Także wiele osób zadaje sobie pytanie: Jaki to ma sens? To nie jest wszystko. Musimy uzmysłowić sobie fakt, że podstawową funkcją systemu energetycznego jest dostarczanie w każdej chwili dokładnie takiej ilości energii, która jest aktualnie potrzebna. System musi być sterowalny oraz musi być przewidywalny. Jest to podstawą zdrowego systemu energetycznego, a farmy wiatrowe – zarówno te na lądzie, jak i te na morzu – czy ogólnie niestabilne źródła energii, które działają w zależności od tego, jaka jest pogoda, zaprzeczają tym podstawowym zasadom. To powoduje, że mamy kolejne koszty, którymi jest obciążany system energetyczny. Istniejące regulacje powodują, że tymi kosztami obciążony jest kupujący, a nie właściciele niestabilnych farm wiatrowych czy fotowoltaicznych. Te dodatkowe koszty to dublowanie infrastruktury i utrzymy-

eprasa.pl 2c9e32c730

FOT. ADOBE STOCK

wanie jej w pełnej gotowości, nawet gdy ona nie pracuje, oraz wymuszanie nieoptymalnej pracy na pozostałych elektrowniach. Ceny podnosi jeszcze fakt, że sieci przesyłowe są niedostosowane do takiej pracy, i tak naprawdę konieczne gigantyczne inwestycje w sieci przesyłowe są w dużej części wymuszone przez niestabilne źródła energii. Jeszcze należy dodać magazyny energii, które są bardzo dużym kosztem i są nieodzowne w kontekście niestabilnych źródeł energii. Magazyny i niestabilne źródła należy postrzegać jako jedną całość, tak jak jest to w przypadku elektrowni węglowej i kopalni węgla. Wydobywamy węgiel, spalamy węgiel w elektrowni, elektrownia dostarcza energii dla nas, dla przemysłu, ale dostarcza też energii dla tej kopalni. Ponieważ niestabilne źródła energii nie mogą funkcjonować bez magazynów energii, to powinno być tego samego typu rozumowanie.

Dochodzi więc kolejny dodatkowy koszt budowy tych magazynów tylko dlatego, że to jest źródło niestabilne.

Oczywiście, że tak. Potrzebujemy pewnej liczby magazynów energii w sieci, tak jak teraz mamy magazyny szczytowo-pompowe, ale jest ich stosunkowo niewiele. One są coraz bardziej niewystarczające w obecnej sytuacji, bo były przewidziane na warunki panujące 15 czy 20 lat temu. Dzieje się tak, bo już spora liczba niestabilnych odnawialnych źródeł energii została dołączona do sieci i ta sieć na tym bardzo cierpi. Ale jak dołączamy kolejne zapowiadane ilości niestabilnych źródeł, to tych magazynów musi powstawać znacznie więcej. Koszt za te magazyny powinien być włączony w 100 proc. w budżet budowy odnawialnych źródeł energii. Inwestor stawiający farmę wiatrową powinien zapłacić także za magazyn energii, który będzie kompensował niestabilną pracę tej instalacji. W konsekwencji koszty takiej inwestycji poszybowałyby znacząco do góry, co postawiłoby ją pod sporym znakiem zapytania.

Ale ten inwestor, który buduje farmy wiatrowe na morzu, właściwie z własnej kieszeni również powinien wybudować tę dodatkową infrastrukturę przesyłową, bo przecież to jest dla niego. A to jest przerzucane na cały system.

Dodatkowo powinien nawet wybudować elektrownie dublujące. Jeżeli stawia się farmę morską o mocy 1,5 GW, to powinny być równolegle wybudowane odpowiednia liczba magazynów i elektrownia gazowa czy gazowo-parowa, która szybko reaguje na zmiany produkcji przez farmę wiatrową. Moc zainstalowana elektrowni dublującej powinna wynosić ok. 50 proc. mocy farmy wiatrowej. Musi to być więc dosyć duża jednostka.

Okazuje się, że właściwie bez tych wszystkich bezpośrednich i ukrytych dotacji farmy wiatrowe w ogóle by nie powstały, co daje przykład z Niemiec. Po 15 latach działania, a 10 lat przed czasem Niemcy zamykają pierwszą morską farmę wiatrową na Morzu Północnym Alfa Ventus tylko dlatego, że niemiecki rząd zakończył subsydiowanie.

To też mnie nie dziwi, aczkolwiek to była jedna z pierwszych farm wiatrowych na morzu, a pierwsza zawsze ma jakieś swoje trudności technologiczne i eksploatacyjne. Wygląda na to, że produkcja energii z tej farmy była przeszacowana. Może okazało się, że założono pewne parametry pracy zbyt optymistycznie, które potem urealniła rzeczywistość. Ale oczywiście bez dotacji to się w ogóle nie spina.

Ile tak naprawdę podatnicy, a także konsumenci energii dokładają razem do całego tego interesu wiatrakowego?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć w sposób bezpośredni na to pytanie. To nie jest takie łatwe, ale przynajmniej połowa ceny energii elektrycznej, a może więcej niż połowa, jest wymuszona przez zieloną transformację. Te koszty są nie tylko w rachunkach za energię elektryczną. Są rozłożone w tak skomplikowany sposób, że trudno się do tego ustosunkować.

Czyli gdyby nie było tych wszystkich dotacji i podatnicy oraz konsumenci energii nie musieli za to wszystko dodatkowo płacić i gdybyśmy mieli normalny rynek energii, to właściciel farmy wiatrowej musiałby sprzedawać energię po cenie wielokrotnie wyższej niż konkurencja produkująca energię w sposób konwencjonalny.

Tak, ale po to właśnie powstał Europejski System Handlu Emisjami (ETS), żeby zawyżyć ceny energii elektrycznej ze źródeł konwencjonalnych, żeby je w sposób sztuczny zrównać albo przynajmniej na tyle zawyżyć, aby ta niestabilna energetyka mogła w jakiś sposób pokazać, że produkuje trochę taniej. Anulujmy ETS, a cała niestabilna odnawialna energetyka upadnie.

No, ale mówi się, że trzeba ratować klimat...

To nie ma nic wspólnego z ochroną klimatu. ETS to jest wehikuł, który miał zmusić takie państwa jak Polska do gigantycznych inwestycji i wysiłku, aby tak naprawdę konsumować niemiecką technologię i transferować duże środki do gospodarek Europy Zachodniej. Polska wartość dodana jest tutaj bardzo mała. Jeżeli decydenci w Unii Europejskiej naprawdę martwiliby się o zmiany klimatu, to postawiliby na rozwój energetyki jądrowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Film „Odnawialne źródła pieniędzy" jest dostępny bezpłatnie na YouTube.

prof. dr hab. inż. Ziemowit Miłosz Malecha *– badacz w dyscyplinie inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka, profesor Politechniki Wrocławskiej na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym.*

eprasa.pl 2c9e32c730

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Sędziowie, jak się bawicie?

Jak wiadomo – zwłaszcza tym, którzy mieli do czynienia z polskim wymiarem sprawiedliwości – sędziowie to jedna z najbardziej rozleniwionych grup zawodowych w Polsce, jeśli nie wprost najbardziej rozleniwiona. Tym bardziej że sędziowie chyba jako jedyni nie mają żadnej prywatnej konkurencji, nawet bowiem pracę policjanta można porównać z pracą prywatnie wynajętego ochroniarza, a pracę żołnierza z pracą najemnika. A sędzia to sędzia – to jedyny pan i władca wymiaru sprawiedliwości.

No i otóż ci rozleniwieni brakiem konkurencji sędziowie z każdym rokiem pracują coraz wolniej i wolniej, a zarabiają oczywiście coraz więcej i więcej. Nie było bowiem w historii III RP chyba ani jednego roku, który przyniósłby choć niewielkie przyspieszenie tempa pracy sędziów – wszystkie przynosiły spowolnienie. I oczywiście nie było w historii III RP ani jednego roku, który nie przyniósłby wzrostu ich pensji.

Rzecz jasna, wymówek dla swego nieróbstwa sędziowie zawsze potrafią znaleźć co niemiara; teraz – jak wiadomo – są nimi głównie tzw. neosędziowie, których jest już ok. 3 tys. (na ok. 10 tys. wszystkich sędziów) i na których poręcznie jest dziś zwalać winę za przeciągającą się drogę do prawomocnego wyroku. Wcześniej nie było jednak tzw. neosędziów, a droga ta wydłużała się podobnie szybko. Spójrzmy na dane z ostatnich lat. Jak dowodzi „Rzeczpospolita", „średni czas postępowań jest prawie dwa razy dłuższy niż 15 lat temu". No, Panie i Panowie Sędziowie, brawo! Tym bardziej że za to swoje dwa razy większe nieróbstwo każecie sobie płacić pewnie już co najmniej dwa razy więcej niż przed 15 laty!

W szczegółach wygląda to tak: w 2024 r., po wydłużeniu się po raz kolejny czasu oczekiwania na wyrok sądu pierwszej instancji, trzeba było nań czekać już aż 12,9 miesiąca. Dla porównania: w 2023 r. – 11,3 miesiąca, w 2019 r. – 9,5 miesiąca, a w 2011 r. – 7,6 miesiąca. Jak zaznaczono w „Rz", „mowa o sprawach cywilnych procesowych, czyli np. gospodarczych, spadkowych, rodzinnych czy pracy. Ich czas – pomimo kolejnych reform – nieustannie się wydłuża. A przecież celem większości z nich było przyspieszenie rozpoznawania spraw". A, jak wiadomo, od wyroku pierwszej instancji do wyroku prawomocnego droga zwykle jeszcze długa, cały proces ciągnie się więc całymi latami.

Ale daję sobie uciąć rękę, choć takich badań chyba nikt nie przeprowadził, że gdy w grę wchodzi sądowa sprawa kogoś z sędziowskiej rodziny, to młyny te mielą nieporównanie szybciej... Prawda, kasto (sędziowska) nad kastami?

Dlatego pytam: Panie i Panowie Sędziowie – dobrze się Państwo bawią za nasze pieniądze? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

BBC propagandową jaczejką

Strach mieszkać w Polsce" – tak niektóre polskie media relacjonowały w ubiegłym tygodniu materiał, który ukazał się na portalu BBC. Opowiadał o tym, jak zmieniły się nastroje wokół przebywających w naszym kraju ukraińskich uchodźców i co to dla nich oznacza.

Lektura źródłowego reportażu sprawia przykre wrażenie, ale nie z powodu rzekomej wrogości okazywanej Ukraińcom przez Polaków, lecz z powodu skrajnej nierzetelności stacji cieszącej się już od dawna niezasłużenie marką dziennikarskiego wzorca.

Po pierwsze – Sławomir Mentzen opisywany jest w tekście jako przedstawiciel „skrajnej populistycznej prawicy". Określenie „skrajny populista" nigdy nie pojawia się w kontekście polityków lewicowych, choć spokojnie można by je zastosować wobec Zandberga czy Biejat. Ich poglądy w tekście także się nie pojawiają, a szkoda, bo odgrywają w tej sprawie również rolę.

Jest też mowa o tym, że Mentzen wspiera „porozumienie z Władimirem Putinem". Nie sprecyzowano, o jakie porozumienie chodzi.

Po drugie – w roli eksperta występuje Natalia Panczenko, ukraińska aktywistka znana z zawoalowanych gróźb kierowanych pod adresem Polaków. Kilka miesięcy temu zapowiadała, że jeśli Ukraińcy źle się w Polsce poczują, to może się to skończyć kłopotami z ukraińską mniejszością.

Innym „ekspertem" przepytanym przez brytyjskie medium jest Marek Michał, jeden z najbardziej szkodliwych i fanatycznych tropicieli „ruskich onuc", który w każdej niewystarczająco proukraińskiej wypowiedzi widzi „rosyjską narrację".

BBC nie pofatygowało się, aby o przyczyny zmieniających się nastrojów spytać któregoś z naukowców prowadzących w tej dziedzinie badania – czy to dr. Roberta Staniszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, czy prof. Piotra Długosza z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie ma w tekście ani słowa o tym, co pokazują opracowania obu naukowców – że największy sprzeciw wśród Polaków budzą wciąż nieograniczone uprawnienia socjalne dla Ukraińców, ale że zarazem zdecydowana większość opowiada się za przyjmowaniem do polskich szkół ukraińskich dzieci. Choć jest przy tym przeciwna nauczaniu ich według ukraińskiego programu.

BBC już od dawna nie jest wzorcem z Sèvres dziennikarskiej rzetelności. W tym konkretnym wypadku jawi się zaś wprost jako propagandowa jaczejka. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK UŚMIERCIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

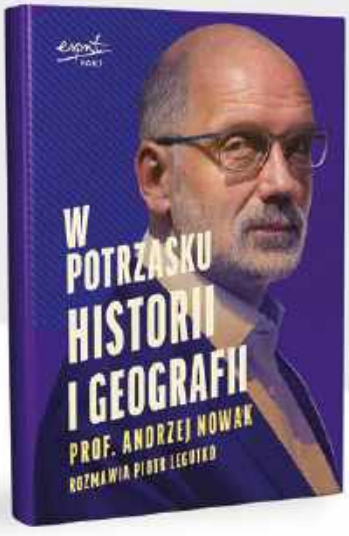

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PROF. ANDRZEJ NOWAK, ROZMAWIA PIOTR LEGUTKO: „W POTRZASKU HISTORII I GEOGRAFII"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~945~~ZŁ

468,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 475 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2c9e32c730

Joanna Bojańczyk

Niepotrzebna pani domu

Nowe wcielenie księżnej Sussex – teraz w sielankowej scenerii rezydencji w Kalifornii. Ubrana w nieskazitelne ciuchy gotuje, robi konfitury, piecze ciasteczka... dla psów. Na serialu „Z miłością, Meghan" zachodnie media nie zostawiły suchej nitki: „Ćwiczenia z narcyzmu", „całkiem niepotrzebny", „irytujący"

Serial „Z miłością, Meghan" – idylla w luksusowym entourage'u – trwa cztery godziny, w czasie których trzeba się szczypać, żeby nie zasnąć FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Miejsce: rezydencja pary książęcej Sussex w Montecito, Kalifornia. Scena pierwsza: księżna w towarzystwie pszczelarza (młodego i przystojnego) wybiera miód z ula. Oboje ubrani na biało, w białych pszczelarskich kapeluszach z siatką. – Czuję dobre wibracje – mówi pani Markle, z uśmiechem oganiając się od pszczół. – W tym roku zbiory są świetne.

Scena druga: uśmiechnięta Meghan w dżinsach i białej koszuli, z naręczem świeżo zerwanych kwiatów, ukazuje się w drzwiach prowadzących z ogrodu do obszernej białej kuchni. – Uwielbiam przygotowywać pokój gościnny. To, co będzie przy łóżku, zdefiniuje moment zaśnięcia. A co czeka w łazience, sprawi, że mój gość będzie mógł wziąć cudną kąpiel na koniec dnia. Kąpiel pani Sussex przygotowuje osobiście: sól Epsom, płatki magnezowe (relaksują), olejek z arniki, różowa sól himalajska, lawenda (na dobry sen). Pąki róży w osobnym woreczku, żeby nie zatkały odpływu.

Za chwilę dowiadujemy się, że gościem państwa Sussex będzie Daniel Martin, ich znajomy od lat, makijażysta gwiazd.

Serial „Z miłością, Meghan" – idylla w luksusowym entourage'u – trwa cztery godziny, w czasie których trzeba się szczypać, żeby nie zasnąć. Oglądając sielankowe sceny (żadna nie została nakręcona w tej kuchni – jako studio służył pobliski dom) z synową króla Karola III, gotującą, majsterkującą i planującą pod-

eprasa.pl 2c9e32c730

wieczorki z herbatą, człowiek zastanawia się, jak można tak nisko upaść.

FEMINISTKA W FARTUSZKU

Jeszcze nie tak dawno księżna była ikoną feministek. Ona, pierwsza niebiała kobieta, która poślubiła brytyjskiego księcia. Ona, która w wieku 11 lat napisała list do Hillary Clinton, wtedy pierwszej damy, prosząc o wycofanie reklamy płynu do zmywania naczyń, który uważała za dyskryminujący kobiety. Ten epizod z dzieciństwa stał się mitem założycielskim jej przyszłej feministycznej legendy.

A tu, proszę, widzimy ją w nieskazitelnie białym fartuszku, uwijającą się radośnie wokół kuchennego stołu, wokół grono przyjaciół, których ogarnia entuzjazm na każdą czynność. W menu: sałatki, makarony, desery, wypieki, konfitury, nawet ciasteczka dla psów (spersonalizowane). Czyżby pani Sussex wpisała się w nowy, antyfeministyczny ruch tradwife, który głosi powrót kobiety do domu?

Książę Harry ukazuje się tylko na chwilę, w ostatnim odcinku. Gratulując żonie przygotowania wspaniałego posiłku, całuje ją w czoło i mówi: „Jestem z ciebie dumny". Ona sama świetnie czuje się w roli pani domu, której celem jest uprzyjemnianie życia domownikom i gościom. „Największy komplement dla mnie to kiedy gość mówi, że spał jak dziecko". I jeszcze: „Nie chodzi mi o bycie perfekcyjną, chodzi mi o przyjemność".

Być może nie każda kobieta mogłaby to osiągnąć, kręcąc się w pośpiechu po kuchni w codziennym T-shircie. Ale ona jest księżną, która garderobę zmienia co najmniej pięć razy na odcinek. Cała w beżach, bielach, lnach i jedwabiach – idealna modelka stylu quiet luxury. Całość ubrań serialu wyceniono na 155 tys. euro.

NAZYWAM SIĘ SUSSEX

Kiedy program się pojawił, ci, którzy od dawna krytykowali Meghan jako członkinię brytyjskiej rodziny królewskiej, mogli teraz oceniać ją jako żonę, matkę, kucharkę, dekoratorkę i gospodynię. I nie zostawili na niej suchej nitki. „Przesłodzona, sztuczna, nieszczera i nieinspirująca". Suchej nitki nie zostawiono także na trendzie tradwife gloryfikującym „kobiecą pracę". Karmienie kur i przygotowywanie codziennych posiłków dla rodziny to czynności, do których wiele kobiet nie ma ochoty wracać.

Równie niepochlebne były recenzje prasowe tej produkcji. „Daily Telegraph" pisze, że to ćwiczenia z narcyzmu. „Times" nazywa serial „niewiele wartą podróżą ego". „Odeszła mi ochota na życie, gdy obejrzałam odcinek, w którym robi się kostki lodu" – komentuje Rebecca English, szanowana nawet przez otoczenie króla dziennikarka „Daily Mail". Zawiedziony jest nawet „Guardian", który wcześniej pisał o księciu i jego małżonce na ogół życzliwie: „Brak poczucia humoru, ironii, brak wyczucia samej siebie i rzeczywistości sprawiają, że tego serialu nie da się oglądać". Francuski tygodnik „Paris Match" na okładce: „Meghan Markle zalicza wpadkę za wpadką".

I na dodatek ci wszyscy złośliwcy nie chcą nazywać jej Sussex, co przecież należy się jej jak psu miska. W którymś odcinku księżna prostuje przyjaciółkę Mindy Kaling, aktorkę „The Office": „To zabawne, że cały czas mówisz Meghan Markle. Wiesz, że teraz nazywam się Sussex".

Anglicy wciąż zastanawiają się, jak właściwie nazywa się żona księcia Harry'ego. Mountbatten Windsor – mówią specjaliści. I właściwie można by przyznać pani Meghan rację, że chce używać tytułu księżnej. Jednakże jak na kogoś, kto całkowicie odciął się od obowiązków związanych z tytułem, takie żądanie wydaje się niestosowne.

ACH, GUACAMOLE!

Wszystko tu na kilometr jedzie sztucznością. Od pierwszej sceny z ulami – doprawdy pani Markle musiała bardzo ukrywać pasję do pszczelarstwa, bo jakoś nikt nie był jej świadomy. Natomiast wiadomo było, że od dawna pasjonatem apikultury są król Karol i jego synowa Kate.

Czym najlepiej zjednuje się sympatię publiczności? Oczywiście obcowaniem z przyrodą, która nikomu nie czyni nic złego, a wszystkim dużo dobrego. Przez całe cztery odcinki pani Meghan krąży między pięknym zadbanym ogrodem i domem. Przynosi bukiety kwiatów, warzywa, które doda do makaronu, owoce na konfitury, nawet wosk, z którego zrobi domowej roboty świece. Wpada w euforię nad miską guacamole, dania posypuje płatkami kwiatów – nie trzeba przypominać, że świeżo zebranymi w ogrodzie.

Niektóre odcinki przedstawiają Meghan jako skromną uczennicę amerykańskich szefów kuchni, Alice Waters i Roy Choi. W innych odgrywa rolę instruktorki, która pokazuje proste przepisy i porady, oczekując aplauzu od przyjaciół. Gdy podaje im surową rybę lub wiąże kokardę na torbie prezentowej z preclami nadziewanymi masłem orzechowym, internauci pękają ze śmiechu.

Żeby nastrój był jeszcze lepszy, operacjom kuchennym towarzyszy subtelny dodatek: kieliszek szampana jest obecny na stole, poczynając od śniadania, gdzie pije się go „przełamanego" sokiem pomarańczowym.

Entuzjazm gości jako reakcja na każdą czynność eleganckiej pani domu jest nienaturalny. Rozmowy z przyjaciółką z Argentyny, podczas których panie dzielą się wrażeniami z rozrywek w klubie polo, brzmią zawstydzająco infantylnie. Podobnie jak zwierzenia w rodzaju: „Jeszcze niedawno bałam się piec kurczaka". Nabożeństwo, z jakim Meghan zawiązuje kokardę na słoiku z psimi ciasteczkami, budzi skojarzenia z Marią Antoniną, która zawiązywała owieczkom kokardy na szyjach. Porównanie do francuskiej monarchini często pojawia się w komentarzach internetowych.

„W czasach, kiedy tylu ludzi ma kłopoty ekonomiczne, nie widzę powodu, dla którego powstaje program, w którym gwiazda w nieskazitelnie białym stroju udziela rad" – skomentował Hugo Vickers, dziennikarz związany z kręgiem rodziny królewskiej.

Oskarżeń o plagiat nie było, ale wielu internautów wytknęło, że przepisy Meghan są skopiowane z TikToka i Pinterest. Porady pielęgnacji urody rzucane tu i ówdzie spotkały się z krytyką fachowców.

KONFITURY SPRZEDAM

To wszystko teoretycznie nie przysparza reklamy linii produktów, które księżna wypuściła na rynek prawie równolegle z premierą serialu. Mało odkrywczy pomysł, bo jeśli chodzi o kulinarne gwiazdy, to każda dyskontuje popularność sprzedażą naczyń, garnków, konfitur. Jamie Oliver, Nigella Lawson,

eprasa.pl 2c9e32c730

Meghan zapowiedziała, że otworzy sklep, w którym będzie można kupić ubrania, w których pokazuje się na ekranie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Martha Stewart – każdy z nich ma własną linię przyrządów kuchennych. Wiadomo – nazwisko sprzedaje.

Premierę produktów Meghan zapowiadano już od wiosny 2024 r., ale datę wciąż przesuwano. Być może miało to związek ze zmianą nazwy, bo tu pojawił się kłopot. Najpierw firma pani Sussex miała się nazywać American Riviera Orchard, jednak nazwę zakwestionowało amerykańskie biuro nazw i marek. Zmieniono ją zatem na As Ever. Z logo również powstał problem – okazało się prawie identyczne jak herb miasteczka Porreres na Majorce: palma i dwa ptaki, podobne do jaskółek. Miasteczko nie zgłosiło pretensji, być może uznając, że ten ewidentny plagiat przyczyni się do jego promocji. Burmistrz nawet zaprosił księżną, aby przyjechała i poznała miejsce. Z zaproszenia nie skorzystała.

Zajęta była reklamowaniem swoich produktów, jeszcze zanim weszły na rynek. Sprzedaż As Ever ruszyła 2 kwietnia. Pierwsza kolekcja udostępniona na stronie AsEver.com obejmowała osiem produktów: konfiturę malinową, miód, herbaty ziołowe, mieszanki do wypieków. Ceny od 12 do 15 dol. Wszystkie produkty sprzedały się w ciągu godziny od premiery, miód zniknął w pięć minut. Dżemy, ku rozpaczy autorki, oznaczono jako „owocowe smarowidła" z powodu przepisów Federalnego Urzędu do spraw Leków.

„Odzyskałam kreatywność, której tak bardzo mi brakowało" – mówi pani Markle. Serial nie jest dla niej debiutem w tematyce lifestyle'owej. Zawsze interesowała się programami kulinarnymi; w roku 2014 wystartowała z blogiem „The Tig", który opowiadał o podróżach, jedzeniu, wellness. Prowadząc tamten blog, zabierała głos w sprawach społecznych, broniła praw kobiet. Jednak zamknęła go trzy lata później, gdy sprawy z Harrym weszły w kulminacyjną fazę (ślub był w roku 2018).

Znajomi mówią, że zawsze chciała być słynną gwiazdą kulinarną, taką jak Gordon Ramsay. Zasięgała w tej sprawie nawet rad specjalistów od public relations. Czy mogła nie wiedzieć, że nie jest zwykłą, anonimową blogerką ani nawet aktorką komercyjnego serialu telewizyjnego, ale członkiem rodziny królewskiej dużego europejskiego kraju?

Droga od skromnego środowiska, w którym przyszła na świat w Los Angeles w roku 1981, nauczyła ją ogłady towarzyskiej wyższych sfer, a także uporu w realizowaniu własnych celów. Rodzice – Doria Ragland, instruktorka jogi, i Thomas Markle, kamerzysta i oświetleniowiec – rozwiedli się, gdy córeczka miała sześć lat. Dzieckiem zajmowały się Doria i babcia Jeanette.

Dla Jeanette, tak jak dla wielu czarnoskórych kobiet tamtych czasów, umiejętności kulinarne i ogrodnicze były czymś oczywistym. W dzielnicy Crenshaw, gdzie mieszkała, uprawiała jarmuż i pomidory, piekła ciasteczka, gotowała na jednej żeliwnej patelni. („Tak bym chciała mieć tę patelnię" – powie po latach wnuczka). Meghan lubiła te seanse gotowania, ale jako dziecko rozwiedzionych rodziców z kluczem na szyi uwielbiała także fast foody. W domu oglądała pasjami programy kulinarne w Food Network.

Praca pani Ragland jako agentki turystycznej oznaczała, że obie często wyjeżdżały na weekendy. Wtedy jadły meksykańskie i jamajskie jedzenie w barach, szukały tajskich restauracji.

Już jako uczennica prywatnego liceum katolickiego Meghan pracowała w sklepie, w ciastkarni, jako kelnerka i wolontariuszka w kuchni z darmową zupą. Po pierwszym roku studiów na Northwestern University wuj polecił ją do pracy w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Buenos Aires. Jednak na egzaminie Foreign Office nie uzyskała wymaganej liczby punktów i z pracy nic nie wyszło. Na studiach gotowała dla przyjaciół, wtedy było to sympatyczne hobby, bardziej rozrywka niż obowiązek. Teraz Meghan Markle prezentuje się jako pełnoformatowa pani domu.

Dwa lata temu, przybywając do Kalifornii na dobrowolną separację od dworu, miała poważne plany. Kariera polityczna? Czemu nie? Widziano ją w Kongresie, może w Białym Domu.

Ale nic nie poszło zgodnie z przewidywaniami. Zaliczała wpadkę za wpadką, a jej popularność w Ameryce spadała. Według sondażu agencji Redfield i Wilton dla tygodnika „Newsweek" w roku 2024 tylko 36 proc. Amerykanów miało dobrą opinię o rodaczce.

Następnego dnia po premierze serialu „From Meghan with love" „Daily Mail" napisał: „Ta produkcja jest tak niepotrzebna, że może doprowadzić do zerwania Sussexów z Netflixem". Kilka dni po emisji serial był na 10. miejscu oglądalności w Stanach, na siódmym w Wielkiej Brytanii, we Francji nie wzbudził zainteresowania. W Polsce „Z miłością, Meghan" zadebiutował w marcu, ale dokładnych danych dotyczących oglądalności Netflix nie podaje. Ocena publiczności –3.1/5 punktów. „Inspirujący, nowatorski serial lifestyle'owy" – to zajawka.

Mimo tego drugi sezon podobno jest gotowy i czeka w pudełkach. Kiedy będzie emisja, nie wiadomo.

Główna bohaterka zapowiedziała również, że będzie prowadzić nowy podcast „Confessions of a Female Founder". Otworzy także sklep ShopMy, gdzie będzie można kupować ubrania, w których pokazuje się na ekranie.

Ze swojej strony Meghan przyznała, że w serialu zrobiła kilka błędów, ale białego fartuszka nie zdejmuje.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2c9e32c730

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 2c9e32c730

HYUNDAI SANTA FE

FOT. JAP

Flagowy model w ofercie Koreańczyków przyciąga wzrok przechodniów nie tylko dlatego, że odrysowany od linijki rodzinny SUV jest ogromny (jego wymiary to 483 cm długości, 190 cm szerokości oraz 177 cm wysokości). Masywny Santa Fe piątej generacji kusi również charakterystycznymi światłami w kształcie litery „H" (z przodu i z tyłu) oraz zadziornym wzorem osłony chłodnicy. Boczna linia nadwozia nawiązuje zaś do starych, dobrych terenówek Land Rovera. Innymi słowy: to idealny samochód dla ekstrawertyków, którzy lubią wyróżniać się zarówno na drodze, jak i na parkingu. Producent chwali się też, że piąta generacja jest jeszcze bezpieczniejsza (wytrzymałość nadwozia ma być o 4,5 proc. większa niż w generacji czwartej).

Ergonomicznie zaprojektowane wnętrze jest przestronne i może pomieścić – w zależności od wersji – od pięciu do siedmiu osób. Najważniejszym elementem deski rozdzielczej jest zakrzywiony wyświetlacz panoramiczny. Składają się na niego dwa ekrany: 12,3-calowy dotykowy wyświetlacz systemu infotainment oraz 12,3-calowy zestaw cyfrowych wskaźników. Do dyspozycji jest też trzeci ekran dotykowy, tym razem o wielkości 6,6 cala, który służy do sterowania klimatyzacją.

Na szczęście koreański producent zostawił też przyciski i pokrętła, dzięki czemu jest jednocześnie praktycznie i nowocześnie (na liście wyposażenia znajduje się m.in. bezprzewodowa ładowarka, bezprzewodowa obsługa systemów Android Auto oraz Apple CarPlay, a także system Bluelink, który umożliwia sprawdzanie poziomu paliwa czy blokowanie drzwi z poziomu aplikacji na smartfonie). W wersji pięcioosobowej kufer ma aż 711 l pojemności. Po złożeniu tylnych oparć (można to zrobić szybko i łatwo za pomocą przycisku) bagażnik powiększa się do 2032 l. Jak na rodzinne auto przystało, we wnętrzu nie brakuje też praktycznych schowków, półek etc.

Auto świetnie się sprawdza w długich trasach: jest komfortowe, elegancko wykończone i świetnie wyciszone. Pod maską pracuje silnik 1.6 T-GDI wspierany przez silniczek elektryczny współpracujący z akumulatorem o pojemności 1,49 kWh. Hybrydowy napęd może mieć moc 215 KM (w testowanym egzemplarzu) lub 253 KM (w droższej wersji z hybrydą typu plug-in, oferowanej wyłącznie z napędem na cztery koła). Rodzinny SUV prowadzi się pewnie, choć konkurencja oferuje modele dające nieco więcej frajdy z jazdy. Miłe zaskoczenie czeka nas za to na stacji paliw. Średni wynik podczas testu w mieście, na trasie i na autostradzie wyniósł zaledwie 7,3 l/100 km.

Ceny wersji pięcioosobowej z rocznika 2025 zaczynają się od 209,9 tys. zł w najtańszej wersji wyposażenia. Wersja Executive kosztuje 246,9 tys. zł, a Platinum 272,9 tys. zł. Wariant siedmioosobowy to wydatek co najmniej 277,9 tys. zł, a za sześcioosobowy trzeba zapłacić 292,2 tys. zł. ©℗

SMARTFON REALME 14 5G

Ciekawe wzornictwo, dobry wyświetlacz, potężna bateria, stopień ochrony IP69 oraz głośniczki stereo – to największe zalety najnowszego budżetowego smartfona chińskiej marki realme.

Ta premiera to kolejny dowód na to, że Chińczycy potrafią atrakcyjnie zaprojektować telefon. Model realme 14 5G w testowanej wersji srebrnej – z namalowanymi gamingowymi akcentami – spodobać powinien się więc zwłaszcza mniej zamożnym nastoletnim graczom. Docenić go mogą również ci dorośli, którzy chcą, aby ich smartfon choć trochę odróżniał się od większości innych modeli. Ogromną zaletą tego modelu jest odporność na pył i wodę (producent określił ją na poziomie IP69). Na pochwałę zasługuje też wyświetlacz AMOLED FullHD+ (1080 x 2400) z odświeżaniem na poziomie 120 Hz o wielkości 6,67 cala.

Sercem urządzenia jest procesor Qualcomm Snapdragon 6 Gen4, który w zależności od wariantu współpracuje z 12 GB lub 8 GB pamięci RAM (wersję słabszą radziłbym sobie odpuścić). Taki procesor to kolejny ukłon producenta w stronę mobilnych graczy. Przed przegrzaniem smartfona chroni bioniczny system chłodzenia z komorą parową o powierzchni 6050 mm2. Efekt? Aplikacje odpalają się i działają płynnie (a do testów dostałem wersję z 8 GB RAM).

Smartfon pozwala też trochę pograć, choć trzeba pamiętać, że to budżetowy model, więc na rekordową wydajność liczyć nie można. W skali od 1 do 5 wydajność realme 14 5G i zasługuje na trójkę z plusem.

Solidną czwórkę z plusem mogę zaś dać baterii o pojemności 6000 mAh. Przy intensywnym użytkowaniu pozwala ona na cały dzień pracy na jednym ładowaniu, a przeciętny użytkownik, który głównie dzwoni, surfuje po Internecie i zabija czas w mediach społecznościowych, po ładowarkę powinien sięgać raz na dwa dni. Model 14 5G jest już też uzbrojony w technologię SuperVOOC 45 W, która pozwala na zastrzyk energii w dość krótkim czasie. Ładowarki w zestawie brak. Pochwalić można również głośniczki stereo i dobrze działający czytnik linii papilarnych.

Największą wadą jest przeciętna jakość zdjęć. Rozdzielczość to 50 MP, jest też optyczna stabilizacja obrazu (OIS), dzięki której fotografie wykonywane 14 5G w dobrym oświetleniu wyglądają dobrze. Jakość zdjęć robionych w nocy mocno jednak rozczarowuje.

Mimo to stosunek ceny do jakości jest dobry. Zwłaszcza w maju, gdy w promocji wariant z 12 GB pamięci RAM kosztuje 1299 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 2c9e32c730

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Chmielnicki pod Zamościem

W Zamościu znajdowały się przynajmniej dwie pamiątki po oblężeniu twierdzy przez wojska kozacko-tatarskie w 1648 r. Pierwszą był cmentarz tatarski, który zlikwidowano w latach 50., położony być może przy dzisiejszej ulicy kard. Stefana Wyszyńskiego, nieopodal cerkwi pw. św. Mikołaja. Drugim jest dziwny obelisk przy ulicy Lwowskiej (niedaleko od skrzyżowania z ulicą Tatarską) pozostawiony rzekomo przez Ordę; choć być może jest to tylko dawny kamień wyznaczający granicę miasta.

Trzecim miał być rzekomy grobowiec Bohdana Chmielnickiego (sic!), nad rzeką Wieprzec, co jednak można włożyć między bajki, ponieważ kozacki hetman zmarł 6 sierpnia 1657 r. w Czehryniu, podczas gdy Bazyli Rudomicz, rektor Akademii Zamoyskiej, pisał, że umarł on w maju tamtego roku pod Zamościem i został tutaj pochowany w mogile. Ponad 150 lat później ks. Mikołaj Kulaszyński podawał, że była ona „na wprost Starej Bramy Lubelskiej, za przedmieściem Janowice pod Hyżą, w końcu pól przytykających do łąk". Pogrzeb urządzić mieli pod koniec maja bracia bazylianie. Żadne jednak źródło historyczne nie potwierdza tak fantastycznych rewelacji. W rzeczywistości Kozacy byli pod Zamościem po raz drugi w 1657 r. razem z księciem siedmiogrodzkim Rakoczym, ale nie zamierzali zdobywać twierdzy. Być może jednak we wspomnianym miejscu znajdowała się mogiła mołojców poległych pod twierdzą albo któregoś z ich wodzów. Mógłby to być np. Maksym Krzywonos, przywódca czerni i rywal Chmielnickiego, który zmarł w listopadzie 1648 r. od zarazy lub został zamordowany.

RYS. QBA

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kozacka armia Bohdana Chmielnickiego dotarła pod Zamość 6 listopada 1648 r. Towarzyszyło jej ok. 5 tys. Tatarów pod wodzą Tuhaj-beja. W oficjalnej świadomości historycznej Polaków potężna twierdza przyjęła na siebie uderzenie buntowników, zatrzymując ich w marszu na Warszawę. W rzeczywistości gdyby nie późna pora roku, oblężenie mogło skończyć się upadkiem i rzezią. Kniaź Jeremi Wiśniowiecki dowodzący resztkami armii wycofującej się ze Lwowa przygotował bowiem miasto do obrony, ale zostawił żywność tylko dla załogi, a nie dla kilku tysięcy uchodźców, którzy schronili się w murach twierdzy. Kiedy dowodzenie przejął Ludwik Wejher, kasztelan elbląski, który przyprowadził regiment piechoty niemieckiej, a dodatkowo objął komendę nad załogą liczącą ponad 2 tys. żołnierzy, 1,5 tys. szlachty i 1 tys. uzbrojonych mieszczan, okazało się, że mieszkańcy zaczynają głodować.

Chmielnicki rozpoczął oblężenie od próby przeciągnięcia Wejhera na swoją stronę, później Kozacy spuścili wodę ze stawu w południowej części twierdzy i 9 listopada przeprowadzili szturm, który odparty został z dużymi stratami. Wówczas hetman rozpoczął blokadę miasta, rozsyłając po okolicy podjazdy, które dotarły aż do Lublina i Wisły. Wysłał też listy do królewicza Jana Kazimierza i senatorów, a także tzw. kondycje, czyli warunki, pod którymi gotów był pogodzić się z Rzecząpospolitą i przyszłym królem. Pod Warszawą rozpoczynała się bowiem elekcja, gdzie na tron kandydowali dwaj Wazowie – Jan Kazimierz i Karol Ferdynand, a także Zygmunt Rakoczy, syn księcia siedmiogrodzkiego. Chmielnicki był wówczas u szczytu potęgi – Rzeczpospolita pobita pod Piławcami pozostawała bez wojska i siły, Ukraina zajęta była przez Kozaków, Ruś Czerwona, Lubelszczyzna i wschodnie województwa spustoszone. Dlatego niepoddany żadnej presji mógł dyktować w zasadzie dowolne warunki. Te, które wysłał, pokazywały, że nie zamierzał tworzyć niezależnego państwa ruskiego. Domagał się bowiem 12 tys. rejestru kozackiego, pozwolenia na wszystkie wyprawy, oddania mu bogatego starostwa na Ukrainie, wyprowadzenia z niej wojska kwarcianego. A także wprowadzenia dla Kozaków takich praw, jakie mieli Tatarzy litewscy, a więc niemal zrównania ich ze szlachtą. A także ustanowienia dla nich osobnych sądów i prawa wybierania hetmana, który miał być zależny od króla, a nie od hetmanów.

Warunki te jednak ze względu na ogrom zbrodni i krwi przelanej na Ukrainie okazały się nie do przyjęcia dla senatorów. Po dwóch tygodniach oblężenia, kiedy w kozackim obozie wybuchła zaraza, ze względu na nadciągającą zimę Chmielnicki ustąpił, wziąwszy jako okup zaledwie 20 tys. zł. 23 listopada Kozacy i Tatarzy rozpoczęli odwrót. Kozacki hetman nigdy już za życia nie wrócił pod Zamość. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Szparagi

Chrupiące łodygi szparagów to rarytas, którym możemy cieszyć się wiosną, choć jak na nasze apetyty jednak zdecydowanie za krótko. Serwujemy je za to kilka razy w tygodniu i przygotowujemy na różne sposoby – zapiekamy, grillujemy, gotujemy na parze czy po prostu dodajemy do sałatek. Najsmaczniejsze szparagi według nas to podane z tradycyjnym sosem holenderskim, którego bazą są ubite jajka. Swoją drogą, właśnie z jajkami szparagi tworzą duet idealny. Warto zwrócić uwagę na to, że same szparagi są bogactwem witamin i składników odżywczych – zawierają witaminy E, K i A oraz witaminy z grupy B oraz C, a także żelazo, magnez, potas i cynk.

Szparagi są kruche, delikatne i uniwersalne – możemy jeść je od rana do wieczora, nawet na kolację, bo są niskokaloryczne.

Wspierają trawienie, bo jest w nich dużo błonnika oraz asparaginy – aminokwasu o działaniu moczopędnym – przez co ułatwiają pracę nerek. Mają w sobie fitoestrogeny, dzięki czemu wspierają zdrowie kobiet, szczególnie w okresie menopauzy. A jak je przyrządzić? Najczęściej używamy szparagów zielonych. Są szybkie w przygotowaniu – wystarczy przepłukać pod bieżącą wodą, delikatnie odłamać twarde końcówki i np. ułożyć na patelni, na rozgrzanym maśle, posypać solą i czosnkiem, smażyć przez ok. 5 min, przewracając co jakiś czas. Takie szparagi możemy ułożyć na grzance z chleba lub bagietki, posypać tartym parmezanem i spożyć jako kanapkę. Są pyszne, aromatyczne i sycące. Ze szparagów białych robimy wyśmienitą zupę krem z dodatkiem śmietanki i chrupek z wędzonego boczku. Należy pamiętać, że przed gotowaniem białe szparagi obieramy ze skórki. Taka zupa jest bardzo pożywna i aromatyczna – łagodniejsza w smaku niż tak samo przygotowana zupa ze szparagów zielonych. Nie wszyscy jednak mogą cieszyć się ich smakiem – osoby z dną moczanową i kamicą nerkową nie powinny jeść ich zbyt często.

FOT. ADOBE STOCK

Tarta francuska ze szparagami

• 1 opakowanie ciasta francuskiego • 100 g pokrojonego w kostkę boczku • 1 pęczek szparagów • garść pomidorków koktajlowych • 150 g sera mozzarelli • 100 g sera pleśniowego • 50 g sera tartego typu parmezan • 2 jajka • pół szklanki śmietanki kremówki • sól, pieprz i czosnek granulowany, po pół łyżeczki

Piekarnik nagrzać do 200 st. C, ciasto rozłożyć na blaszce 20 x 30 cm do pieczenia, tak aby brzegi wystawały po bokach. Szparagi opłukać, osuszyć, odciąć twarde końcówki, pokroić na kawałki i wyłożyć na ciasto, pomiędzy nimi poukładać pomidorki koktajlowe, kawałki mozzarelli i boczku. Jajka roztrzepać, dodać śmietankę i przyprawy. Zalać masą jajeczną i włożyć do rozgrzanego piekarnika. Piec 20 min w temperaturze 200 st. C. Po wyjęciu posypać tartym parmezanem i świeżą bazylią.

Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Tik językowy

Dzięki kampanii prezydenckiej wzrósł poziom znajomości języka francuskiego wśród Polaków. Na razie jesteśmy początkujący, ale znamy już słowo „bonjour". To ważne, chodzi przecież o przywitanie. Nie wątpię, że dalsze pogłębienie wiedzy nastąpi.

Nasza odwieczna sympatia i nawet podziw dla Francuzów zyskały ostatnio jeszcze jedno potwierdzenie. Otóż okazuje się, że nasz język, wbrew wszystkim różnicom etymologicznym z francuskim, jest do niego całkiem podobny kulturowo.

Weźmy wyrażenie „tak naprawdę", jeden z najmodniejszych wypełniaczy mowy tych, którzy nie mają wiele do powiedzenia, ale muszą gadać. Jeśli usłyszycie wypowiedź ważnego dyrektora, kuratora, redaktora, eksperta, to możecie mieć pewność, że co drugim, może co trzecim wyrażeniem, które w niej padnie, będzie „tak naprawdę".

Ale oto jeśli ktoś znający francuski na poziomie o kilka szczebli wyższym niż „bonjour" posłucha wypowiedzi młodych Francuzów, studentów, uczniów, to usłyszy tam wyrażonko z pozoru nieistotne, ale mające takie samo znaczenie jak „tak naprawdę". Jest to „en fait". „En fait" jest wzmocnieniem, potwierdzeniem wypowiedzi. I w mowie francuskiej stanowi podobny wypełniacz pustosłowia, taki sam chwast, który łatwo się mnoży, ale trudno go wykorzenić.

Próbowaliście załatwić jakąś sprawę, niezbyt skomplikowaną, ale wymagającą współudziału innych osób? Zapewne, bo kto daje sobie radę sam?

Czy można wizytę u lekarza przesunąć o godzinę? Czy ma pan numer mojej komórki? Czy mogę przywieźć auto z zepsutym tłumikiem? Te przykłady łączy jedno. Odpowiedź na każdy z nich brzmi: nie ma problemu. To kalka z angielskiego, ale nie rażąca, bo słowo „problem" znaliśmy, zanim angielski opanował polszczyznę.

Tymczasem co za niespodzianka: okazuje się, że Francuzi mają podobny problem. (Jednak mają). Oto wyrażenie „pas de souci", które znaczy mniej więcej to samo, co „nie ma problemu" („nie ma kłopotu raczej"). To wyrażenie usłyszycie od Francuzów w każdej sytuacji: w rozmowie z kelnerem, u którego zamawiacie menu, od sprzedawcy w sklepie.

„Pas de souci" stało się plagą francuszczyzny do tego stopnia, że pochylili się nad nim członkowie Académie française. Do sprawy odnieśli się też dziennikarze stacji France Culture, odpowiednika naszej radiowej „Dwójki". „Używamy go, gdy chcemy wyrazić zgodę albo uspokoić kogoś. Czy rzeczywiście nasze społeczeństwo jest tak zatroskane, że trzeba nieustannie je uspokajać?" – pytają.

Irytujący tik językowy. Czy nie można powiedzieć po prostu: „oui"? ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Na Rumuna

Wszyscy emocjonują się preferencjami przedwyborczymi, ale ważniejszy jest nie prognozowany rezultat wyborów, tylko możliwy wpływ na ich wynik. Prognozy drugiej tury idą na żyletkę, a więc mogą się pojawić głosy i działania kwestionujące rezultat wyborczy w każdą stronę. Niestety, niepokojące sygnały wysyła tu państwo, jako nachalny gracz po jednej ze stron, luzując się ze spełniania swej przynależnej roli strażnika przejrzystości całego procesu.

Nie jest to wymysł, ale wnioski z doświadczenia. Oto mamy przykład rumuński, czyli nie dość, że uchylenie wyniku wyborczego wobec wiodącego kandydata, to jeszcze oficjalny zakaz wydany wobec jego możliwości startu. Zarzuty „onucowe" miały tu praktycznie wyłącznie narracyjne podstawy, a są one niestety podtrzymywane również przez rząd polski, od kiedy sam pan premier skrytykował prawicę i kandydata Nawrockiego za spotykanie się z następcą zakazanego kandydata rumuńskiego i jego też oskarżając o podleganie wpływom Putina.

Niepokoją też przesłuchy, że polskie służby zwróciły się do rumuńskich o poradę w sprawie ichniego kryzysu wyborczego. I nie chodziło im tu o wiedzę, jak wytropiono „onucyzm" w procesie wyborczym, ale o to, jakimi sposobami dało się pozbyć niewygodnego kandydata.

Chyba idąc tym tropem, NASK opublikował komunikat o zewnętrznym zagrożeniu wpływu na polski proces wyborczy. Miałby on polegać na podejrzeniu, że kampania jest (jak w Rumunii) sterowana z zewnątrz, pojawić się też miały niesygnowane komitetami wyborczymi reklamy wyborcze na Facebooku. Oczywiste więc – ale to trop bardziej publicystycznych fantasmagorii – że medialnie wciska się, że to jest robione z Rosji.

Uważam ten ruch, również w wykonaniu niegdyś szacownego NASK, ale dziś pełną gębą zaangażowanego w politykę cenzury, za przygotowanie tematu na drugą turę. Samo zagadnienie nie zostało przecież rozstrzygnięte, ale jest odłożone na półkę w razie problemu z wygraną uśmiechniętego wybrańca. Jeżeli bowiem wynik wygranej kandydata niemainstreamowego będzie zbliżony do wyniku słusznego, acz przegranego, to temat może wrócić. A kwestia „onucowych" wpływów na wynik wyborczy ma to do siebie, że jest nieweryfikowalna. A jeżeli już, to będzie leżeć w rękach mecenasa Kalisza z PKW i ostatecznie rotacyjnego marszałka, który… sam kandyduje. Tyleśmy się nauczyli z wymiany doświadczeń z rumuńskimi kolegami ze służb.

A suweren? Ten da wyraz, a wynik będzie taki, jaki ma być. W końcu jesteśmy w objęciach demokracji walczącej. Głównie z suwerenem. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Biskup Zadarko – do spowiedzi!

Nie wiem, czy i w jakim stopniu okładka „Do Rzeczy" „Polska katolicka czy muzułmańska" miała wpływ na stanowisko Rady Konferencji Episkopatu Polski do spraw Migrantów, ale publikacja dokumentu bp. Zadarki nastąpiła cztery dni po ukazaniu się tygodnika. Stanowisko biskupów wymagałoby obszernego omówienia, ja tylko krótko zasygnalizuję kilka kwestii. Po pierwsze, autorzy, pisząc o przyjmowaniu uchodźców jako ewangelicznym obowiązku Chrześcijan, stawiają na równi uchodźców wojennych z Ukrainy i migrantów ekonomicznych z krajów obcych nam kulturowo. Po drugie, autorzy zrównują centra integracji powstające od 2017 r. z tymi, które teraz mają powstawać (część z nich ma prowadzić Caritas). Po trzecie, z treści stanowiska wynika jakiś dziwny determinizm. Wychodzi na to, że przyjęcie przez Polskę migrantów i zmiana populacyjna w kierunku „wielokulturowości" zostały przesądzone, że to proces nieodwracalny. Po czwarte, biskupi kompletnie ignorują doświadczenia krajów Zachodu z migrantami.

Nie będę kolejny raz pisał o zamachach, przestępczości i poczuciu zagrożenia. Wystarczy spojrzeć na raporty holenderskie i duńskie dotyczące kosztów ekonomicznych i konsekwencji społecznych masowej migracji, by zobaczyć, że to się nie opłaca. Rozpaczliwe działania, jak np. likwidowanie gett przez wyburzanie całych dzielnic (Mjølnerparken w Kopenhadze) czy obowiązkowe przedszkola od 1. roku życia i ustawa o konfiskacie kosztowności o wartości przekraczającej 1,3 tys. euro od osób ubiegających się o azyl, to przykłady gaszenia pożaru lasu gaśnicą samochodową. Polacy, którzy w geście „miłosiernego Samarytanina" przyjęli ofiary rosyjskiej napaści, nie muszą ponosić ciężarów, które niesie operacja „wielkiego zastąpienia ludności". Ten termin nie jest przejawem spiskowej teorii. Jest oficjalnie używany np. w Holandii przez panią minister azylu i migracji Marjolein Faber.

Zostawiając na boku to, czy masowy napływ przybyszów z krajów muzułmańskich został celowo wywołany, a może jest tylko wykorzystywany, biskupi nie mogą abdykować od realnej oceny skutków, z którymi kraje Zachodu zmagają się od lat. Biskupi wzywają, by nie wykorzystywać tematu migracji w kampanii wyborczej (sic!), apelują o prawdę i wolne od demagogii rzetelne informowanie, choć właśnie ich stanowisko pełne jest wątpliwych założeń, pobożnych życzeń, ideologicznych tez, w najlepszym przypadku naiwności. Owszem, biskupi mają mandat, by mocą nauczycielskiego urzędu dawać nam, wiernym, pasterskie pouczenie, ale my, „owieczki", oczekujemy od pasterzy odpowiedzialności, a przynajmniej realizmu w ocenie sytuacji. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Trzy w jednym

Na finiszu kampanii zrobiło się szwindlowato. Stop. A było to tak: Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa, czyli państwowy instytut zajmujący się cyberbezpieczeństwem, zaalarmowała, że ktoś chyba z zagranicy może ingerować w wybory, publikując filmiki niekorzystne dla Nawrockiego i Mentzena na Facebooku. Stop. Okazało się, że reklamy promujące Trzaskowskiego są jednak z Polski i kosztowały kilkaset tysięcy. Stop. Dziennikarze z WP ustalili, że paluszki w sprawie wyborczego przekrętu maczała fundacja Akcja Demokratyczna z Kubusiem Kocjanem, znajomym Trzaskowskiego, Gawkowskiego i innych tego pokroju demokratów na czele. Stop. W związku z „pożarem w POrdelu" – jak określono gigantyczny kryzys w sztabie Trzaskowskiego – sztab odciął się od akcji wspierającej Rafała i powiedział, że nic o oszustwie nie wiedział. Stop. Ponieważ Trzaskowski nigdy nikogo nie okłamał… (dobra, nie będę kończył tej myśli, bo mnie skręca ze śmiechu i złości).

W czasie debaty w TVP w likwidacji (tak, tej, na której Wysocka-Sznepf rozpadła się na stosik atomów) Trzaskowski zarzekał się, że on nie chce wyrzucić z domu, z 35-metrowego mieszkanka w kamienicy, sześcioletniego dziecka, że w ogóle nie ma z tym nic wspólnego. Nic. Nic. Nic. Stop. Następnego dnia opublikowano pozew do sądu, w którym miasto stołeczne Warszawa rządzone przez Trzaskowskiego domaga się eksmisji, czyli wyrzucenia z domu sześcioletniego Tomka. Stop. W odpowiedzi na to Trzaskowski nie odpowiedział na to. Stop.

Jest sobie na świecie, a najczęściej w Waszyngtonie, taki Marek Wałkuski, taki korespondent Polskiego Radia w takim Białym Domu. Stop. I on jest fajny, to znaczy pociecha. Stop. Kiedy Karol Nawrocki poleciał do Donalda Trumpa, Wałkuski poinformował w mediach społecznościowych, że kandydat na prezydenta Polski nie spotkał się bezpośrednio z prezydentem USA, tylko widział go z daleka w Ogrodzie Różanym. Stop. Po kilkunastu minutach od komunikatu korespondenta Polskiego Radia Biały Dom opublikował zdjęcia Trumpa z Nawrockim w Gabinecie Owalnym, kiedy podają sobie ręce i rozmawiają z uśmiechami na twarzach. Stop. Po wizycie Nawrockiego departament handlu USA ogłosił, że Polska już nie będzie objęta restrykcjami, jeżeli chodzi o eksport zaawansowanych chipów. Stop. Na to Wałkuski, że ta decyzja nie ma nic wspólnego z wizytą i rozmową Nawrocki – Trump. Stop. Następnie rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA, James Hewitt, potwierdził w dyplomatyczny sposób, że, owszem, ma. Stop. Mnie się zdaje, że ten Wałkuski dostarczy nam jeszcze niejeden raz radości przez zaskoczenie. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Rosyjska perfidia

Ciekawymi odkryciami w sprawie pożaru centrum handlowego przy ulicy Marywilskiej w Warszawie podzieliły się właśnie nasze media. Okazało się, że zdaniem litewskiej prokuratury pożar ten wywołany został na zlecenie rosyjskich służb specjalnych. W polskim śledztwie dotyczącym pożaru brało udział, zgodnie z informacjami TVN24, aż 55 polskich prokuratorów i ponad 100 policjantów. Tymczasem to Litwinom udało się zatrzymać Ukraińca Daniila B., przeciw któremu prowadzone jest śledztwo w sprawie podpalenia sklepu IKEA w Wilnie. Aresztowany na Litwie Ukrainiec filmować miał wcześniej pożar warszawskiej hali targowej na zlecenie swojego rodaka mającego przebywać w Rosji. „Jest oczywiste, że osoby, które zidentyfikowaliśmy, sprawcy, są najwyraźniej również zamieszane w czyny przestępcze popełnione w Polsce" – ogłosił litewski prokurator Urbelis. Jak poinformowała jednak polska Prokuratura Krajowa: „Na obecnym etapie postępowania nie przedstawiono zarzutów osobom bezpośrednio odpowiedzialnym za wzniecenie pożaru".

Tradycyjne metody terroryzowania wrogiego kraju, polegające na atakowaniu infrastruktury energetycznej i transportowej, łączności, systemu finansowego i podobnie banalnych celów, zostały przez Rosjan znacząco zmodyfikowane. Celami dywersantów stały się salony meblowe oraz chińskie hurtownie klapek. Ale może być gorzej. Przed miesiącem Agencja Reutera poinformowała światowe media o kolejnym obywatelu Ukrainy, Vladyslavie D., który także na Litwie faszerować miał materiałami wybuchowymi „paczki z kosmetykami, poduszki do masażu oraz zabawki erotyczne". Zwłaszcza ostatnia kategoria śmiercionośnych pułapek wywołała zapewne panikę w niejednym polskim domu. Pamiętajmy, że ukraiński wywiad regularnie podkłada w Rosji ładunki wybuchowe, eksplodujące pod domami rosyjskich generałów. Jak zrozumieć odpowiedź Rosjan umieszczających bomby w gadżetach erotycznych? Różne struktury państwowe posiadają zapewne odmienne słabe punkty.

Premier Donald Tusk skomentował litewskie odkrycia na portalu X, zarzucając Rosjanom „wyjątkową perfidię". Odnosił się pewnie do faktu, że wszyscy podejrzani dywersanci okazali się obywatelami Ukrainy. Broniąc się przed zarzutem „perfidii", Rosjanie mogliby działać w sposób bardziej prostolinijny, wykorzystując do niecnych podpaleń swój personel dyplomatyczny. Dla uniemożliwienia im tego, minister Sikorski zdecydował się zamknąć rosyjski konsulat w Krakowie. Groźby eksplodujących „gadżetów" nie uda się tak prosto rozwiązać. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Proroctwo na pstrym koniu

Kiedy państwo przeczytają te słowa, będą już znane wyniki exit poll pierwszej tury wyborów prezydenckich. Stawia to przed historykiem ironicznie wielkie wyzwanie: Co tu można przewidzieć? Cóż w ogóle można przewidzieć w dzisiejszym świecie? Wybuch pandemii? Awarię prądu paraliżującą życie Hiszpanii i Portugalii? Pokój na Ukrainie lub użycie broni atomowej przez Putina? Na czym oprzeć spekulacje co do przyszłości? Na nieprzewidywalnych wybrykach słownych niektórych polityków? Tydzień, który dzieli autora tych słów od ich publikacji, to dziś bardzo dużo. Może się to okazać całą epoką.

Dawniej mówiono, że „łaska pańska na pstrym koniu jeździ". Dziś koń ten unosi łaskę opinii publicznej. Może ona zapałać emocją na widok memu zestawiającego Pokój Owalny, w którym dłonie ściskają sobie prezydent USA Donald Trump i kandydat na prezydenta RP Karol Nawrocki, z owalnym szaletem w parku Skaryszewskim – dziełem jego rywala Rafała Trzaskowskiego. Opinia wyborców może jednak także ulec jakiejś kłamliwej plotce rzuconej w ostatniej chwili na szalę. Czy taką moc może mieć dęta kwestia drugiego mieszkania prezesa IPN? I czy w ostatniej chwili nie wybuchnie jeszcze jakaś bomba?

Dziś, kiedy piszę te słowa, nie znam wyników pierwszej tury. Co więcej, znane obecnie sondaże wydają się dość zwodnicze. Każda sondażownia ma swoje interesy, choć musi zachować pewną ostrożność, by się nie skompromitować. Jak naprawdę wygląda poparcie dla poszczególnych kandydatów? Z pewnością nieco inaczej niż wynik ogłoszony 18 maja, tym bardziej że jeszcze spora grupa wyborców nie wie, na kogo się zdecydować.

Gdyby poważnie rozważyć odruchy polskich serc i polskiego rozumu, to człowiekiem, który ma największe szanse zrealizować nasz prawdziwy interes, byłby Karol Nawrocki

W kampanii przedwyborczej słyszało się często, że w pierwszej turze należy głosować sercem, a w drugiej – rozumem. Metaforę tę można zrozumieć pozytywnie lub realistycznie. Przez serce można rozumieć przywiązanie do wartości reprezentowanych przez kandydatów. Jakie wartości reprezentuje Nawrocki, wiadomo – patriotyzm, przywiązanie do zasad wynikających z wiary, troska o bezpieczeństwo państwa, a więc współpraca z USA. Co proponuje pani Biejat, także wiemy: mieszkanie nie jest towarem, jest prawem, a aborcja należy się na życzenie, może nawet do ostatniej chwili przed porodem. Sławomir Mentzen pragnie deregulacji. Poseł Braun nie pozostawił wątpliwości: walczy z Unią Europejską, Ukraińcami i Żydami. Pan Maciak kocha Putina. Wszystko jasne. Co miał w kampanii do zaoferowania marszałek Hołownia? Nie bardzo wiadomo. Żonę pilota? Za i przeciw w kwestii nachodźców, praworządności i bezpieczeństwa, czyli szum informacyjny? Podobnie wypadał w kampanii Rafał Trzaskowski. Złotousty zwolennik LGBT i tradycji katolickiej, obrony granic i „uchodźców", zwolennik i przeciwnik Paktu Migracyjnego, popierający inwestycje, ale nie CPK – bardzo się denerwował, gdy starano się dopytać, jaki właściwie ma plan, i tylko pokrzykiwał, że Polska musi podążać naprzód. Czyli dokąd?

Biorąc głoszone hasła za dobrą monetę, należałoby wybrać kogoś, czyje poglądy wydają się spójne i pasują do naszych poglądów. Naprawdę jednak przy urnach działają inne czynniki, a więc emocje negatywne. Ten jest sztywniakiem, tamta się zbytnio perli, ten wygląda na pajaca, a tamten na głąba. Rozum w drugiej turze też nie zadziała u wielu ludzi.

Gdyby poważnie rozważyć odruchy polskich serc i polskiego rozumu, to człowiekiem, który ma największe szanse zrealizować nasz prawdziwy interes, byłby Karol Nawrocki. Wywróżył to już Donald Trump. Ale jaką siłę będzie miał czynnik irracjonalny? Jak to się skończy? Ja jeszcze nie wiem, czytelnicy już wiedzą. Ale to jeszcze chyba (?) nie koniec. Zobaczymy 1 czerwca. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

ŚLADY

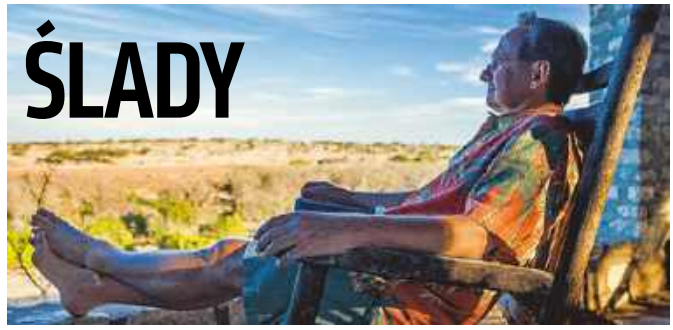

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Po kampanii zostały ślady. Kandydaci będą nadal istnieć i znów kiedyś wylezą – jak karaluch spod kuchennej szafki. Lub (rzadziej) jak przegrany bohater albo prawy i sympatyczny gość, któremu spokojnie można podawać rękę. Takim typem jest Pan Jakubiak.

W kampanii był stale widoczny, choć nie szalał. Stateczny, spełniony w życiu – ten typ człowieka można określić jako „nic nie musi, nic na siłę". Powie, co myśli, nawet gdyby mu przez to słupki spadły.

***

Antytezą Jakubiaka jest Hołownia. Dziwię się, że nikt sobie z tym typem (typem osobowości) nie umiał poradzić. W żadnym sztabie wyborczym nie mieli zatrudnionego psychiatry lub psychologa? Taki typ zachowań nazywa się „pasywną agresją". Hołownia jest wysoce agresywny, ale swoją agresję ubiera w zachowania pozornie grzeczne, czyli pasywne. Tak jakby chciał na kogoś napluć, kogoś stłuc, na kogoś nawrzeszczeć, ale ponieważ ludzie patrzą, to on się powstrzymuje. Marszałek-pyszałek, który patrzy na innych zawsze z góry. Pasywna agresja w wykonaniu Hołowni to zaczepki osobiste wygłaszane głosem, który przypomina wredną dyrektorkę szkoły podstawowej: Ooo widzę, że pan się denerwuje, panie Nawrocki, proszę się uspokoić.

Żaden sztab wyborczy nie podpowiedział swojemu kandydatowi, jak sobie z czymś takim radzić? To proste i podręcznikowe. Pasywnemu agresorowi trzeba publicznie zdjąć maskę lub spodnie, cokolwiek. Hołownia udaje spokojnego, a Nawrocki nie powinien udawać, lecz w naturalny sposób, bez ukrywania emocji, odpowiedzieć tak: ALEŻ OCZYWIŚCIE, ŻE SIĘ DENERWUJĘ. Bo pan, panie Hołownia, jesteś denerwujący. Wszystkich pan wnerwia. Jak się pana słucha, to KAŻDY jest zdenerwowany, ale nie z powodu samej sprawy, tyko zdenerwowany na pana. Wkurza mnie pan zawsze, cokolwiek pan mówi, na dowolny temat i niekoniecznie do mnie. Jest pan denerwujący.

To by Hołownię usadziło. A ludzie przed telewizorami by wiwatowali. I nie tylko zwolennicy Nawrockiego – wszyscy, których Hołownia wnerwia, czyli wielkie tłumy.

***

Nawrocki nie potrafił też poradzić sobie z mieszkaniem. Podkulił ogon. Powinien zrobić na odwrót. To, że nie potrafił w tej sprawie zachować się normalnie, jest niepokojące. Normalną reakcją zwykłego człowieka byłoby: A odwalcie się ode mnie, nie zrobiłem niczego złego i nie mam chęci wycofywać się z tej transakcji. To nawet nie jest mieszkanie, tylko klitka 28 mkw.

Nawrocki nie zrobił nic złego, gdy kupował tamto mieszkanie. Przeciwnie – zrobił coś DOBREGO dla obu stron. Pijak miał prawo wykupić lokal za 12 tys. – zgodnie z przepisami. Potem Pijak miał prawo sprzedać wykupione mieszkanie, komu chciał i za ile chciał. Zdecydował się sprzedać synowi sąsiadki, czyli Nawrockiemu. Nawrocki był wtedy gołodupcem bez forsy i bez zdolności kredytowej, by kupić jakieś inne mieszkanie. Dogadali się, że Nawrocki nie ma całej forsy od ręki. To częste i normalne, że ktoś nie ma 130 tys. na zawołanie. Banki stosują tabelki i nie biorą pod uwagę tego, czy ktoś jest godnym zaufania CZŁOWIEKIEM. Natomiast Pijak zaufał Nawrockiemu, że Nawrocki nie wystawi Pijaka do wiatru i będzie dbał o to, by rachunki za mieszkanie były poprawnie płacone i by to mieszkanie Pijakowi nie przepadło. Nawrocki słowa dotrzymał.

Pijak pił, rachunki były płacone na czas, a Nawrocki czekał i płacił. I miał tak robić do końca życia tego Pijaka. Czasami pijacy żyją zadziwiająco długo. Czyli Nawrocki ryzykował, że przepłaci za to mieszkanie. Obaj coś ryzykowali, obaj byli dorośli i nikomu nic do tego, na co się dogadali.

Nawrocki zrobił GŁUPIO, że ustąpił pod naporem krzykaczy i oddał mieszkanie. Nie było powodu oddawać. I w tym miejscu Nawrocki zawalił.

Co byłoby w sytuacji, gdyby Nawrocki stał pod naporem czegoś większego niż tylko nagonka wyborcza chamów typu Hołownia i Trzaskowski? Na świecie są gracze prawdziwi i to już nie są zwykłe chamy (słowo „cham" stosuję w znaczeniu biblijnym, a nie obraźliwym – chodzi o klasę społeczną „chamy", „pany"...). Polityk powinien być twardy, nieustępliwy i nie robić uników, gdy ktoś na niego naciska.

A Mentzen zrobił źle, że się do nagonki chamów przyłączył. To pokazuje, że Mentzen to jednak koniunkturalista. Podobnym koniunkturalistą okazał się Stanowski, którego oglądałem z przyjemnością i uważałem za czarnego konia w tym wyścigu. Do chwili, gdy zaprosił Maciaka po to, by go wywalić za drzwi, uważałem, że Stanowski ma szansę wygrać. Naród polski jest przekorny i lubi takich jak Stanowski. Naród polski nie lubi polityków. Naród polski mógł po cichu, bez informowania sondażowni, być rozczarowany wszystkimi kandydatami i w tej sytuacji naród polski mógł w ostatniej chwili, już za kotarą wyborczą, dać głos na Stanowskiego, aby utrzeć nosa wszystkim pozostałym – tak samo jak ucierał nosa wszystkim po kolei Stanowski. No ale naród polski nie lubi, gdy się ktoś znęca nad dużo słabszym, a Stanowski zaprosił słabego frajera z Włocławka, niesympatycznego gościa, może świra. I co mu zrobił? Zaprosił, by wywalić za drzwi. W tym momencie zacząłem podejrzewać, że Stanowski nie jest autentyczny, że wszystkie te świetne numery, które wykonał, że jego spektakularna i godna podziwu kampania nie były szczere. Nieszczerych facetów lepiej unikać.

***

Czy to jeszcze ważne, kto co zawalił w kampanii? Ważne. Sposób zawalania spraw to cecha danego człowieka. Były kandydat zostanie w polityce i nadal będzie coś zawalał – dlatego chcemy wiedzieć, JAK on zawala, jak reaguje, gdy zawali, czy idzie w zaparte, że nie zawalił, czy może umie naprawić to, co zawalił, czy zawala stale i zawsze wszystko, czego się dotknie. ©℗

eprasa.pl 2c9e32c730

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK UŚMIERCIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

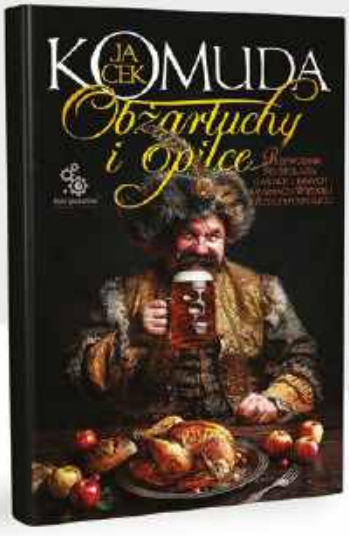

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~575~~ ZŁ

273,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 302 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2c9e32c730

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w uczciwość! Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Inflacja, podatki, tania energia – czas mówić prawdę o gospodarce."

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY"

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 2c9e32c730